

LECH CZYŃSKI

Wspomnienia nagrane przez Małgorzatę Giżejewską w 1988 r. w Warszawie

Taśma I A

Urodziłem się w Zamościu 4.02.1924 r. Byłem jedynakiem.

Ojciec był kolejarzem. Należał do PPS. W związku z redukcją etatów, czy jakimś strajkiem został zwolniony z pracy. Matka posiadała na Wileńszczyźnie działkę ziemi. Ponieważ nie było innych możliwości utrzymania się, bo nie można było znaleźć pracy, w 1932 r. pojechaliśmy na Wileńszczyznę i rodzice zaczęli gospodarować na tej ziemi. Był to zaścianek niedaleko Trok – Bowszyszki /?/. Do szkoły chodziłem w Wilnie, gdzie mieszkał mój wujek – brat ojca.

W 1939r., kiedy zaczęła się wojna chodziłem do 6-ej klasy. Wykształcenie musiałem więc uzupełnić po powrocie z łagrów w 1956r. Skończyłem liceum dla pracujących, a potem studia na SGPIŚ – ekonomika produkcji.

17 września 39r. wojska sowieckie przeszły granice polsko-radziecką i wkroczyły na teren Wileńszczyzny. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z czołgistami radzieckimi. n nas, dzieciach zrobiły one duże wrażenie – takie duże maszyny, żołnierze umorusani, brudni, wymęczeni, bo widocznie długi czas jechali. Widocznie specjalnie ich nastawiano, że mogą spotkać się z jakimiś aktami terroru, czy dywersji, bo byli bardzo nieufni i nawet dzieciom nie pozwalali podchodzić do czołgów.

Po wkroczeniu ACZ część żołnierzy polskich uciekła z koszar do domów, a inni – z dalszych terenów Polski zostali złapani i wywiezieni do obozów jenieckich. Pamiętam taki przypadek: u mojej ciotki był pies, który ciągle obszczekiwał przejeżdżające samochody radzieckie (traktem połockim). Któregoś dnia pies wpadł pod samochód, który przejechał mu tylne łapy. Pies strasznie się męczył, więc znajomy sąsiad, który trochę znał rosyjski prosił, żeby dobili (zastrzelili) psa. Ten odpowiedział: „kulu dał nam towarzyszc Stalin na wogow rodziny”, ale w końcu wyciągnął jakiś pistolet i psa zastrzelił. Łuska z naboju zeskoczyła do rowu i oficer zaczął jej szukać, myśmy mu pomagali, bo był strasznie zdenerwowany, że wypadku nie znalezienia tej łuski nie będzie się mógł rozliczyć z wystrzelonych naboji i posądza go np. o przehandlowanie naboju za wódkę.

Rosjanie po wejściu zaczęli dawać jakieś obligacje; miejscowa ludność nie знаła tych papierów, ale dawali różne rzeczy, dopiero potem zorientowali się, że nic za to nie można kupić. A u nich było tak, że czy ktoś chciał czy nie, to musiał zadeklarować połowę miesięcznej pensji na te obligacje.

Na początku, po wejściu Rosjan, ludność² jeszcze nie była tak wrogo do nich nastawiona; kobiety chciały im dawać mleko czy chleb, ale oni nie brali i odpowiadali, że u nich jest wszystko i niczego nie potrzebują. Ale często coś ludziom po cichu podkradali.

Po plebiscycie w 1940r., w którym jakoby ludność opowiedziała się za przyłączeniem Litwy do ZSRR, weszli po raz drugi i wtedy pokazali, co potrafią. Zaczęły się aresztowania i wywózki. Działo NkWD (naramienniki czerwone z obszywką niebieską) i MKGB (naramienniki niebieskie?).

Ludność miejscowa – chłopci – była biedna (kiepskie gleby), więc im nie robiło różnicy, czy to był pan polski czy ruski, byleby ich nie ruszano. Ale kolchozów to się bali. Później jednak, w 46r., jak rozmawiałem z chłopami, to sobie te kolchozy niektórzy chwalili, bo ziemia została scalona, a chłop tylko kombinował jakby coś ukraść, uprawiali swoje działki przyzagrodowe, a dla kolchozu pracowali byle jak, więc było im lepiej niż przedtem.

Do partyzantki (brygada Juranda) wstąpiłem w kwietniu 1944r. – miałem 16 lat. Wcześniej byłem luźno związany z organizacją, która dostarczała broń partyzantom do lasu. Wśród partyzantów byli też Białorusini; Litwini raczej wspomagali Niemców.

IB

Napięcia między Litwinami a Polakami (m.in. o gen. Żeligowskiego) widocznie nie pozwalały na wspólną walkę. Słyszałem, że na terenie centralnej Litwy działała partyzantka litewska, ale walczyła wspólnie z oddziałami radzieckimi.

Po okresie półrocznej samodzielności Litwy Polacy znowu mieli zmieniane dowody – najpierw na litewskie nazwiska, potem na rosyjskie, ale zachowujące pisownię i brzmienie litewskie. Np. w obozie spotkałem chłopaka o nazwisku Kiszki i myślałem, że to jest Litwin, a okazało się, że to Polak i nazywa się Zajac.

Na terenie Wileńszczyzny działało kilkadziesiąt brygad. Najgorzej miały brygady, które stacjonowały na wschód od Wilna, dlatego, że tam spotykały się z partyzantką radziecką. Sowietom mieli olbrzymie bazy koło jez. Narocz, m.in. w miejscowości Głębokie. Przesuwali się stopniowo na zachód z powodów aprowizacyjnych. Ludność była już tak ograbiona, że nie było skąd brać żywności, nawet chleba i ziemniaków. Dlatego też sowieci wkraczali na teren działalności partyzantki polskiej i dochodziło do wielu incydentów.

Był już rok 1944 i między oddziałami AK i partyzantką radziecką w Puszczy Rudnickiej zawarto porozumienie, zapewne lokalne dotyczące głównie aprowizacji, aby nie dopuścić do całkowitego ograbienia miejscowej ludności. Istniały brygady, które w ramach wspomnianego porozumienia walczyły wspólnie z Rosjanami przeciw Niemcom, m.in. V

Brygada Łupaszki (zastępcą Łupaszki był Paweł Jasienica) . Łupaszce udało się wymknąć partyzantom radzieckim i dalej już działał w Polsce.

Na terenie Wileńszczyzny realizowany był plan „Burza”, który zakładał, że przed wkroczeniem wojsk radzieckich należy zająć jak największy obszar spod okupacji niemieckiej. Armię radziecką AK miało witąć jako gospodarz tych terenów. Plan ten został opracowany przez Rząd Londyński. Dochodziło jednak do różnych nieporozumień między dowódcami okręgów terenowych, np. między Okręgiem Wileńskim a Nowogródzkim wskutek zmiany zasięgu okręgów i ich dowództwa. W zaplanowanym ataku na Wilno miały uczestniczyć oba okręgi w koncentrycznym ataku. Jednak ustalony termin okazał się nieaktualny, gdyż nieoczekiwanie szybko nadeszła Armia Czerwona. „Wilk” przyspieszył więc polski atak na Wilno. Łączność była paskudna, gdyż oddziały AK mogły porozumiewać się tylko albo przez gońców albo przez Londyn – nie było żadnej łączności radiowej, ani telefonicznej (trudno było ciągnąć za sobą kabel przy ciągłej zmianie postoju oddziałów).

A więc kiedy „Wilk” przyspieszył termin ataku na Wilno nie wszystkie oddziały zdążyły się zjawić, szczególnie z Okręgu Nowogródzkiego. W końcu okazało się, że połowy oddziałów nie ma. „Wilk” postanowił zaatakować tymi siłami, które były. Nasza brygada – „Juranda” miała zaatakować Wilno od północy. Jeszcze nie zdążyliśmy zająć stanowisk i byliśmy daleko od Wilna, kiedy od wschodu już toczyły się walki Rosjan z Niemcami. Wilno dobrze było bronione.

O ile mi wiadomo, było porozumienie między AK a Acz, że Rosjanie będą nas wspomagać ciężkim sprzętem; z tego jednak nic nie wyszło. Część naszych oddziałów została rozbita przez Niemców i wycofała się. Nasza brygada nie zdążyła dojść do Wilna i razem z I zgrupowaniem „Węgielnego” wycofano nas na północ.

Taśma II A

Niemcy zdążyli wyjść w nocy z Wilna, jeszcze przed wkroczeniem A.Radz. , przeprawili się przez Wilię i wyszli prosto na tyły zgrupowania „Węgielnego”. We wsi Krawczuny doszło do walki naszej brygady z Niemcami; tam zginął nasz dowódca „Jurand”.

Ja i mój kolega z oddziału dostaliśmy polecenie przedostania się w cywilu na teren Wilna i doręczenia jakiejś przesyłki pod wskazany adres. Wydaje mi się, że chodziło o wycofanie radiostacji, która tam działała. Wówczas jeszcze jakieś oddziały niemieckie walczyły nad Wilią. Widocznie nas usłyszano, Niemiec rzucił w naszą stronę granat zaczepny, który rozerwał się tuż koło moich nóg. Co się stało z kolegą – nie wiem; już go potem nie widziałem. Ja byłem kontuzjowany w głowę, cały zachlapany krwią, całą noc przeleżałem nieprzytomny. Rano zrobiłem sobie opatrunek i jakoś dostałem się do Wilna. Tam spotkałem jakąś panią, która wezwała lekarza; przeleżałem u niej kilka dni.

Pamiętałem adres, pod który mieliśmy się udać; meldunek miał kolega, więc nie wiedziałem, czy został dostarczony. Wyszedłem z opaską na głowie. A Wilno było już wtedy kontrolowane przez oddziały radzieckie. Wyszli partyzanci z Puszczy Rudnickiej i wyłapywali wszystkich młodych Polaków, nie patrząc na to, czy ktoś ma mundur czy nie. Starąłem się przemknąć zaułkami, ale jednak złapali mnie. Zażądali dokumentów, a ja żadnych nie miałem. Zacząłem bajerować, że mnie ranili Niemcy w walce w mieście, że zgubiłem dokumenty, że nie jestem partyzantem, ale nic ich nie przekonało. Wzięli mnie na punkt zborny na Łukiszkach, gdzie siedziało już wielu chłopaków. Było to 17 czy 18 lipca 1944r.

Przetrzymali mnie ok. tygodnia na Łukiszkach, potem załadowali nas do ciężarówek i przewieźli do Miednik.

Trzymali nas w starym zamku; pomieścili tam chyba ok. 5 tys. partyzantów.

Jak się później dowiedziałem dowództwo AK porozumiało się z dowództwem radzieckim, że partyzanci polscy będą brali udział w dalszych walkach jako samodzielna jednostka wojskowa polska w obrębie ACz. Dowództwo AK kazało zgrupować wszystkie oddziały w jednym miejscu; Rosjanie wówczas otoczyli partyzantów i aresztowali wszystkich. W Miednikach zorganizowano obóz zbiorczy dla wszystkich – nie tylko dla partyzantów, ale dla młodych Polaków, którzy nawet nigdy nie byli w konspiracji; chodziło o oczyszczenie „przedpola” z młodzieży polskiej.

W Miednikach znaleźli się też dowódcy – utajnieni, którzy zdjęli swoje odznaczenia i których nie rozszyfrowano. Od nich mieliśmy informacje o aresztowaniach reszty dowództwa.

Po tygodniu przyjechał jakiś pułkownik z Armii Berlinga i namawiał nas do wejścia w jej szeregi. Wyłożono listy i każdy, kto chciał zapisywał się. Ja z paroma kolegami umówiłem się, że zapiszemy się, a potem „damy nogę”, bo w tej armii będą nas na pewno mniej pilnować niż w obozie. I większość z tych, którzy się zapisali miała zamiar uciec. Grupę ok. 200 osób zaprowadzono do dużej stodoły i powiedziano, że jutro zostaniemy zaprowiantowani, a tymczasem zabrano do obozu szkoleniowego. W nocy okazało się, że pilnuje nas tylko jeden radziecki wartownik, więc z tyłu stodoły zrobiliśmy dziurę i umówiliśmy się, że rano uciekniemy. Tymczasem rano okazało się, że część ludzi uciekła w nocy i stodoła była już otoczona wojskiem. Zabrali nas z powrotem do Miednik. Co pewien czas dosyłali tam niewielkie partie ludzi. Po ok. 2 tygodniach uformowali nas w kolumny i zagonili na stację kolejową i w wagonach towarowych wieźli gdzieś na wschód. Mieliśmy pietra, bo każdy z nas słyszał o Katyniu. Polacy z AK nie mieli wątpliwości, kto to zrobił.

wschód były traktowane po macoszemu, bo najważniejsze były te, które szły na zachód. Toteż często staliśmy na bocznicach i do **Kaługi** (ok. 1000km) jechaliśmy prawie 3 doby. Przez cały czas nie dawali wody, kto zjadł dany nam przy wyjeździe suchy „pajok” (chleb i solone suszone śledzie), to cierpiał okropnie. Ci, którzy mieli jeszcze zegarki czy buty, to sprzedawali je konwojentom za wodę. Za buty dostało się często wiadro wody i całe bractwo rzuciło się na to wiadro – jak zwierzęta.

Do Kaługi przywieźli nas ledwo żywych; były upały – połowa sierpnia. Na stacji za to witała nas orkiestra grająca Mazurka Dąbrowskiego! Połowa z nas nie mogła sama się poruszać; część od razu poszła do „sanczasti”, część dopiero po paru tygodniach doszła do siebie. Kiedy wysiedliśmy z wagonów, to dopiero zobaczyliśmy, że były na nich napisy: „śmierć izmiennikom rodziny” – dlatego nas po drodze ludność miejscowa na stacjach obrzucała kamieniami.

W Kałudze zaprowadzono nas do łaźni, zabrali polskie ubrania, dali stare mundury radzieckie po rannych lub zabitych (były ślady po strzałach lub odłamkach).

Sformowano z nas 361 pułk strzelecki w ramach 31 dywizji strzeleckiej radzieckiej. Podzielono nas wg roczników, np. 28 rocznik zwolnili do domu, ale 27 – już nie, więc ja zostałem. Należałem do 4 rotы któregoś batalionu, a ponieważ byłem wysoki, więc chodziłem w 1 czwórce. Dali nam makiety karabinów i zaczęli ćwiczyć w walce na bagnety – od rana do wieczora.

Cały pułk w Kałudze liczył ok. 5 tys. osób. Ponieważ nie mieli nawet gwiazdek, więc każdy z nas musiał sobie wyciąć gwiazdkę z puszki po konserwie („swinnaja tuszonka”) i przypiąć ją na furazerce. Możliwości protestu nie było, bo wsadzali do karceru, albo wywozili nie wiadomo gdzie. Panował psychiczny terror – wiedzieliśmy na co ich stać. Mówiono nam tak: „Dalismy wam możność pójścia do Armii Berlinga – polskiej armii, wyście nie chcieli. Rozbrojono was na terenie Litewskiej Rep. SSR, jesteście obywatelami Związku Radzieckiego, więc będziecie teraz w Acz”.

Zabrano nam wszystkie papiery – nie mieliśmy żadnego dokumentu. Spisywali nas według danych, które podawaliśmy ustnie, tak że można było podać same fałszywe dane. Potem jednak to jakoś sprawdzano i złapanego na fałszowaniu danych karano.

Oficerowie ze „specczasti” – opiekunowie polityczni wołali niektórych z nas i rozmawiali. Przypuszczam, że oficerowie mieli wśród nas swoich donosicieli, albo wcześniej wysłanych do oddziałów AK albo zwerbowanych tu w obozie. Kiedyś palnąłem taki wierszyk „Choroszo w kraju radnom, pachniet sianom i gownom” I zaraz mnie zawołali do politycznego, który zarzucił mi prowadzenie antyradzieckiej propagandy.

Wy tłumaczyłem, że to wierszyk rosyjski i nie ja go wymyśliłem. Ale nie chodziło o

wierszyk, tylko o sterroryzowanie nas albo namówienie do współpracy. Oficer, który ze mną rozmawiał, groził mi pistoletem i wymyślał od polskich panów. Powiedziałem, że ja nie jestem „z panów”, ale synem robotnika socjalisty. A ten wrzeszczał, że socjaliści to tacy sami faszyci, jak Niemcy.

Po ok. 4 miesiącach ćwiczeń uznali, że jesteśmy wyszkoleni. Pogonili do łaźni, dali nowiutkie mundury. Zaczęły krążyć pogłoski, że chcą nas zmusić do złożenia przysięgi. Pewnego dnia wygonili nas na pole, stały tam stoły zasłane czerwonym suknem, stanął za nimi dowódca pułku i powiedział: „Macie teraz honor złożyć przysięgę na wierność Związkowi Radzieckiemu”.

Myśmy się umówili, że nie będziemy przyjmować tej przysięgi. Pułkownik czytał słowa przysięgi, a myśmy mieli je powtarzać. Ale nikt nie powiedział słowa – była cisza zupełna! – 5 tysięcy ludzi stało w milczeniu; nikt nie odważył się powiedzieć: „ja, obywatel Związku Radzieckiego....”

Dowódcy przeszli nad tym do porządku dziennego i kazali podchodzić do stołu i podpisywać druczki z tekstem przysięgi. Byłem w pierwszej czwórce, więc jako jeden z pierwszych podszedłem do tego stołu i wszyscy czterej odmówiliśmy podpisania tego druku. Wołają żołnierzy, każą zdjąć naramienniki, pas, zabierają sznurowadła – i na bok. Mieliśmy trochę pietra, nie wiedzieliśmy co nas czeka, ale z drugiej strony nie mogliśmy złożyć tej przysięgi; wtedy człowiek byłby od nich całkowicie zależny. Baliśmy się też, że jako żołnierzy mogą nas rzucić w taką „dziurę” na froncie, że Niemcy od razu nas zniszczą. Dlatego postanowiliśmy nie dać zapędzić się na front. Co prawda i tak nie mieliśmy pewności, czy nawet bez tej przysięgi na front nas nie wyślą.

Okazało się, że tylko te pierwsze czwórki zostały ukarane karcerem (na kilka dni), a pozostałych już tylko pytano, czy podpiszą; nikt nie podpisał.

Potem wszystkich zapędzono do łaźni, dali znowu stare łachy – i do roboty. Najmłodszych (w tym mnie) posłali do wyładunku wagonów, a resztę do wyrębu lasu.

O ile mi wiadomo, do Kaługi trafili również żołnierze AK narodowości białoruskiej i ukraińskiej, bo spotykałem ich. Niewielu ich było i mieli większe fory u Rosjan. W pierwszym okresie starano się ich skaptować i nakłonić do współpracy (przekonać, że „polskim panom” nie ma co pomagać i trzeba ich demaskować). Ale chyba nie wszystkich dało się do tego nakłonić i kapusiami mogli być nie tylko Ukraińcy i Białorusini, ale i Polacy. W każdym razie widać było wyraźnie, że oni nas tam niszczyli – jako Polaków. Dowódcy podobno otrzymywali informacje z frontu o działalności naszej partyzantki i nienawiść skupiali na nas.

Ponieważ ja już wtedy miałem wrzód dwunastnicy i źle się czułem, więc zgłosiłem się do „sanczasti”. Zrobili mi badania i wysłali do szpitala. Przywozili tam również rannych

Rosjan z frontu. Jak ci dowiedzieli się, że ⁷ jestem Polakiem, zaczęli mnie szykanować i chcieli wyrzucić ze szpitala. Opowiadali różne głupstwa, np., że na terenie Polski Rosjan trują mlekiem, strzelają zza węgła; żaden z nich tego nie doświadczył, ale powtarzali „opowieści” propagandowe.

Po wypisaniu mnie ze szpitala dostałem pracę przy spławianiu drewna Oką. Dali nam bosaki i trzeba było wyciągać kłody drzew z rzeki. Była to bardzo ciężka praca. Był już listopad, zimno. Postanowiliśmy z kolegą uciec. Skombinowałem pół cywilne ubranie (spodnie, sweter, szynel bez pagonów). Zamierzaliśmy dostać się do Wilna. Obóz nie był strzeżony; mieszkaliśmy po pracy w ziemiankach, z których można było wychodzić. Ale wieczorem dowódca sprawdzał; było nas kilkadziesiąt osób, więc łatwo można było zauważyć czyjaś nieobecność. Wlałem do maszynisty pociągu, który w pobliżu przejeżdżał, opowiadając jakąś bajeczkę, dlaczego ja muszę jechać do Wilna. On się bał, bo na stacjach i w pociągu były lotne patrole wojskowe NKWD. Ale w końcu się zgodził. Podobno następnego dnia od razu zaczęli nas szukać, ale jakoś nam się udało uciec.

Taśma III A

Maszynista kazał mi sypać węgiel do paleniska - niby jako pomocnikowi palacza. Powiedziałem, że mi ukradli dokumenty, więc umówiliśmy się, że jak będą patrole sprawdzały dokumenty, to ja się gdzieś schowam. Z kolegą postanowiliśmy, że każdy na własną rękę będzie się starał dostać do Wilna pod umówiony adres. pewnego razu, w nocy patrol mnie zaskoczył, udało mi się wyskoczyć z parowozu, ale oni zatrzymali mnie. Opowiedziałem taką samą historię, co maszyniście, ale zaprowadzili mnie na posterunek na jakiejś stacyjce. Milicjant, który mnie tam zaprowadził miał pełne ręce roboty, bo w pociągu było mnóstwo ludzi bez dokumentów.

Na posterunku zamknęli mnie w komórce z oknem i kazali czekać przez noc. Ja oczywiście to okno otworzyłem. Wsiadłem do towarowego pociągu jadącego na zachód. I udało mi się dotrzeć do Wilna!

Zgłosiłem się od razu na punkt kontaktowy, ale kolegi tam jeszcze nie było. Pojechałem do rodziny. Wiedziałem jednak, że w pierwszej kolejności tam mnie będą szukać, więc ukryłem się u nich, przeczekałem parę tygodni, potem pojechałem do mojej ciotki koło Wilna. Pomagałem jej trochę w gospodarstwie.

Starałem się nawiązać dawne kontakty partyzanckie. Okazało się, że część ludzi wyjechała do Polski, część została aresztowana i cała konspiracja była rozbita. Spotkałem raz na ulicy znajomego, którego poprosiłem o załatwienie dokumentów, abym mógł wyjechać legalnie do Polski. Musieli mi wystawić dowód radziecki, specjalne zwolnienie z komisji wojskowej (tam nigdy nie figurowałem) i dopiero potem można było starać się o

kartę repatriacyjną. Sprawa była więc dość skomplikowana. Znajomi załatwili mi dowód osobisty, ale powiedzieli, że z „Wojen-komatu” nie mogą zdobyć zaświadczenia. Na terenie Wileńszczyzny (jak wszędzie) AK zostało rozwiązane, ale tu powstała nowa organizacja „Niepodległość” o kryptonimie „NIE”. Znajomy początkowo nie chciał mnie z nikim skontaktować, ale kiedyś umówił się ze mną, spytał, czy uważam, że nadal obowiązuje mnie przysięga złożona w AK. Powiedziałem, że tak, a on obiecał, że skontaktuje mnie z organizacją. Ostrzegał mnie, że teraz to jest sprawa poważniejsza niż za Niemców, bo bolszewicy mają wszędzie konfidentów. Najchętniej brali do współpracy Żydów, bo ci znali dobrze środowisko miejscowe i mieli do Polaków pretensje, że mało wysiłku włożyli w ratowaniu ich przed Niemcami. Oprócz tego Polacy korzystali z majątku pozostawionego po wywiezionych Żydach. Część Żydów ocalała i ci, po wkroczeniu Rosjan poszli na współpracę. Chcieli odebrać swoje rzeczy i mieszkania. Były straszne sceny, bo wchodzili z sowiecką milicją do mieszkań i bili ludzi zmuszając ich do przyznania się kto co brał: jeden wziął poduszkę, inny pierzynę, jeszcze inny stół – i za to też można było dostać parę lat. Terror był jak cholera!

Grupy związane z „Niepodległością” lały takich kapusiów. Poza tym robiło się napady na posterunki, w których pracowało kilku milicjantów radzieckich, a reszta to była miejscowa ludność – młodzi chłopcy. Oni byli bardzo niebezpieczni, gdyż znali język polski, miejscową ludność, mieli spenetrowaną całą siatkę AK-owską. Litwini wtedy już byli prześladowani przez Rosjan i stworzyli własną organizację działającą podobnie jak nasza :NIE”. Wspólnych akcji nie było, bo i u nas i u nich były małe grupy, dobrze zakonspirowane.

Najczęściej wychodziło się w nocy, załatwiano sprawę, rano przychodziło się do domu, broń chowało i nikt o tym co robimy nie wiedział.

Znany mi jest jeden taki przypadek: jedna Żydówka, która przed wojną miała sklep i uchodziła za bogatą, uratowała się jakoś przed wywiezieniem do getta umówiła się z jednym wieśniakiem, że za przechowanie jej będzie mu płaciła miesięcznie 10 rubli w złocie. Wieśniak wykopał piwnicę pod domem i tam ją przechowywał i karmił. Robił dla niej dużo za te 10 rubli, bo nie była to wygórowana kwota. Przechowywał ją ponad rok. Jak przyszli bolszewicy, ona zgłosiła się do nich i zadenuncjowała tego chłopca, że bezprawnie brał od niej pieniądze, a powinien ukrywać ją bezinteresownie. Chłop dostał 10 lat łagrów, a jego rodzinę wywieźli. A była to biedna rodzina – pięcioro dzieci. Ja dowiedziałem się o tym od jego syna, który początkowo się ukrywał, ale go złapali i wywieźli do obozu, w którym się poznaliśmy.

Kiedyś zrobiliśmy napad na posterunek i zabraliśmy dokumenty. Wśród nich były donosy i można było stwierdzić, kto donosił NKWD.

Był początek 1946r. Czasem w trakcie akcji na posterunki byliśmy zmuszeni bić, a nawet zabijać, kiedy była walka i milicjanci bronili się z bronią. Chodziło o to, żeby było jak najmniej ofiar, ale czasem nie było wyjścia.

NKWD-ziści byli znienawidzeni nie tylko przez ludność polską, ale też przez swoich – przez normalne wojsko radzieckie. Bo oni na swoich żołnierzy też donosili. Np. w czasie wojny byli na tyłach armii i strzelali do swoich żołnierzy, którzy chcieli wycofać się z walki.

Taśma III B

Organizacja „Nie” latem 1946r. także chyba przestała istnieć, albo bardzo się zakonspirowała, bo straciłem z nią kontakt. Ludzie, z którymi się kontaktowałem zostali aresztowani. Ukrywałem się wtedy u swoich krewnych. Po pewnym czasie znalazłem swojego kolegę z AK, który mówił, że na granicy za Grodnem mieszka Polak, który pomaga przedostać się na teren Polski za pewnym wynagrodzeniem. Sprawa miała być pewna. Było to w rejonie Sokółki. Skombinowaliśmy pieniądze i we trzech postanowiliśmy dotrzeć do granicy na własną rękę (sierpień 1946r.).

Udało mi się dojechać do Grodna. Miałem ze sobą rosyjski rewolwer, myślałem, że może mi się przydać. Dotarłem do wsi granicznej w nocy. Okazało się, że miejscowych Polaków w międzyczasie wywieźli. I zostałem sam. Do granicy było ok. 5-6 km, więc postanowiłem przejść sam, choć nie orientowałem się w terenie. Spotkałem jakąś babcię – Polkę, która powiedziała mi, że na granicy jest zaorany pas, na którym widać każdy ślad. Poza tym rozciągnięto druty, do których przymocowano rakiety wystrzeliwujące, jak się pociągnęło za drut. Polska straż graniczna współpracowała z sowiecką i wydawała uciekinierów sowietom.

Oczywiście nie udało mi się przejść tej granicy. Sowietci siedzieli w zasadzce, z psami, pies wyskoczył i rzucił się na mnie. Zdażyłem tylko wyrzucić broń. Związali mnie i czekali; myśleli pewno, że to przechodzi cała grupa, a ja jestem tylko wywiadowcą. Po godzinie odprowadzili mnie na strażnicę.

W czasie przesłuchania musiałem powiedzieć, że uciekłem z Kaługi, bo inaczej musiałbym coś wymyślać, skąd się tam wziąłem. Myślałem, że z powrotem odeślą mnie do

Kaługi, ale nie miałem dokumentów, więc zawieźli mnie do więzienia w Grodnie.

Siedziałem tam 2 miesiące; w celi przeznaczonej dla 4 osób siedziało nas 25 więźniów.

Nie można było nawet wyciągnąć nóg. Spało się tak, że jeden leżał z rozkraczonymi nogami, a drugi kładł

mu głowę na brzuchu. Leżeliśmy na betonowej podłodze. Do śmierdzącej paraszy chodziło się w nocy po ludziach.

Byli tam Polacy, chłopci białoruscy i litewscy (oskarżeni o jakąś agitację czy sabotaż) i radzieccy złodzieje, którzy przyszli za wojskiem i grabili miejscowych chłopów. Wzywany co pewien czas na śledztwo byłem w kółko pytany o to samo: do kogo w Polsce wałem, co robiłem itp. Raz zapytano, czy chcę wrócić do Kaługi, ale pomiąłem to milczeniem.

Po dwóch miesiącach przyszedli do celi i odczytali wyrok. Sądziły nas tzw. Trójki [OSO]. Mnie dali dwa paragrafy: wyrok za ucieczkę z Kaługi i próbę przekroczenia granicy; w sumie – 3 lata obozu pracy przymusowej [ITŁ] – nie sumowali wyroków za poszczególne paragrafy.

Kiedyś jeszcze pytałem śledczego dlaczego mnie nie skierowali z powrotem do Kaługi, to powiedział, że jak dostanę wyrok i odpracuję go, to wtedy wyjadę do Polski. Posiedziałem w więzieniu jeszcze parę tygodni – i na etap.

W więzieniu w Grodnie poznałem jednego Polaka spod Mołodeczna, który już kilka lat wcześniej był w obozach rosyjskich. To był chyba jakiś złodziejasek. I on mi rad udzielał – jak się należy zachowywać w więzieniach i w obozach. Radził mi, żebym się razem z nim trzymał w podróży i żebyśmy próbowali dostać się do ostatniego wagonu, bo może uda się uciec przez dziurę do załatwiania się.

Przed wyruszeniem na etap wymieniłem z jednym chłopem swoje buty na amerykańskie kamasze, a kurtkę na kozuch. Potem okazało się, że zrobiłem bardzo źle z punktu widzenia regulaminu więziennego. Przed etapem zrobili szczegółową rewizję: rozbierali nas do naga i nawet do odbytnicy zaglądali. Ten, który nas rewidował, jak tylko zobaczył te moje amerykańskie kamasze, to poodrywał mi podeszwy i wyciągnął stalowe płytki usztywniające buty. Po wyjęciu płytek, z oderwaną podeszwą buty nie nadawały się do chodzenia; musiałem je podwiązywać sznurkiem.

Uformowano nas w piątki, poprowadzono na stację; trafiliśmy do ostatniego wagonu. Ale bolszewicy wiedzieli, że więźniowie uciekają i założyli ramę stalową na zderzaki ostatniego wagonu: jeśli ktoś wyskoczył z jadącego pociągu, to opuszczona stalowa szyna zgmiotłaby go na miazgę.

Pojechaliśmy oczywiście na wschód. Trasy nie pamiętam; okienka były zabite deskami. W tym bydlęcym wagonie było nas chyba z 80 osób. Spało się na podwójnych półkach, część na podłodze. Na dachu wagonu umieszczono karabin maszynowy, konwojenci stale tam chodzili, rozmawiali, stukali, więc nawet zasnąć było trudno.

Podróż trwała ok. miesiąca. Pociąg gdzieś stawał, czasem po parę godzin. Gotowali dla nas owsiankę z owsa niedokładnie obłuskanego, dawali kubek kawy czy herbaty i 500g chleba dziennie.

Dojechaliśmy do Buchty Nachodka. Tam zagonili nas do obozu tranzytowego, w którym trzymali nas ok. miesiąca. Był już listopad [1945r.] W obozie tym znajdowało się tysiące więźniów – może ok. 5 tysięcy; wszystkie narodowości z ZSRR, Polacy, Węgrzy, Rumuni....

Taśma IV A

W różnych obozach spotkałem Polaków komunistów, którzy walczyli w Hiszpanii i którzy z różnych paragrafów politycznych zostali skazani na obozy. Niektórym z nich udało się zatrzymać w obozie przejściowym w Nachodce. Pracowali tam w administracji obozowej. I to oni opowiadali mi, że stąd transporty odchodzą tylko na Kołymę i że bym starał się najdłużej zaczepić w Nachodce. Dziwili się, że ja mając wyrok tylko 3-letni zostałem wysłany tak daleko.

W Nachodce tym tysiącom ludzi nie mogli zapewnić naczyń do jedzenia, więc robiło się samemu miski z puszek po „swinnoj tuszonce”. Czas na jedzenie był ograniczony, np. na zjedzeni zupy dawali tylko 15 min. i cały barak musiał się w tym czasie zmieścić. /Baraków było kilkadziesiąt - w obrębie zon rozdzielonych kolczastymi drutami. Jak przychodził transport, to segregowali ludzi do poszczególnych zon – do suk, złodziei, politycznych/.

Jak ktoś nie miał miski, to musiał wlewać zupę do czapki (mieliśmy takie „uszanki”). Wywracało się czapkę na lewą stronę i wlewało się do niej zupę. Ziemniaki w wodnistej zupie były nie obierane. dziennie – 500g chleba.

W czasie mojego miesięcznego pobytu odchodziły z Nachodka transporty do obozów. Mimo ostrzeżeń myślałem, że może już lepiej jechać do obozu, niż tam siedzieć: karmili bardzo źle, złodzieje kradli, można się było wykończyć. Niektórzy ludzie, wracający ze stacjonarnych obozów, mówili, że tam wcale nie jest tak źle, że jak się wyrobi normę, to można dostać dodatkowe jedzenie itd.

Jaka była polityka władz obozowych? Wiedzieli, że złodzieje nie chodzą do pracy, bo mają swój kodeks honorowy, więc trzymali ich w specjalnej zone. Były przypadki, że złodzieje się tam zabijali, a władze nie prowadziły dochodzenia, tylko trupowi brali odciski palców, żeby go zidentyfikować i zapisać, że zmarł.

Władze pozwalały złodziejom, którzy złamali kodeks złodziejski (czyli tzw. sukom) iść na wachtę (wartownię) i przenosili do innej zony, żeby ich „prawdziwi” złodzieje nie zabili. Wg „worów” złodziejowi łamiącemu kodeks, głównie przez współpracę z władzami, groziła kara śmierci. Władze utworzyły więc zony „suk”. „Suki” starały się dopadniętego złodzieja „zsuczyć”, a jak się nie dał, to go zabijali. Był taki rytuał „suczy” wg którego złodziej stawał się suką: łapali złodzieja, bili go i kazali pocałować nóż, którym wcześniej

zabito jakiegoś złodzieja. Jak pocałował, to stawał się suką. Podawano to do publicznej wiadomości i ten człowiek nie mógł już wrócić do klanu złodziei, bo ci by go zabili.

Byli złodzieje, którzy woleli dać się zabić niż stać się suką.

Między sukami też były różne ugrupowania walczące między sobą.

Wśród więźniów z paragrafu złodziejskiego byli przeważnie Rosjanie, ale też Ukraińcy, Białorusini i inne narodowości z całego ZSRR.

W Buchcie Nchodka jak administracja obozowa chciała się zemścić na jakiś złodziejach czy sukach, to niby przypadkiem wpuszczała niewielką grupę suk do zony złodziejskiej lub odwrotnie i tam ich „mieszkańcy” zony zabijali (mieli zawsze jakieś prymitywne noże). Czasami „interweniowali” strażnicy z wież – strzelając do ludzi jak popadnie. Krew się wtedy lała strumieniami – jak mówiono.

Jak władze poznawały, kto jest worem, a kto suką? Worowi w najmniejszym stopniu nie wolno było pracować, ani wspomagać administracji obozowej; wpędzali grupę więźniów do zakazanej zony otoczonej drutem kolczastym, wysokim płotem i pasem zaoranej ziemi, i kazano im w obrębie tej zony wyrwać trawę. Złodziej nie pochylił się i nie wyrwie trawy, ale suka wykona ten rozkaz i w ten sposób rozdzielano te dwie grupy. Złodzieje nie wykonywali żadnej pracy w obozie, ale dostawali lepsze jedzenie niż my, bo wszystkich terroryzowali.

Władze obozowe składały się z: administracji wewnątrz-obozowej, w której pracowali więźniowie (nariadczyk-porządkowy, dniwalni, kucharz, piekarz itp.) – tzw. pridurki oraz administracja naczelna. Było to normalne wojsko NKWD, mieszkające oczywiście na zewnątrz obozu. Byli to: naczelnik obozu, jego zastępcy, strażnicy, konwojenci itp. Nadzorcy („nadzieratiel”) mieli przydzielone do opieki poszczególne baraki; nie wolno im było wchodzić strefy obozowej z bronią, więc źle się czuli w zonach złodziejskich. Takiemu nadzorcy można było składać zażalenia itp. Nie miało to żadnego skutku, ale takie były przepisy.

[Od 1947r.] były trzy kategorie obozów [na Kołymie – przyp. MG]: normalny ITŁ, Bierłag – obozy specjalne dla politycznych z dużymi wyrokami i katorga – najcięższe roboty i warunki (czasem na noc przykuwano ich do ściany) i nie mogli pracować w administracji obozowej. Numery obozowe nosili tylko katorżnicy i Bierłag. Obozy te były oddzielone od siebie i każdy z nich miał inny regulamin pracy i norm. ITŁ pracował po 8 godzin, Bierłag – 9, a katorżnicy mieli dodatkowe obciążenia.

Po miesiącu pobytu w obozie tranzytowym załadowali ok. 3 tysiące ludzi na statek. Był to polski statek – wszystkie odlewy mosiężne miały napisy po polsku, ale teraz statek nazywał się „Sowietskaja Łotwija”. Był to jego drugi rejs na Kołymę. Siedzieliśmy w ładowniach z pryczami.

Był listopad [1946r.] – czyli najmniej sprzyjający okres nawigacji – burze i sztormy. Jak wypłynęliśmy na otwarte morze to wiało do 9 st. Beauforta.

Dali żywność na 7 dni (suchary, solona ryba i woda), ale płynęliśmy 10 dni, więc przez 3 dni w ogóle nie było jedzenia. Ale i tak wszyscy cały czas chorowali na chorobę morską; starosta grupy pobierał żywność dla wszystkich, ale mało kto jadł. Załatwialiśmy się do beczek w ładowniach. Na pokładzie były latryny, ale przy tym wietrze nie można było wyjść.

Na statku też prym wiedli złodzieje: brali żywność dla całej grupy, kradli mąkę itp. Rozpalali sobie ognisko na samym dnie statku i piekli sobie placki. Dla nich było to normalne życie.

Dopłynęliśmy w nocy do zatoki Nagajewo, a tam przy brzegu było już pół metra lodu. Statek stanął więc kilkanaście kilometrów od Magadanu. Zaczęło się wyładowywanie. Większość ludzi nie była w stanie utrzymać się na nogach, więc silniejsi ich wyciągali. Potem, jeszcze na lodzie koło statku, wszystkich musieli przeliczyć – musiała się zgadzać ilość sztuk. W czasie drogi na statku zmarło kilkadziesiąt osób; też ich trzeba było wyciągnąć.

Tych, którzy mogli się sami poruszać gnano piechotą po lodzie do Magadanu, a resztę (m.in. mnie) przewieziono ciężarówkami. Brano nas za ręce i nogi i wrzucano po kilkadziesiąt osób do jednej ciężarówki. Parę osób zadusiło się w czasie tej drogi. Ludzie byli przecież półprzytomni po 10 dniach takiej podróży.

IV B

Przywieźli nas do obozu przejściowego w Magadanie. Siedzieliśmy tam kilka miesięcy, bo musieli nas podkurować przed wywiezieniem do dalszych obozów.

W styczniu lub lutym 1947r. wsadzono nas do ciężarówek i wieziono na północny zachód. Jechali prawie sami polityczni. Droga była ciągle zawiewana śniegiem. Trasę wyznaczały tyczki o wysokości do 3m, czasem do połowy zasypane śniegiem.

W okresie zimy wiały na Kołymie bardzo silne wiatry i większość dróg była całkowicie zawiewana i nieprzejezdna.

Co kilka kilometrów usytuowane były „komandirówki”. Mieszkało tam kilkudziesięciu więźniów bez konwoju (tzw. bezkonwojni - z małymi wyrokami, albo tacy, którym już niewiele zostało do końca wyroku). Otrzymywali żywność i sami sobie gotowali, a do ich obowiązków należało odśnieżanie drogi. Czasem polegało to wprost nakopaniu tunelu w

śniegu, jak purga zawiąła ze 3 metry.
pracowały w pobliżu miast.

Spychaczy było bardzo mało i przeważnie

Nasza droga (w ciężarówkach obitych deskami, z piecykiem żeliwnym w środku) trwała przeszło tydzień. W jednej ciężarówce jechało ok. 30 osób Dostawaliśmy suchy prowiant – suchary, soloną rybę i kawałek cukru. Czasem były postoje przy „komandirowkach” lub obozach usytuowanych przy różnych zakładach przemysłowych lub kopalniach. W tych obozach dostawaliśmy coś gorącego do jedzenia, czasem nocowaliśmy. Wpuszczano nas do wydzielonej strefy albo do wolnego baraku. Z mieszkającymi tam więźniami nie wolno nam było kontaktować się, rozmawiać. Czasem tylko przez druty próbowaliśmy krzyczeć i pytać, skąd są, czy są Polacy, ale rzadko. Na trasie do Indygirki obozy te miały nazwy, które zaznaczyłem na szkicu. Przy każdej kopalni zbudowano osiedla („posiołki”) i po kilka obozów. Od głównej drogi odchodziły boczne – do innych kopalni, przy których też były obozy. W Arkagale [Arkagała], gdzie było kilka kopalni węgla, było rozwidlenie dróg: jedna biegła na północ nad Indygirkę (przez Buduguczak, Artyk, Burustak, Ust Nerę), druga odnoga skręcała na zachód i prowadziła do Jakucka (przez Ojmiakon, osomak, Kandygę nad Ałdanem, jetikiel, Czerkiesk, Czurupcza, Tungaloj, Bestiak – nazwy miejscowe).

Trasa podróży biegła początkowo dolinami rzek, a dalej na północ jechało się drogą wyrąbaną na stokach skalistych gór [Wierchojańskich]. Tam było bardzo niebezpiecznie, bo ślisko, wąsko (ok. 4 m szerokości) i kręto. Na serpentynach ciężarówki czasem spadały w przepaść. Na takiej drodze nie można było się zatrzymać, bo jak zgasł motor, to nie można go było potem uruchomić, ale jak jechała naprzeciwko inna ciężarówka, to jedna musiała się zatrzymać, bo inaczej nie minęłyby się. Pod zatrzymanym samochodem palono pod silnikiem ognisko i dopiero po rozmrożeniu go można było dalej ruszyć.

Zawieźli nas do Ust Nery, z której budowano dalej drogę w kierunku rzeki Indygirki. Pracowaliśmy przy budowie tej trasy. Im dalej na północny wschód tym warunki były coraz trudniejsze – nie tylko bytowe, ale i klimatyczne. Niedaleko znajdował się „biegun zimna” – Ojmiakon, gdzie temperatura dochodziła do –70 st. C; tam, gdzie my pracowaliśmy mrozy dochodziły do –60 st. C.

Budowana droga biegła przez różne podłoże. Miejscami były twarde skały i tam wyrąbiano z jednej i drugiej strony drogi rowy odwadniające. Powierzchnię szosy wyrównywano żwirem lub odłamekami skał. Na odcinkach prowadzących przez tundrę znajdowały się bagna; ziemia rozmarzała tam latem do głębokości 1 – 3 m i tworzyły się bagniska nie do przejścia. Na takim terenie ścinało się drzewa, kładło na mokradła i na bale nawoziło się gruz skalny. Trzeba było dużo tego nanosić, ponieważ wszystko się zatapiało i należało zbudować nasyp.

W tundrze, tam gdzie rósł mech, były pastwiska reniferów, ale tam, gdzie myśmy budowali drogę rosła niska ostra trawa, więc ani reniferów ani Jakutów nie spotykaliśmy. Ale wiem, że w miejscach, gdzie były pastwiska, sowieci utworzyli całe kołchozy – bo tam też wszystko skolektywizowali. Na południu Kołymy żyło dużo popielic, na które Jakuci polowali, a futerka musieli oddawać do spółdzielni łowieckich. Otrzymywali z tych spółdzielni amunicję, a oddawali futerka. Taki Jakut potrafił tak dobrze strzelać, że trafiał nie tylko w głowę popielicy, ale i w oko. Niektórzy Jakuci mieli krewnych na Alasce i jak zatoka Beringa zamarzła, to przeprawiali się na Alaskę i sprzedawali skórki w faktoriach amerykańskich. Oczywiście, jak ich przy tym przyłapano, to dostawali po 3 lata obozów za przekroczenie granicy – tak jak mnie. Siedziałem z takimi Jakutami. Źle znali rosyjski, ale można się było z nimi porozumieć. Opowiadali, że starano się ich skłonić do przejścia z jurt do domów w posiołkach, gdzie nawet zorganizowano szkoły jakuckie, ale oni, zwłaszcza starzy, budowali sobie jurtę koło tego domu i woleli tam mieszkać. Jakuci to bardzo gościnny naród. Nie rozumieli też, jak jeden człowiek może drugiego więzić i za co.

Były przypadki, że więźniowie starali się uciec na zachód – w kierunku Ałdanu. Na głównych trasach co kilkanaście kilometrów stały zapory i posterunki, ale można było je obejść, ale można było je obejść, chociaż z trudnością. Takich uciekinierów trudno jest złapać w tajdze i byli dużym kłopotem dla NKWD-zistów. Nawet wtedy, gdy udało się uciekinierów złapać, to w drodze powrotnej trzeba było ich przecież karmić. Musieli iść pieszo z psami, czasem kilkadziesiąt kilometrów, i wziąć ze sobą duży zapas żywności. Wartownicy więc, żeby się tak nie męczyć, po złapaniu więźnia zabijali go, odcinali ręce i przywozili je żeby zrobić odcisk palców w obozie – żeby wiadomo było kto to był. W protokole podawało się, że „został zabity w trakcie ucieczki”. Jeśli kogoś złapali bliżej obozu, to przyprowadzali do tego samego obozu, karali karcerem („burem”), okropnie bili i zwiększali wyrok.

Nie wiem, czy były udane ucieczki, bo przecież z nikim takim nie widziałem się potem.

Taśma V A

O ucieczkach wiem tylko to, co opowiadali ci, których złapano. A odbywało się to tak: grupa złodziei postanowiła uciec. skombinowali 9ukradli0 trochę soli i sucharów. Namówili do ucieczki dwóch młodych chłopaków, których niedawno przywieziono z Magadanu więc nie byli jeszcze bardzo wychudzeni i mogli służyć jako źródło ewentualnego pożywienia. W trakcie ucieczki przez tajgę jednego z nich zabili i zjedli. Rozpalili ognisko, wbili na patyk kawałek mięsa, opiekli, posolili – i jedli.... Nie chorowali po tym, bo przecież ludzkie mięso zawiera takie same składniki, jak inne.

Starano się uciekać wtedy, gdy stopniały śniegi. Do Leny były setki kilometrów. tak że poszukiwania trwały bardzo długo i uciekinierów lub ich odcięte ręce przyprowadzano czasem po miesiącu. Trudno było ustalić, czy ci, którzy nie wrócili żywi zginęli z głodu i żołnierze natknęli się na ich trupy, czy ich zamordowali. Chodziło o to, że w drodze żołnierze nie mieli ich czym żywić. Dlatego żadnych dochodzeń w tej sprawie nie było. Pamiętam jeszcze taki przypadek: kilku więźniów (złodziei) uciekło, a że nie orientowali się dobrze w stronach świata, więc zrobili sobie kompas: do buteleczki włożyli namagnesowaną płytkę stalową przywiązaną na nitce i jeden z końców tej płytki pokazywał północ. Nie wiedzieli jednak, że w tamtym regionie występują anomalie magnetyczne (złoża żelaza) i kompas kręci się w kółko.

Po tygodniu wędrówki i poszukiwaniach ich przez strażników okazało się, że wyszli niedaleko obozy, z którego wyruszyli. Kiedy straż dała im w kość, tłumaczyli, że postanowili sami wrócić, ponieważ zrozumieli, że nie uda się im uciec. I darowano im tę ucieczkę.

ucieczka nie była więc sprawą łatwą. Trzeba było przejść kilka tysięcy kilometrów na zachód, żeby wyjść nad Lenę, gdzie są już drogi lub można popłynąć statkiem. Po drugie, więźniowie nie mieli żadnych dokumentów, a na każdej zaporze drogowej zatrzymywali i sprawdzali papiery.

Mimo to, w obozach panował taki silny pęd do uzyskania wolności, że ludzie, którzy mieli mało wyobraźni i wiedzy – ryzykowali.

Wśród uciekinierów przeważali kryminalni. Liczyli na to, że im pomoże mafia złodziejska, która była już na swobodzie. Zaopatrywała ich w żywność i fałszywe dokumenty.

Więźniowie polityczni rzadko próbowali uciekać; chyba zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Jeśli chodzi o narodowość uciekających, to przeważali Rosjanie. Polacy i inni zupełnie nie mogli liczyć na pomoc z zewnątrz.

Były też takie przypadki, że w wielotysięcznym obozie, w którym strażnicy nie byli w stanie zapamiętać wszystkich twarzy, złodziej dowiadywał się, że komuś kończy się niedługo wyrok i zmuszał go do przekazania wszystkich danych o sobie i potem podszywał się pod tego więźnia i wychodził na wolność.

Oprócz politycznych i kryminalistów była jeszcze trzecia grupa więźniów – „specpieriesielency”. Byli to ludzie bez wyroków, wysłani na 6-letnią zsyłkę. Należeli do tej grupy żołnierze Acz, którzy znaleźli się w obozach niemieckich, lub pracowali gdzieś w administracji niemieckiej. Wywozili ich za „współpracę z Niemcami”. W ciągu tych 6 lat prowadzono dochodzenie. jeśli okazało się, że ktoś jest niewinny, to proponowano mu żeby na Kołymę sprowadził swoją rodzinę i został tu w pracy jako wolny. i wielu

zostawało, ponieważ zasymilowali się z miejscową ludnością, znaleźli dobrze płatną pracę, mieszkanie itp. A śledztwo przeważnie toczyło się długo, bo zanim z Magadanu pismo dojdzie np. na Ukrainę, potem ma przyjść odpowiedź, że trzeba coś jeszcze wyjaśnić, to ciągnęło się to całymi latami. Możliwe, że niektórzy wracali do domu, ale trzeba się było o to bardzo usilnie starać; zawsze NKWD jakiś „hak” znalazło i szantażowało.

Jakuci i miejscowa ludność pomagali uciekinierom, wskazywali kierunek, gdzie mają iść, dawali żywność itd. Jakuci nie rozumieli, dlaczego jakiś człowiek jest ścigany i zabijany. Ale z czasem NKWD zaczęło „przerabiać” Jakutów. Wyznaczano za głowę odpowiednią nagrodę. Jakut, gdy spotkał w tajdze więźnia miał prawo go zabić albo przyprowadzić żywego. Wystarczało również, żeby przyniósł odciętą rękę. W nagrodę dostawał spirytus, machorkę, cukier, sól, mąkę. NKWD stosowało również prowokacje. Przebierali się za więźniów i napadali na jakuckie jurty. To miało zniechęcić Jakutów do udzielania pomocy więźniom. Po takim napadzie przyjeżdżał jakiś „oper” z posiołka i wyjaśniał: „widzicie, wy pomagacie tym ludziom, a to są zbrodniarze, wrogowie władzy radzieckiej; wy im pomagacie w ucieczce, a oni napadają na was”. To chyba spowodowało, że ucieczek było coraz mniej. Człowiek, który nie może liczyć na pomoc innych, nie dostanie się przez tajgę do terenów zamieszkałych.

W obozie nad Indygirką osiedlono nas w baraku z dwupiętrowymi drewnianymi pryzmami. Zbudowane były z mokrych bierwion, między którymi, po ich wyschnięciu tworzyły się duże szpary; gnieździły się tam miliony pluskiew. barak mieścił ze 100 osób, a gdy trzeba było wsadzić do niego więcej ludzi, to spali oni na podłodze. Pośrodku baraku stała beczka po benzynie przerobiona na piec, z którego blaszane rury wyprowadzane były do komina przez dach. Paliło się przeważnie drewnem.

Praca trwała osiem godzin, ale im dalej przesuwała się budowa drogi, to tym dłużej trzeba było do niej dochodzić piechotą. Jak przyjechałem, to do pracy dochodziło się godzinę. Pracowaliśmy na rumowisku skalnym. Mieliśmy prymitywne sanie zrobione ze skrzyni przymocowanej do dwóch klocków, a do tego przyczepione druty; był to tzw. korab. Do koraba wchodziło ok. 300 kg kamieni. jedni kruszyli skały oskardami, ładowali do koraba, a dwóch ciągnęło – jak konie – korab po drodze. dziennie trzeba było wyciągnąć normę mierzoną w metrach sześciennych. Była to praca tak ciężka, że po 8 godzinach człowiek nie miał siły wracać do baraku. Ludzie mdleli. A pracowaliśmy na mrozie do –55 st.C. Poniżej tej temperatury był tzw. aktyrowany dzień – nie szło się do pracy. Jeśli w obozie byli złodzieje (wory), to ci nie chodzili w ogóle do pracy i brygady politycznych musiały za nich wykonywać plan. Ja musiałem nie tylko swój korab wywieźć na drogę, ale jeszcze ze dwa lub trzy za tego

złodzieja, który sobie siedział na narach w baraku i grał w karty. Jeśli normy nie wyrobiliśmy, to zmniejszano nam normy jedzenia. Rozliczano albo całą brygadę, albo parę więźniów, a np. przy piłowaniu lasy – pojedynczą osobę. W przypadku, gdy brygadzysta powiedział, że ktoś odmawia pracy (z politycznych) więźnia wsadzano do izolatora (tzw. barak usilnowo reżima - bur).

Na początku w ogóle nie mieliśmy bielizny. Na gołe ciało wkładało się „tiegorejke”, waciane spodnie i burki, czyli waciane walonki podszyte gumową podeszwą z opony samochodowej. Ubrania te szyli więźniowie w większych obozach. Na głowie mieliśmy czapki – „uszanki”.

Człowiek w takich warunkach powinien otrzymywać ok. 5000 kalorii w pożywieniu, a dostawaliśmy ok. 2000. Administracja obozowa hodowała w obozie świnie, karmiąc je resztkami z kotła; okradali w ten sposób więźniów. Mieliśmy dostawać ok. 40g mięsa dziennie, a dawano nam tylko ryby i tak naprawdę to tego mięsa nikt nie widział. Do jedzenia dostawaliśmy przeważnie kaszę owsianą z łuskami. Było to szkodliwe dla żołądka i jelit, gdyż łuski kaleczyły wnętrzności. Oprócz ryb i kaszy dawali nam chleb, do którego dodawano w czasie pieczenia dużo wody, więc był jak klajster – mokry i ciężki. Z jarzyn dawali kapustę krojoną na sieczkarni, kwaszoną. Była paskudna: śmierdząca i z dużą ilością piachu. Ziemniaków było bardzo mało, bo uprawiano je tylko w okolicach Magadanu. Żywność dowożono amerykańskimi ciężarówkami, oczywiście tylko w okresie, gdy trasa była przejezdna. Norma cukru wynosiła 14 g na dobę, ale cały cukier zabierali złodzieje. Do picia mieliśmy kawę zbożową. Poza tym dostawaliśmy „gadian” – fioletową kaszę podobną do gryki (kaszę chińską). Zaprawiali ją jakimś tłuszczem roślinnym („kombiżyrem”) lub olejem wyciskany z nasionek bawełny (tę bawełnę przywozili z Kazachstanu w olbrzymich cysternach). „Kombiżyr” to była twarda margaryna o nieprzyjemnym smaku, ale jednak starano się wykombinować kawałek tego tłuszczu.

Wszystko to, co było lepsze zabierali złodzieje: szli do kuchni, zastraszali kucharza i zabierali mięso, ryby, cukier... A administracja z drugiej strony też nas okradała zabierając kaszę dla świń.

W szpitalikach można było dostać tłuszcz foczy. Ale żeby do takiego szpitalika trafić, trzeba było już być „dochodiagą”. Szpitaliki te nazywaliśmy trupiarniami („dochoditówka”). Znajdowali się tam ludzie, którzy nie mogli się już poruszać, nie mieli w ogóle tłuszczu na ciele; gdy potarło się ich skórę, to sypał się z niej biały proszek.

Nad Indygirkę wysyłano tych, którzy mieli się wykończyć. Po przywiezieniu nas do obozu przyszedł jakiś nadzorca i powiedział: „Nie myślcie, że was tu przywieźli dla odbycia kary. Was przywieźli żebyście zdechli. Dlatego, że jesteście wrogami Związku

Radzieckiego.” Uprzedził więc nas, że stąd wyjścia nie ma. Przyjechałem nad Indygirkę w styczniu lub lutym, a na wiosnę ważyłem 45 kg (przy wzroście 182 cm).

Na początku, pod pozorem, że nie chcemy pracować albo że nie wykonujemy normy, bili nas, wsadzali do „buru” – karnego izolatora, dawali karną żywność: kubek ciepłej wody i 300 g chleba na całą dobę. Jeśli przy takim wyżywieniu siedziało się w izolatorze tydzień – to był już koniec. „Bur” to była ziemianka do połowy wpuszczona w zmarzlinę. Wsadzało się tam więźnia w samej bieliźnie, albo w letnich spodniach i kurtce. Temperatura była poniżej zera. „Bur” był podzielony na dwie części: izbę więzienną i przedsionek. Między nimi stał piec (beczka po benzynie – jak wszędzie). Strażnicy palili tam jednak tylko mchem po to, żeby było widać, że z rury idzie dym – żeby nikt im nie zarzucił, że nie dotrzymują regulaminu więziennego. Więźniów nie wypuszczali na załatwienie potrzeb fizjologicznych, więc każdy robił koło siebie. Natychmiast to zamarzało. Siedziałem tam raz z Litwinem, który tak się załamał, że obsiusiał własne nogi, odmroził je i potem obie mu ucięli. Sądził go jeszcze za to i dostał dodatkowo 15 lat obozu! A miał 25 lat obozu, więc tyle powinien pracować jako zdrowa siła robocza....

Ja miałem wyrok tylko 3 lata i ono mnie tam celowo wysłali. Oni mieli kartotekę – sztywne kartoniki z paskami przekątnymi w różnych kolorach. Każdy pasek odpowiadał jakiemuś paragrafowi, np. czerwone oznaczały, że więzień jest wrogiem ludu, nie może korespondować z rodziną, nie ma prawa otrzymywać paczek itd. na różne etapy sortowano więźniów wg pasków, nie zwracali uwagi na długość wyroku. Ja miałem 3 lata, ale mogłem być w kartotece, która kwalifikowała mnie, żebym zdechł. A ktoś inny miał 25 lat, a mógł chodzić wolno, np. gdy były oficer radziecki zastrzelił żonę z zazdrości, dostawał 10 lat, ale nie był wrogiem ludu. dzielili więźniów na dwie kategorie: „socjalnie szkodliwi” – złodzieje, bandyci, najgorsze szumowiny, a druga – „socjalnie(społecznie) niebezpieczni” – czyli wrogowie ludu i ZSRR – więźniowie polityczni. Jeśli kogoś zaliczono do tej kategorii, to miał ciężkie życie. Gdzie by nie był, to ta kartoteka trafiała zanim. Ja byłem „niebezpieczny”, bo uciekłem z Kaługi.

Taśma V B

W obozie nad Indygirką budowałem drogę do połowy 1947r. Latem byłem już zupełnie wykończony. Zresztą nie tylko ja – wszyscy, którzy pracowali przez całą zimę z naszego obozu (ok. 600 osób). Nasz obóz pracował na samym przodzie drogi budowanej nad Indygirką. Gdy przyszło lato, trzeba było jeszcze tę trasę poprawiać: zasypywać dziury kruszywem skalnym, ubijać ubijakami, wygładzać rowy.

Administracja obozowa miała więc dwa wyjścia: albo nas w ogóle wykończyć fizycznie, albo dać odpocząć, odżywić i zregenerować swoje siły.

Nie byłem zorientowany jaka była śmiertelność w obozie. Wiem, że ten, który spał obok mnie zmarł w nocy. Ale jeśli ktoś zmarł w drugim końcu baraku, to mogłem o tym nie wiedzieć, bo po pobudce leciało się szybko do stołówki, jadło się zupę z kawałkiem chleba – i do roboty. Nie wiedziałem, czy wszyscy wyszli z baraku, czy ktoś był chory, czy zmarł. Ale nie ulega wątpliwości, że wypadków śmiertelnych było dużo. Trafiali tam ludzie nawet ok. 50-ki, z wadą serca, uszkodzoną nerką, wątrobą itp. Taki człowiek z góry był skazany na przegraną, mógł nie doczekać lata.

Do obozu przyjechała jakaś komisja, oglądała tyłki. Jak tyłka nie ma i między nogami jest taka dziura, że pies może przeskoczyć, i widać same piszczele, to wtedy kwalifikują ludzi na „dochodilówkę”. Tam się nie wykonywało żadnej pracy, nikt się ludźmi nie interesował – wyżyjesz, to wyżyjesz, a zdechniesz, to zdechniesz; nikogo to nie obchodziło.

Mnie zakwalifikowali. Zawieźli nas kilkaset kilometrów do jakiegoś obozu i zamknęli w jednej ze stref. Ten obóz był słabo pilnowany, bo ludzie ledwo się poruszali. Z silniejszych stworzyli brygadę, która zaopatrywała kuchnię w drzewo. Trzeba było wyszukiwać suche żerdzie modrzewia, a ponieważ ten punkt sanitarny działał już długo, okolice były dokładnie oczyszczone z drewna i trzeba było coraz dalej chodzić, czasem po 5-6 km, zimą brnąć w głębokim śniegu.

W obozie trzymali konika jakuckiego, który służył oczywiście administracji. Opiekował się nim jakiś wozak- Ukraińiec. Gdy konik był wolny używali go do przywożenia drewna, ale jak zajęty czymś innym trzeba było przynosić drewno na własnych plecach i w obozie ciąć na polana do kuchni i do łaźni.

Jedzenie w tym obozie było trochę lepsze niż w normalnym: dawali nam ok. 700 g chleba dziennie, wydzielano po łyżce tranu, można było dostać drożdże przeciw skorbutowi, aspirynę (rzadko). Poza tym żadnych lekarstw nie było, ani witamin, ani antybiotyków. Robiło się tylko wywar z igieł „ślannika” [syberyjski cedr], który był bogaty w witaminę C.

Felczerem był jeden Polak, którego wywieźli z okolic Wilna w 1939r. ; prawie zupełnie nie umiał już mówić po polsku. Gdy dowiedział się, że ja również jestem z Wilna od razu zaproponował mi pracę w charakterze jego pomocnika. Oczywiście zgodziłem się.

Jeśli chodzi o stosunki między więźniami politycznymi, to trudno o tym mówić. Tam człowiek był tak otepiały i zmaltretowany, że w ogóle nie utrzymywało się żadnych stosunków. Po skończonej robocie każdy walił się natychmiast na prycę, zasypiał snem kamiennym, a rano budzili – i do roboty. Tak to szło.... Nikt nawet nie chciał ze sobą rozmawiać. Ja mogłem rozmawiać po polsku z Białorusinami i Ukraińcami, ponieważ znali

nasz język. Ale byłem w obozie jedynym Polakiem i jedynym z tak małym wyrokiem. Inni mnie nawet z tego powodu lekceważyli!

Niedaleko „dochodziłowki” był obóz katorżniczek-złodziejek. Chodziły ogolone, ubrane jak mężczyźni, zmuszano je do wycinania lasu. Jedna z katorżniczek, Rosjanka (miała na sumieniu kilka zabójstw), dostała się do naszego punktu sanitarnego jako chora, bo w pobliżu nie było żadnego szpitala. Ta kobieta była cała wytatuowana – od brody po pięty. Całe ciało miała pokryte różnymi obrazkami, głównie nieprzyzwoitymi, np. na jednej piersi stała pochylona kobieta, a na drugiej mężczyzna i kiedy ruszała piersiami, to wydawało się, że oni ze sobą kopulują. Na dole brzucha wytatuowała sobie napis: „wejście tylko dla złodziei”.

W stanie takiego wycieńczenia w jakim byliśmy, nie było mowy żeby uprawiać jakieś „figle-migle”. Ta Rosjanka była nawet dobrze odżywiona i gdy tylko doszła trochę do zdrowia, to dawała różne propozycje. A człowiek tymczasem ledwo żył i myślał tylko o jedzeniu! Według tych kobiet najbardziej obelżywym dla mężczyzny przezwiskiem było „panosnik” (zasraniec), czyli taki, który był do niczego – tak jak my.

Dotrwałem w tej „dochodziłowce” do zimy 1947 r. Przyjechała kilkusobowa komisja, w tym naczelnik regionu obozowego i „kupiec” – kierownik jakiegoś zakładu pracy, czy budowy drogi lub wycinki lasu, któremu potrzebna była siła robocza. Wybierali ludzi do pracy tak jak kiedyś na targu niewolników. Ludzie w obozach umierali i trzeba było uzupełnić „ubytki” w załogach. takim „następcą” mógł być człowiek z „dochodziłowki” – ten, który nie zdechł i miał tyłek wypełniony trochę mięsem.

Mój znajomy felczer kazał mi się ukryć: „Nie wychodź, bo masz już tyłek zaokrąglony, to cię wezmą”. Położył mnie do łóżka jako chorego.

Komisja zabrała z naszej zony do różnych obozów kilkadziesiąt osób. Ja zostałem.

Zima w roku 1947/1948 była straszna. Zaczęła się wcześniej i nie zdążyli dowieźć do „dochodziłowki” jedzenia. Nasz obóz nie leżał przy głównej trasie, która była oczyszczana ze śniegu, ale kilkadziesiąt kilometrów w bok, więc w zimie nie mieliśmy żadnych kontaktów ze światem. Zostaliśmy bez jakichkolwiek zapasów. Było parę beczek kapusty, trochę krup owsianych, ale to nie starczyło do wykarmienia całego obozu. A na dodatek [późną jesienią] zaczęli dowozić nowych „dochodiagów” z północnych regionów. Oni mieli już odmrożone ręce, nosy, chorowali na pelagrę [szkorbut], byli potwornie wychudzeni, nie mogli się sami poruszać.

Pewnego dnia przyszedł do felczera naczelnik i powiedział, że są trudności z dowiezieniem żywności, że złożył gdzieś meldunek, ale nie wiadomo, czy doszedł. I zostaliśmy na lodzie na całą zimę. Stopniowo zaczęli zmniejszać racje żywnościowe, aż w końcu okazało się, że nie ma co jeść.

W obozie był ten mały konik i dla niego było przygotowanych kilka ton makuchów słonecznikowych. Koniuch tłukł makuchy na drobne kawałeczki i dawał koniowi. Więźniowie wykradali koniowi te makuchy z torby. A koń brykał, gryzł, wiedział, że mu zabierają jedzenie. Ja nie kradłem tych makuchów, bo byłem sanitariuszem i żywiłem się nieźle przy tym felczerze, który przecież był szyczą, bo od niego zależało, czy kogoś wypiszą ze szpitala, czy nie.

Pewnego dnia koledzy pojechali konikiem po drzewo. Powiedzieli Ukraińcowi-koniuchowi, że jeśli nie zjedzą konia, to umrą z głodu. Złamali konikowi nogę, jakoś przykuśtykał do obozu, Ukrainiec dostał lanie straszliwe, ale powiedział, że koń wsadził nogę do wykrotu i złamał ją. Naczelnik uwierzył i kazał dobić zwierzę. Mieliśmy więc do jedzenia i konia i jego makuchy – przez prawie dwa miesiące. Oczywiście, najlepsze kawałki wzięła sobie administracja obozowa, bo oni też przecież byli głodni! A reszta jadła nawet skórę konika – po oskrobaniu, wyparzeniu i ugotowaniu. Z makuchów jedliśmy nasionka razem z łuskami, więc gdy człowiek robił kupę, to z kiszki stolcowej ciekła krew. Mnie do tej pory dwa razy cięli jelita, bo mam okropne zrosty i został mi tylko kawałek jelita cienkiego... Przez jakiś czas dawali nam chleb wymieszany z materiałem wybuchowym. Widocznie worki z amonitem (do prac górniczych) wozili razem z workami z mąką. Worki popękały, wszystko się pomieszało i z tego piekli chleb, który był strasznie gorzki. Ludzie nawet po nim wymiotowali.

Tej zimy bardzo dużo ludzi zmarło. Zmarłych układano za łaźnią, na golasa; lisy polarne przychodziły i obżerały ciała. Potem się okazało, że również ludzie wycinali kawałki ciała, chociaż właściwie były to same kościotrupy! Kiedyś wyszedłem w nocy z baraku „na siusiu” (ubikacja była na dworze; ten, kto sprzątał ten pisuar dostawał dodatkową porcję jedzenia) i poczułem, że z beczek, w których paliliśmy ogień roznosi się zapach mięsa. To więźniowie gotowali kawałki trupów w puszcze! Mówili, że to mięso z renifera, ale kto tam widział renifera?!

Nie chowaliśmy ciał, bo kto by tam kopał w śniegu i zmarzlinie. Dopiero na wiosnę trzeba było wszystkich oficjalnie spisać. Paliło się więc w łaźni i wrzucało tam trupy, żeby odtajały. Przyjeżdżał jakiś lipny lekarz, robił niby sekcję zwłok - rozcinał im brzuchy, potem zszywał drutem i każdemu wpisywał do aktu śmierci, na co dana osoba zmarła. Pisali więc w raporcie: zawał serca, niewydolność nerek, ostre zapalenie jelita, zapalenie mózgu, itp.

Na wiosnę(48r.) brygada wykopała duży dół i w nim zasypała te kościotrupy.. W tej wiecznej zmarzlinie leżą setki tysięcy ludzi! - leżą jak w lodówce....
Przed wrzuceniem do dołu przywiązywali do dużego palca prawej nogi kawałek dykty, na której był napisany numer sprawy. Tylko po tym można trupa zidentyfikować.

Na wiosnę 1948r. trochę żywności przywożono nam z okolicznych obozów. Mieliśmy już normalny chleb, kaszę, trochę tłuszczu. Człowiek to jednak bardzo wytrzymałe zwierzę! Trzeba się było jakoś zaadaptować. Nie chodziło tylko o mróz, głód, złe ubranie, ale także o życie pod ciągłą psychiczną presją. Istniała tam podwójna eksploatacja człowieka: z jednej strony administracja wymuszała wykonanie normy i znęcała się nad więźniami (bicie, karne porcje jedzenia, wsadzanie do izolatora), a z drugiej była presja tych złodziei, którzy nie pracowali i polityczni musieli za nich wykonywać normę. I od tego, jaki był stosunek ilościowy między złodziejami a politycznymi bardzo dużo zależało. Jak było 20 złodziei na tysiąc politycznych, to normę można było wyrobić. Zależało to też od tego, czy byli to wory czy suki. Bo wory mieli swój kodeks etyczny i nie znęcali się tak nad politycznymi, nie zabierali umierającym kromki chleba itp. Na ogół obozowi naczelnicy, którym zależało na wykonaniu normy (dostawali za to premię) tak układali proporcje politycznych i kryminalnych, żeby polityczni mogli tę normę wyrobić i za siebie i za złodziei.

Taśma VI A

Wśród przestępców pospolitych byli również tacy, którzy nie należeli do mafii złodziejskiej. Np. ja siedziałem z więźniem, który „na bańce” miał nieszczęście potraćić córkę prokuratora. To był swój człowiek, komunista, kierowca, który woził jakiegoś dygnitarza; gdyby potrafił zwykłego człowieka, to może sprawę by zatuszowano albo dostałby rok. A tak – wylądował na Kołymie z długim wyrokiem.

W obozie „dochodzących” podkarmili mnie trochę i jak nabrałem sił, to w maju [1949?] wywieźli mnie do obozu przy kopalni złota na północ od Ust Nery. Podróż trwała kilka godzin.

Z centralnych rejonów Rosji przysyłali wolnych ludzi – geologów, którzy do swych badań mieli do pomocy rozkonwojowanych więźniów. Trudno było sprowadzać w odległe rejony tajgi elektryczność lub maszyny spalinowe. Szurfy badawcze (rowy) – w poszukiwaniu złóż złota -kopano więc ręcznie.

Wolni ludzie, którzy przyjeżdżali tu do pracy nie byli przerażeni widokiem obozów, ponieważ przekonano ich, że więźniowie są wrogami ZSRR i zasługują na taką karę. Geolodzy nie mieli prawa wstępu do obozów; w pracy stykali się tylko z więźniami z małymi wyrokami, którzy chodzili bez konwoju. Ci więźniowie nie mieli prawa opowiadać czegokolwiek o swojej karze i życiu w obozach. Więźniowie, którzy pracowali

przy poszukiwaniach geologicznych mieli lepsze życie – dobrą żywność, a poza tym nikt nie stał nad nimi z bagnetem.

Kopalnie złota były albo odkrywkowe („pryiski”) albo głębinowe- podziemne. W odkrywkowych więźniowie kopali szurfy w zmarzlinie w której leżały piaski złotonośne. Potem zakładano tam materiały wybuchowe i zrywało się nadkład nad złożem. Jeśli pokład (żyła) złota biegła na głębokości 2-3 m to wydobywało się złoto odkrywkowo. Rozpalało się ognisko, żeby ziemia odtajała, wyrzucało nadkład łopatami i kopało się szurf. Po wybuchu, często razem z nadkładem wylatywały duże samorodki złota, które potem można było znaleźć w całej okolicy. Jeśli żyła złota biegła na głębokości ok. 10 m kopało się sztolnie. Były one bardzo wąskie, tak że ludzie pracowali w nich na kolanach albo na czworakach. Wypadków nie było dużo, bo w tej twardej zmarzlinie nie trzeba było ścian stemplować i tapnięcia były bardzo rzadkie.

Złoto występowało w różnej formie: samorodki (znaleziono jeden o wadze 10 kg!), albo wielkości grochu, albo ziarna wtopione w skałę. W tym ostatnim przypadku mielono skałę i specjalną metodą flotacyjną oddzielano złoto od skały,

Norma wydobywania złota wynosiła 14 g złota dziennie na jedną osobę, ale zależała ona od ilości złota w złożu i wydajności danej kopalni; dla każdej kopalni była inna.

W mojej kopalni pracowało 200-300 osób na dwie zmiany. Normę wykonywało się również za kucharza, piekarza itd. – czyli za tych, którzy nie pracowali w kopalni. W tajdze, w małych kopalniach robiło się wszystko ręcznie. Mieliliśmy tylko łopatę, kilof, taczkę, kołowrót – jak w średniowieczu! Taczkami podjeżdżało się pod szyb i kołowrotem wyciągało urobek.

W pobliżu dużych osad doprowadzano linie wysokiego napięcia lub instalowano własny generator – i tam sprowadzano maszyny, chyba nawet z Zachodu.

Po przepłukaniu skały złotonośnej, przesianiu jej przez specjalne maty, po odejściu zmiany, wieczorem, specjalny kasjer otwierał miejsca, gdzie położyło się [?] zebrane złoto, w obecności świadków [?] suszyło się je, sortowało i wsypywało do plombowanych woreczków, które potem układało się w specjalnych skrzynkach, też później plombowanych.

Administracja obozowa i kopalniana wiedziała, że tam wszyscy kradną – i więźniowie i ich wolni pracownicy. W kopalni, w której ja pracowałem administracja przymykała oczy na handel złotem w obrębie obozu, tzn. na dostarczanie złota „pridurkom”. A inni na tym korzystali, bo jeśli ktoś dostarczał złoto piekarzowi, to dostawał za to dodatkowy chleb, jeśli kucharzowi – zupę, itp.

Jeśli kopalnia nie mogła wykonać normy, czy to z powodu braku surowca, czy z braku sił u więźniów. to na pewien okres zwalniano więźniów z małymi wyrokami i ci mieli szukać złota na własną rękę. Wybierano oczywiście ludzi, którzy się na tym znali, głównie mieszkańców Syberii; byli to tzw. „staratiele”. Ja bym nie mógł być takim, bo się na tym nie znałem. Taki człowiek wędrował sobie całe lato szukając głównie samorodków. Przynosił je do obozu, a za to dostawał „suchy pajok”, a poza tym naczelnik obozu (jeśli chciał) odliczał mu 2-3 dni z wyroku za jeden dzień takiej pracy.

Podobnie „nagradzano” również ludzi, którzy pracowali w kopalni, jeśli się wykonało normę – były to tzw. zacioty, które wprowadzono na pewien okres [od 1949r. do 1954?].

Ja pracowałem w kopalni jako elektryk. Mielismy generator spalinowy i trzeba było doprowadzić światło. Trochę się na tym znałem; nie była to skomplikowana praca – wziąć kabel i podłączyć żarówkę. Jak na początku [w dochodówce] pytali: „jest elektryk?”, to wielu podniosło ręce, w tym ja, i tą metodą zostałem zatrudniony w kopalni przez stałego obozowego elektryka. Nie obowiązywała mnie tam żadna norma, ale pewno ktoś musiał ją za mnie wykonywać.

Na koniec sezonu naczelnik zamykał kopalnię, zbierał całe złoto i musiał rozliczyć wykonany plan. kopalnie, które nie wykonały planu w lecie, musiały pracować zimą w ogrzewanych barakach, do których wrzucano zmarznięta ziemię ze złotem, ona tam tajała i potem ją przepłukiwano. Specjalna brygada jeździła nad rzekę po lód, który po roztopieniu używano do płukania złotonośnej ziemi.

Tam plan był najważniejszy! Choćby i połowa ludzi zginęła, to norm nie zmniejszano, tylko dosyłano nowych więźniów.

Nie wiem, komu sprzedawano złoto. Widziałem tylko te zaplombowane woreczki, które zawierały ok. 20 kg kruszcu. Wywożono je (statkiem lub samolotem) do Magadanu, a stamtąd chyba do skarbcza ZSRR.

Ale rozwijał się handel nielegalny, głównie z Amerykanami. Na terenie Kołymy istniały bazy przerzutowe. Tam Amerykanie w czasie wojny dostarczali sprzęt i pożywienie dla Rosjan. Po wojnie ta pomoc się skończyła. Myśmy dojadali już tylko resztki amerykańskiego tłuszczu, mąki itp. Zostały jeszcze narzędzia; piły, siekiery, łopaty. Ja, będąc w obozie przy tej kopalni złota spotkałem jednego Amerykanina, który siedział w obozie. Okazało się, że był to lotnik amerykański. Znał dobrze rosyjski i jak przylatywał z transportem to umawiał się z więźniami, że będą mu dostarczali złoto. Więźniowie zbudowali dla tych Amerykanów lotnisko w lesie. Było to w latach 1944-45. tego handlu nie dało się długo ukryć i lotnik wpadł razem z więźniem, który mu dostarczał złoto. Sądzi ich normalnie i skazali chyba na 10 lat. Amerykanie starali się wydostać swego kolegę, ale nie dało rady.

Ten Amerykanin pochodził chyba z rosyjskiej rodziny – matka czy babka była Rosjanką. W ramach kary celowo wsadzili go do obozu koło kopalni niedaleko dawnej bazy amerykańskiej. Powiedzieli: „Jak cię interesuje złoto, to teraz zobaczysz jak się je wydobywa.”

Często rozmawiałem z nim i zarzucałem, że USA postąpiło z Polską po świńsku . [tekst skrócony...MG]

Pracowałem w tej kopalni ok. 3 miesiące – do jesieni. na zimę, jeśli kopalnia wykonała plan, więźniów wysyłano do innych prac. Część wydobywała i w zimie złotodajną ziemię wysypując ją na hałdy, gdzie leżała do lata.

Warunki życia w tej kopalni miałem niezłe. Była to kilkuletnia kopalnia, więc obóz rozbudowano: baraki, łaźnia, piekarnia, kuchnia, stołówka. Jedzenie dawali dużo lepsze niż nad Indygirką. istniały 3 kategorie żywienia w zależności od wykonanej normy (500 , 700 lub 900 gramów chleba).

taśma VI B

Dostawało się też więcej kaszy, ryby, a nawet mięsa. Kłopotliwa sprawa była z cukrem, jako, że był to towar łasy. Wszyscy kradli, nawet wolni. Kucharz, który robił kawę dla brygady mówił, że on również nie dostawał cukru. Sól była w postaci dużych kamiennych kawałów wymieszana z pisakiem.

Dali nam w końcu czystą bieliznę, a za parę porcji chleba załatwiłem sobie prześcieradło. Wydaje mi się, że głównym powodem polepszenia się naszych warunków życia był inny priorytet przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwa „złotodajne” wykonywały plan główny na Kołymie, a budowa dróg i baraków była działaniem ubocznym. TU chodziło o złoto.

Więźniowie, którzy wydobywali złoto w kopalni mieli się lepiej od tych, którzy budowali drogę do tej kopalni.

Od miejscowej administracji zależało, czy więcej czy mniej ukradnie jedzenia przeznaczonego dla więźniów, czy naczelnik będzie „humanista” czy sadysta. Był taki naczelnik, który postanowił wykończyć więźniów, ponieważ byli to wrogowie Związku Radzieckiego. To on nas przywitał w Ust Nerze słowami:

„Przyjechaliście tu po to, żeby zdechnąć”. Jak człowiek to usłyszał po długiej, męczącej podróży z Magadanu, to od razu był dobity psychicznie.

Warunki życia w obozie zależały głównie od naczelnika. On tam był panem, dobierał sobie nadzorców, a ci mogli robić co im się chciało; mogli zgnoić więźniów, bić, zabić...

„Kupcy”, którzy jeździli po obozach i kompletowali sobie załogę do kopalni i innych robót, woleli pracować z politycznymi, bo ci byli uczciwsi i lepiej pracowali od złodziei.

Wydaje mi się, że rozlokowanie kadry NKWD w obozach było przypadkowe, nie kierowano się żadnymi wskazówkami. Jeden człowiek był ludzki, a drugi łobuz, sadysta. Nie wiem, czy kadry obozowe często się zmieniały. Naczelnika rzadko się widziało, tylko się o nim słyszało.

Wolni pracownicy, którzy tam przyjeżdżali z Rosji na 3-letnią umowę, mieli pobory wyższe o 100% niż na „matieriku” i 3 miesiące kurortu na południu kraju. Potem zaliczali mu podwójny staż pracy do emerytury. A na miejscu, na Kołymie miał do dyspozycji więźnia-ordynansa, który wykonywał dla niego cięższe prace.

Wszyscy naczelnicy obozów byli w NKWD i chodzili w mundurach. Natomiast wolnym, przyjeżdżającym z jakiś kołchozów, nadawano jakieś stopnie, ponieważ były to tereny całe podległe NKWD. W zależności od tego stopnia przyznawano mu pobory. Np. jakiś księgowy zostawał lejtnantem, bo akurat taką pensję mu przyznano. Oni wszyscy chodzili po cywilnemu. Ludzie z administracji, czy byli naczelnicy – „nomenklatura” – nie pracowała w terenie, bo oni na niczym się nie znali. Zostawali jakimiś dyrektorami i mieli wokół siebie ludzi, którzy znali się na danej robocie.

Poznałem w Magadanie jedną Polkę, która tam przyjechała do pracy ze Lwowa. We Lwowie poznała jakiegoś Ormianina – oficera Acz i wyszła za niego za mąż. Po wojnie on wystąpił z wojska i oboje wyjechali do Armenii. Ale jego rodzice byli bardzo niezadowoleni, że ożenił się z Polką i szykanowali ją. Przyjęła więc propozycję żeby rzucić tę rodzinę i wyjechać. Podpisała umowę na 3 lata i przyjechała do Magadanu. Została księgową, otrzymała stopień kapitana, odpowiednie sorty mundurowe, premie itd.

Wśród więźniów i wśród wolnych panował system wzajemnego śledzenia się i donoszenia. Niepotrzebne były żadne nakazy. Naczelnik obozu pytał więźnia, czy nie chciałby zamienić ciężkiej pracy na pracę donoszenia. Jeśli więzień się zgadzał – podpisywał deklarację i musiał donosić. Gdyby się migał, naczelnik wyrzucał go na zbitą buzię do brygady ogólnej i wybierał sobie następną ofiarę – dopóki nie natrafił na takiego, który rzeczywiście

wszystko mu mówił. Interesowało ich głównie o czym rozmawiają w obrębie grup tej samej narodowości.

Centrum „Dalstroju” mieściło się w Magadanie. Naczelnikiem jego był wówczas Gruzin – GOGLIDZE. potem był sądzony w procesie Berii. Tam się mówiło: „Boh wysoko, Moskwa daleko” – i całkowicie niezależnie rozporządzano całym tym imperium. Słyszałem mnóstwo opowieści o Garaninie, jak to przyjeżdżał do obozów, wybierał z kartoteki 10 więźniów politycznych, stawiał pod płot i rozstrzeliwał. sam zabijał. Gdy legendy o Garaninie rozniosły się już poza granicami, NKWD-ziści puscili wieść, że był to szpieg japoński celowo nasłany by kompromitować ZSRR.

Wracając do moich losów. Wybrali jesienią z naszego obozu grupę ludzi z małymi wyrokami do rozbudowy nowego obozu koło nowo powstającej kopalni. Wydaje mi się, że to było na południe, bliżej Magadanu. Budowaliśmy ten obóz od jesieni do zimy 1948r. ja pomagałem brygadzie „plotników”; trzeba było ścinać i donosić drzewo. W zimie nowo zbudowane baraki strzelały, bo wilgotne

Mieszkaliśmy w starych barakach, które przez rok były puste. Ich mieszkanki – pluskwy przeżyły zimę i od razu nas zaatakowały. Dokupiłem drugie prześcieradło, uszyłem z obu worek do spania. Zawiazywałem się w tym worku, ale wygłodniałe pluskiewki i tak wlażyły między szwy.

Oprócz tego latem mieliśmy do czynienia z meszką i komarami. Zdarzało się, że jakiś rozsierzony konwojent kazał rozebrać więźnia i przywiązać go do drzewa. W ciągu godziny człowiek by

zginął. Meszki tak oblepiały ciało, że nie widać było skóry. Poza tym od ich jadu człowiek okropnie puchł. Widziałem taki przypadek, że zostawiono więźnia na pożarcie, ale inni szybko go odwiązali. Tym nie mniej nie nadawał się już do pracy, bo był cały opuchnięty. W zimie natomiast istniał inny problem. Słońce świeciło wysoko nad horyzontem i odbijając się od śniegu oślepiało ludzi. Chorowali na zapalenie spojówek. Oczywiście nie dostawaliśmy żadnych okularów przeciwsłonecznych, a tym bardziej lekarstw. Rozpuszczaliśmy ołówek chemiczny, robiliśmy coś w rodzaju atramentu, moczyliśmy w nim kawałek jakoś skombinowanego bandaża i tym niebieskim bandażem zawiązywało się oczy. Inaczej człowiek oślepl by zupełnie.

Po pracy przy rozbudowie obozu przerzucono mnie bliżej Magadanu – do kopalni węgla. Zbliżał się termin końca mego wyroku – był rok 1949. Pracowałem w zakładzie naprawczym jako elektryk. Trochę się tam odżywiłem, bo pracowałem z wolnymi.

W sierpniu 1949r. załadowano mnie z grupą innych więźniów na ciężarówkę i zawieziono na „pieriesyłkę” do Magadanu. W Magadanie wezwano mnie do jakiegoś urzędnika i wydano zaświadczenie o zwolnieniu z obozu. Był to jedyny dokument jaki

dostałem. Kazano mi zgłosić się na milicję, gdzie miano mi wydać paszport radziecki. Ja stwierdziłem, że radziecki paszport nie jest mi potrzebny, ponieważ jestem obywatelem polskim i mam zamiar wrócić do kraju. A oni na to, że do Polski już nie wyjadę, bp Polska

jest teraz taka sama jak Rosja, „czy myślisz, że tam spotkasz coś innego niż tutaj? tam nasi towarzysze rządzą”. Pokłóciłem się z nimi i powiedziałem, że ja paszportu radzieckiego nie wezmę i zażyczyłem sobie paszport bezpaństwowy [nansenowski?]. Oczywiście, mowy o tym nie było. poprosiłem więc, żeby mi dali jakąś pracę, bo pprprzecież z czegoś miałem żyć. Zadzwonili do ADM-u, powiedzieli, że zgłosi się do nich taki a taki.

Dostałem pracę stróża (gospodarza) hotelu robotniczego. Był to jednopiętrowy barak, w którym mieszkali wolni (na umowę) i byli więźniowie, którym skończył się wyrok i zostali w Magadanie – cała gama paragrafów i narodowości!

Poprzedni gospodarz hotelu uzyskał możliwość wyjazdu z Kołymy i ja poszedłem na jego miejsce. Powiedział mi, co należy do moich obowiązków (odgarnięcie śniegu z chodnika, odpowiedzialność za całe mienie budynku – stoły, krzesła itp.). Mieszkał w małej klitce koło schodów, ale ja komuś obiecał, więc musiałem pójść do ogólnej sali, gdzie było ok. 10 łóżek. Tam mieszkiałem przez zimę i uczciwie zmiatałem co dziennie śnieg z chodnika. Na tej sali mieszkał jeden Polak, ale zruszczony. Jego rodzina mieszkała w Leningradzie jeszcze przed wojną. Matka była Polką, ojciec Rosjaninem, ale on uważał siebie za Polaka. Dali mu 6 lat zsyłki, co jakiś czas wzywali na NKW, pokazywali jakieś papiery, ale właściwie nic konkretnego nie mogli mu zarzucić. Pracował w teatrze jako pomocnik reżysera. Załatwił mi tam pracę robotnika – do budowania dekoracji na scenie. Poszedłem tam w grudniu czy styczniu [1950r.].

W międzyczasie NKWD wydało mi rodzaj dowodu: „wid na żitelstwo na dic biez graжданства” – zaświadczenie dla osób nie posiadających obywatelstwa. Powiedzieli również, że ponieważ dalej jestem wrogo nastawiony do władzy radzieckiej, bo nie chcę przyjąć ich obywatelstwa, to dają mi bezterminową zsyłkę. [!]

Co dwa tygodnie musiałem się zgłaszać do NKWD i nie wolno mi było wyjechać poza Magadan – w promieniu 4 km. jeśli chciałem zmienić pracę, to również musiałem ich powiadamiać.

Zacząłem pracować w teatrze, ale spałem dalej w ADM-ie, bo tam miałem łóżko.

Pan Stanisław (ten pomocnik reżysera) pochodził z artystycznej rodziny. Matka była chyba baletnicą.

taśma VII A

Miałem prawo dwa razy do roku wysłać list do rodziny, korzystałem oczywiście z tego, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Pisałem na adres rodziców i krewnych do Wilna. Myślałem, że NKWD moich listów nie wypuszcza, albo przechwytuje odpowiedzi. potem okazało się, że rodzina moje listy otrzymywała, natomiast ja od nich - nie. Wysyłali mi raz na kwartał list z pieniędzmi. W innych listach pisali, że wysyłają mi pieniądze, więc widocznie ktoś czytający moje listy podrabiał mój podpis i zatrzymywał i pieniądze i listy. Wracając do mojej pracy w teatrze: na 1-go stycznia trzeba było przygotować „jółkę” i choinkę dla przedszkolnych dzieci 9w wieku 3-6 lat). Najczęściej była taka zabawa: dzieci krzyczały: „Boh, Boh, daj konfiet....” – i nic się nie działo; a gdy krzyczały „Stalin, Stalin, daj konfiet” – cukierki sypały się z sufitu.

Była również inna zabawa: ustawialiśmy zrobione z dykty postacie Czang-kai-szeka, Trumanna, Churchilla – ucharakteryzowane na wilki – z kłami i otwartą paszczą. Jeśli dziecko wcelowało i wrzuciło do ich pyska piłeczkę pingpongową – dostawało nagrodę. Przedszkolanka opowiadała jeszcze, że ten i ten jest faszystą, a ten bardzo niebezpiecznym człowiekiem. A ja sobie myślałem, że to wyjątkowo niebezpieczny naród, że w wieku 3-6 lat uczy się dzieci nienawiści.

W czasie świąt wywieszało się na rusztowaniach z desek różne hasła propagandowe (Cała władza w rękach Rad”, :Wykonamy plan z nadwyżką” itp.). Podczas jakiejś akademii jedno z haseł odwiązało się i spadło. To wystarczyło, żeby oskarżyć kierownika o sabotaż i aresztować go. A po pewnym czasie mnie i jeszcze kilku wyrzucili z pracy. Jeśli chodzi o mnie, to dodatkowym powodem była moja zsyłka i brak papierów. Po pewnym czasie zaproponowali mi pracę sanitariusza w szpitalu na oddziel psychiatrycznym. Była to bardzo ciężka i niebezpieczna praca. Chorych psychicznie było tam bardzo dużo. I to w takim stadium, że robili pod siebie, mazali siebie i ściany kałem i ciągle to trzeba było czyścić. Pracowałem tam prawie rok. Odżywiałem się dobrze, byłem zawsze syty. Z czasem przyzwyczaiłem się do szpitala i uważam, że była to jedna z moich lepszych prac. Szpital wariatów był azyłem w ZSRR. Można było mówić wszystko i szło to na konto choroby psychicznej. Oczywiście wielu było symulantów.

Od 1949r., od zwolnienia z obozu chodziłem do szkoły wieczorowej w Magadanie, Skończyłem 7-mą, 8-mą i część dziewiątej klasy. Wszystkie przedmioty wykładane były po rosyjsku. Na początku było mi bardzo ciężko, bo co innego mówić, co innego pisać i czytać.

Postanowiłem znowu iść do naczelnika „Dalstroja” i spytać, dlaczego oni mnie bezprawnie trzymają, bo przecież w wyroku nie było mowy o zsyłce. Kazali mi napisać podanie – o co mi chodzi.

Czekałem kilka miesięcy i w końcu udało mi się dostać do naczelnika „w ramach skarg i zażaleń”.

Naczelnik był strasznie grubym Gruzinem (gdy siedział na fotelu, to brzuch leżał mu na biurku). Wyjaśniłem mu swoją sytuację: 3 lata obozu pracy, wyrok skończony, więc chcę wracać do Polski, bo jestem jej obywatelem. A on na to: „Jaki ty polski obywatel! Ty jesteś kontrrewolucjonista, wróg ludu...itd.” Zapytałem w końcu jak długo będę tu siedział i że jest to bezprawie. Pokłóciliśmy się, zawołał sierżanta, który stał pod drzwiami i wyrzucili mnie na zbity pysk. Krzyknąłem jeszcze, że będę się starał wyjechać przez ambasadę polską, na co oni: „Myślisz, że ambasada polska na Kołymie ma coś do powiedzenia?! Wszystko zależy od nas.” I rzeczywiście: wysłałem list do ambasady w Moskwie, ale odpowiedzi oczywiście nie otrzymałem.

Kiedys wyjeżdżał z Magadanu jakiś człowiek i dałem mu list, by wrzucił go jak najbliżej Moskwy. Po paru miesiącach przyszedł do mnie pocztą gruby pakiet zawierający 12 ankiet. Do każdej ankiety

musiałem zrobić zdjęcie. Były tam np. takie pytania: imię babki/dziadka ze strony matki/ojca, a ja znałem tylko jedną babcię!. Tam więc, gdzie nie wiedziałem co pisać, pisałem – „nie wiem, nie pamiętam”. Z ankietami miałem wysłać dokument potwierdzający moją tożsamość poświadczony przez NKWD. Nikt jednak nie chciał go tam poświadczyć. Wysłałem więc oryginał mego okresowego dowodu i... zostałem bez żadnych dokumentów. Ale jakoś mi się upiekło i nie wsadzili mnie do pierdła, tylko dali specjalną kartkę, na której stawiali pieczętki.

Dochodził grudzień 1953r. Po śmierci Stalina nie odczułem znaczących zmian, Zacząłem pracować w bazie autobusowo-dźwigowej, w której naprawiało się dźwigi i autobusy. Urządziłem się jako elektryk samochodowy i pobierałem nawet duże pobory – dwa razy większe niż w szpitalu.

Zapoznałem się z tamtejszymi Polakami, jeden z nich, Franciszek Maksymiuk pracował w ADM-ie jako księgowy i załatwił mi miejsce w hotelu nad zatoką. ten hotel był jednak gorszy od poprzedniego, ponieważ mieszkali tam w większej części złodzieje. Pili. grali w karty, bili się, sprowadzali baby. Zabierali wszystko, co było na wierzchu, a spało tam ok. 50 osób.

W międzyczasie pisałem wiersze, m.in. dla Polaków- „ku pokrzepieniu serc”, nawet o Bogu, mimo, że sam byłem niewierzący. Te wiersze rozchodziły się wśród Polaków. Nie były podpisane, ale NKWD podejrzewało, że to ja piszę. Zauważyłem, że gospodarz

Postanowiłem znowu iść do naczelnika „Dalstroja” i spytać, dlaczego oni mnie bezprawnie trzymają, bo przecież w wyroku nie było mowy o zsyłce. Kazali mi napisać podanie – o co mi chodzi.

Czekałem kilka miesięcy i w końcu udało mi się dostać do naczelnika „w ramach skarg i zażaleń”.

Naczelnik był strasznie grubym Gruzinem (gdy siedział na fotelu, to brzuch leżał mu na biurku). Wyjaśniłem mu swoją sytuację: 3 lata obozu pracy, wyrok skończony, więc chcę wracać do Polski, bo jestem jej obywatelem. A on na to: „Jaki ty polski obywatel! Ty jesteś kontrrewolucjonista, wróg ludu...itd.” Zapytałem w końcu jak długo będę tu siedział i że jest to bezprawie. Pokłóciliśmy się, zawołał sierżanta, który stał pod drzwiami i wyrzucili mnie na zbity pysk. Krzyknąłem jeszcze, że będę się starał wyjechać przez ambasadę polską, na co oni: „Myślisz, że ambasada polska na Kołymie ma coś do powiedzenia?! Wszystko zależy od nas.” I rzeczywiście: wysłałem list do ambasady w Moskwie, ale odpowiedzi oczywiście nie otrzymałem.

Kiedys wyjeżdżał z Magadanu jakiś człowiek i dałem mu list, by wrzucił go jak najbliżej Moskwy. Po paru miesiącach przyszedł do mnie pocztą gruby pakiet zawierający 12 ankiet. Do każdej ankiety

musiałem zrobić zdjęcie. Były tam np. takie pytania: imię babki/dziadka ze strony matki/ojca, a ja znałem tylko jedną babcię!. Tam więc, gdzie nie wiedziałem co pisać, pisałem – „nie wiem, nie pamiętam”. Z ankietami miałem wysłać dokument potwierdzający moją tożsamość poświadczony przez NKWD. Nikt jednak nie chciał go tam poświadczyć. Wysłałem więc oryginał mego okresowego dowodu i... zostałem bez żadnych dokumentów. Ale jakoś mi się upiekło i nie wsadzili mnie do pierdła, tylko dali specjalną kartkę, na której stawiali pieczętki.

Dochodził grudzień 1953r. Po śmierci Stalina nie odczułem znaczących zmian, Zacząłem pracować w bazie autobusowo-dźwigowej, w której naprawiało się dźwigi i autobusy. Urządziłem się jako elektryk samochodowy i pobierałem nawet duże pobory – dwa razy większe niż w szpitalu.

Zapoznałem się z tamtejszymi Polakami, jeden z nich, Franciszek Maksymiuk pracował w ADM-ie jako księgowy i załatwił mi miejsce w hotelu nad zatoką. ten hotel był jednak gorszy od poprzedniego, ponieważ mieszkali tam w większej części złodzieje. Pili. grali w karty, bili się, sprowadzali baby. Zabierali wszystko, co było na wierzchu, a spało tam ok. 50 osób.

W międzyczasie pisałem wiersze, m.in. dla Polaków- „ku pokrzepieniu serc”, nawet o Bogu, mimo, że sam byłem niewierzący. Te wiersze rozchodziły się wśród Polaków. Nie były podpisane, ale NKWD podejrzewało, że to ja piszę. Zauważyłem, że gospodarz

hotelu się tym interesował. Jeden z leżących obok mnie Ukraińców ostrzegł mnie, że gospodarz jest na usługach

NKWD, donosi, grzebie w moich rzeczach itd. Zrobiłem więc drugie dno w mojej walizce i tam wkładałem zeszyt.

Napisałem (specjalnie) wiersz w formie listu do Stalina: „Jemu to Polacy wolność zawdzięczają, on swój kraj ojczysty wydzwignął z rozwalin, i wszystkie narody imię jego sławią”. Zostawiłem ten tekst w szafce, żeby łatwiej było znaleźć. Ale ono nie dali się nabrać. Zrobili dokładną rewizję kiedy byłem w pracy i znaleźli mój zeszyt z różnymi wierszami. Zrobili ekspertyzę grafologiczną i wiedzieli, że to ja.

Początkowo nic nie wiedziałem, bo byłem w pracy podczas tej rewizji. Pewnego dnia (grudzień 1953r.) przyszło dwóch milicjantów do mojej pracy i zabrali mnie do więzienia. Nie wiem co się stało z moimi rzeczami. Wszystko gdzieś zginęło. A miałem tam przecież palto, parę ciepłych ubrań itd. Pewno dostał to „dniewalny”, który donosił.

Oskarżyli mnie o rozpuszczanie fałszywych wiadomości o ZSRR w moich wierszach, rozsyłanie je po obozach, propagand antysowiecką, działanie na szkodę ZSRR i PRL (przy okazji). Na śledztwie próbowali mnie zmusić do powiedzenia, komu personalnie dawałem te wiersze do czytania.

Zostałem skazany z par. 58 p. 10, cz. I – „Agitacja i propaganda antyradziecka – indywidualna”. Nic im jednak nie wyszło ze stworzenia „grupy kontrrewolucyjnej” (p. 58, 1 cz.II). Upierałem się, że nie rozpowszechniałem moich wierszy i pisałem je tylko dla siebie. W oskarżeniu napisali: „Po zwolnieniu z obozu, będąc wrogo nastawiony do władzy radzieckiej, pisał wiersze, w których szkalował ustrój, armię, komunistów itd.”

W czasie śledztwa kilka razy dostałem po głębie, kilka kopniaków, ale nie było „normalnego” bicia.

Ale tam w więzieniu spotkałem się z takimi więźniami, którzy byli oskarżenia o cięższe przestępstwa: szpiegostwo, sabotaż, dywersję itp. Aby zmusić ich do mówienia NKWD-ziści ich torturowali: przewracali człowieka, kładli deskę na nogach i brzuchu i uderzali w nią młotkiem. To powodowało ciężkie obrażenia wewnętrzne, m.in. krwotoki. A na zewnątrz nic nie było widać, nawet sińców.

Oni swoich NKWD-zistów też wsadzali do więzienia, zwłaszcza po aresztowaniu Jeżowa. Trzymali ich w odseparowanym specjalnym obozie. Na Kołymie byli również oficerowie z armii Żukowa, których oskarżano o zamach na życie Stalina. Spotykało się ich czasem na punkcie sanitarnym; tam oni przyznawali się do swoich stopni, ale pracowali jako „normalni” więźniowie.

Ja początkowo w więzieniu siedziałem sam, ale po zakończeniu śledztwa przenieśli mnie do celi ogólnej – z 4-5 osobami.

W czasie dochodzenia sędzia śledczy powiedział mi raz: „I co? Mówiliśmy ci, że stąd nie wyjedziesz! To od władz polskich zależy, czy stąd wyjedziesz. Masz – oto twój paszport” – pokazał mi mój paszport konsularny – „I wiesz, co my z nim zrobimy?” – i wyrzucił go do kosza. Potem jednak odesłali go do Moskwy z uwagą, że odmówiłem przyjęcia go.

Sądziła mnie stała komisja wyjazdowa z Chabarowskiego Sądu Krajowego. Było to chyba w połowie stycznia 1954r.

Do celi przyszedł jeden człowiek i przedstawił się jako mój obrońca wyznaczony z urzędu. Poprosiłem go o udostępnienie mi akt mojej sprawy, ale on powiedział, że podpisywałem, a więc widziałem protokoły, a reszta mnie nie powinna dotyczyć, bo będzie na procesie. Odpowiedziałem więc, że ja takiego obrońcy nie chcę i rzekam się go. Na moim procesie nie było ani obrońcy ani oskarżyciela, tylko przewodniczący Sądu Krajowego, dwóch ławników i protokolantka. Pokazali mi mój zeszyt z wierszami, spytali, czy należy on do mnie. Powiedziałem, że tak. I to co było w akcie oskarżenia przepisali jako wyrok.

taśma VII B

Dostałem 10 lat obozu pracy przymusowej. Jako wrogo nastawionego do ZW. Radz. dali górną granicę wyroku. Sędzia zwrócił mi też uwagę, że o moim wrogim stosunku świadczył też odrzucenie paszportu z obywatelstwem radzieckim.

Po sprawie zabrali mnie do więzienia, a po paru tygodniach do przesyłki magadańskiej – „na czwartym kilometrze” od Magadanu.

Obóz leżał przy trasie biegnącej w stronę Indygirki.

Ponieważ byłem dość dobrze odżywiony, w czasie pierwszej wizyty „kupca” [urzędnika z jakiegoś obozu, który aktualnie potrzebował siły roboczej – p. MG] wybrano mnie na „etap”.

Znów powieźli mnie gdzieś pod Ust Nerę. Był to luty – o mało nie zamarzliśmy w drodze; było –40 st.C, silnik stanął. Na szczęście nadjechała inna ciężarówka i wzięła nas na hol. Gdyby wtedy rozpętała się śnieżycy, to żywi byśmy chyba z tego nie wyszli.

Naszym zadaniem w nowym obozie było przeprowadzenie drogi do powstającej kopalni złota. Wycinaliśmy więc las, robiliśmy przesiekę, ubijaliśmy śnieg tak, aby ciężarówki ze

sprzętem i więźniami mogły przejechać. Musieliśmy też zbudować most nad rzeczką o szerokości 5-6m.

(Tam rzeki zamarzają do samego dna, a ryby są tak przystosowane, że przeczekują zimę w lodzie. [? – sprawdzić] Jak kopaliśmy w lodzie otwór na bale- podpory do mostu – to widzieliśmy i wydobywaliśmy ryby.)

W tym czasie myślałem, że to będzie już koniec. W obozie nie było żadnych baraków. Spaliśmy w wojskowych namiotach, a mrozy wtedy dochodziły do -50 st.C. W namiocie stały beczki [jako piecyki do ogrzewania-MG] z wyprowadzonymi na zewnątrz rurami i to wszystko. Spaliśmy na narach z suchych desek, bez żadnych sienników i koców – tylko ubranie! Mówili ciągle, że nam coś dowiozą jak zrobimy tę drogę, tzn. „róbcie szybciej, to wam będzie lepiej”.

Przy moście, który budowaliśmy, ciągnęła się dolina przez którą wiały straszne wiatry – dzień i noc; człowieka przenikał ten wiatr na wylot. W nocy ten wiatr przenikał do namiotu, więc choć od pieca trochę grzało, to czapka przymarzała do nary. Ludzie wszyscy, w tym i ja, chorowali na pęcherz moczowy i siusiali w spodnie, które cały czas były mokre. Latało się z 10 razy na siusiu, ale i tak nie udawało się utrzymać. Smród był w tym namiocie nie do wytrzymania! I oczywiście w ogóle nie nam przez całą zimę nie dowieźli.

Nie było oczywiście łaźni, nie było osobnej kuchni, ale od razu wybudowali więzienie! – taki „bur” [karcer].

W tym obozie byli przeważnie polityczni – art. 58. Do obozów przejściowych – prowizorycznych, takich jak ten, to złodziei przeważnie nie brali – bo ci i tak by nic nie robili. Zresztą złodzieje dobrze byli zorientowani, dokąd idzie dany transport i melinowali się.

Narodowości były różne – Rosjanie, Ukraińcy i tylko ja jeden Polak. Był tam taki Ukrainiec – z UPA, który nie cierpiał Polaków i od razu wrogo się do mnie odnosił; mówił, że „Polaków nada rieżat”. Ja miałem dużą nogę i trudno było dobrać dla mnie odpowiednie „burki” (buty - waciaki podszyte oponą). I ten Ukrainiec – tak podejrzewam – spalił mi te burki w piecu; jak wstałem, to butów nie było i nie mogłem iść do roboty. Jak przyszedł do namiotu kierownik podobozu sprawdzić, czy wszyscy wyszli do pracy (sadysta, który chodził z psem i lagą, który tłukł więźniów jak popadło), to pies na rozkaz rzucił się na mnie, nic mi nie zrobił przez ubranie, ale kierownik stłukł mnie tą pałą porządnie. Tłumaczyłem, że ktoś mi spalił w nocy burki, a ten – że to ja sam spaliłem,

żeby do roboty nie iść. Zdążyłem tylko owinać nogi onucami i wrzucili mnie do tego „buru”. Siedziałem tam chyba ze trzy doby. Dawali mi na dobę 300g chleba i kubek ciepłej wody.

Po pobycie w tym burze oczywiście nie dali mi nowych butów, ale ja nie mogłem w ogóle chodzić; byłem takim „dochodiagą”, że dali mi spokój. Leżałem na narach i pomagałem trochę „dniewalnemu”. Nogi owijałem w kilka szmat i tak chodziłem. Tak żyłem przez kilka tygodni – do wywiezienia z tego obozu.

Żołnierze, którzy nas pilnowali też mieszkali w namiocie, tylko mieli lepsze warunki.

Jedzenie też było marne. Wzięli jednego z nas na kucharza, dawali beczkę kapusty, trochę kaszy owsianej, najpierw chleb, potem suchary i ryby – z 5cm długości! Te rybki nazywały się „komsa”. te drobne rybeczki wkładali do beczek, zasypywali solą i po kilka rybek dawali więźniom. Oczywiście normy jedzenia były – ja kiedyś pamiętałem je; przewidywano w nich ok. 0,5 kg warzyw dziennie, 120g suchej kaszy, ze 4 dkg mięsa lub ryby, 2 dkg tłuszczu, ale to wszystko było na papierze! To jedzenie – jeśli było wydzielane z centrali, to po drodze było rozkradane – część przez administrację obozową, część złodzieje...

Byliśmy w tym obozie całą zimę – do maja, bo tylko w zimie można było budować tę drogę, bo w lecie powstawały takie rozlewiska i bagna, że nie można było dojechać.

Na wiosnę wywieźli żywych do obozu dla „dochodiagów”, bo wszyscy byli wykończeni i chorzy. Połowa z tego obozu zmarła...

Było tam ok. 200 osób, a do „dochodiłówki” dowieźli ok. 60 – 80 ludzi...

Tam znów nas trochę podkarmili. Spotykało się tam ludzi z różnych obozów z całego rejonu. Ja poznałem tam jednego Niemca z Powołża – oficera. Wyjechał z rodziną do Niemiec w 1920r. Skończył tam szkołę wojskową i służył w armii hitlerowskiej. Znał dobrze rosyjski, więc można było się porozumieć. Był to bardzo ciekawy człowiek. Znał dobrze strukturę armii niemieckiej – a nas to interesowało. W czasie wojny był w Grecji, na Wale Atlantyckim i na froncie wschodnim. Mówił, że Polacy są dobrymi żołnierzami, ale naród – to głupi, bo „Niemcy to dzwony przelewali na armaty, a Polacy z armat robili dzwony, dlatego dostawaliśmy w tyłek”.

Był tam też jeden komunista polski sadzony jeszcze w 1939r. – Władysław. To był mój nauczyciel: opowiadał jak powinien wyglądać socjalizm i dlaczego tak jest jak jest. Wg

niego Lenin napisał specjalny testament, w którym zakazał dopuszczaniu Stalina do władzy. Podobno Lenin nazywał Stalina „rzeźnikiem”.

Ten Polak pełnił jakieś funkcje na wysokich stanowiskach w Moskwie, ale mówił, że potem wszystkich Polaków- komunistów wymordowali, tylko niektórych wysłali do obozów. Od niego dużo się dowiedziałem o tajnikach tych bolszewickich sztuczek. Został nadal komunistą, bo wszystko zależy od ludzi, którzy tym kierują, ale komunizm [jako idea] ma jedno oblicze i ludzie są jeszcze na niskim etapie rozwoju, żeby to zrealizować. Spotkałem tam też człowieka, który pracował w kopalniach uranu.

Nic nie mówiono więźniom przy czym pracują, tylko co pół roku wymieniano brygady. Dziwiono się dlaczego, ale zauważyli, że

niektórzy po paru miesiącach zaczęli tracić włosy, zapadali na anemię (białaczkę), bardzo źle się czuli. To oczywiście było skazywanie ludzi na śmierć, ale umierali ludzie też przy budowie drogi i przy jakiegokolwiek pracy w takich warunkach i przy takim mrozie. Te obozy nie były nastawione na eksterminację, jak niemieckie, ale do wykorzystania ludzi jako siły roboczej za darmo. Teoretycznie, gdyby więzień otrzymywał tę porcję żywności i ubranie, które mu się należało, to można było liczyć na przetrwanie.

Ale oprócz tych warunków klimatycznych, więzień był poddawany stałym szykanom ze strony NKWD-stów, ze strony złodziei, zmuszany do pracy ponad siły, pozbawiony jakiegokolwiek pomocy medycznej – lekarstw itp. Ludzie chcąc przetrwać popełniali samouszkodzenia ciała. Sam widziałem ludzi bez rąk, owrzodzonych itp. Opowiadali jak to się robi: zdrapywali nalot z zębów, smarowali tym nitkę i przeszywali ją przez rękę lub nogę i w ten sposób zakażali się – rozwijała się gangrena. Niektórzy wcierali sobie jakieś chemikalia w oczy i ślepli, zjadali jakieś zioła powodujące zapalenie płuc itp. Nazywało się to „mastyрка”. Lekarze o tym wiedzieli, ale w takim stanie i tak nie można było człowieka wysłać do roboty. Ale jeśli władze wiedziały, że ktoś np. sam sobie odrąbał rękę, to dostawał dodatkowo 10 lat obozu – za „szkodnictwo społeczne”. A niektórych, z jedną ręką, zmuszali do wożenia taczek, do których przyczepiano brezentową „szlufkę”, w którą wsadzał kikut i ciągnął te taczki. „Mastyрки” popełniali i złodzieje i polityczni. Krążyło takie powiedzenie: „Dzień kantu – miesiąc życia”.

Człowiek im jest w trudniejszej sytuacji, tym bardziej chce ją przeżyć. Nawet był bardziej zadowolony, że przeżył jeszcze jeden dzień, w którym jego kolega zmarł. Nie znam przypadku, że ktoś popełnił samobójstwo.

Słyszałem o „zacziotach”, ale ponieważ mnie ciągle przerzucali z obozu do obozu, więc nie otrzymywałem żadnych pieniędzy.

Po kilku miesiącach pobytu w tym obozie i odżywieniu się, znowu mnie zabrali na etap. Najpierw były to prace porządkowe na drogach – w lecie. Tam się trochę odżywiłmy owocami, które rosły w tajdze, np. czarne porzeczki i tzw. „morożka” – jagoda podobna trochę do maliny, tylko żółta. Jedliśmy też nasionka „ślannika” – cedru syberyjskiego, który w lecie podnosił się (w zimie opadały gałęzie i ścieliły się pod śniegiem) i obrastał zbocza pagórków. Z tych nasionek wyciskano olej – bardzo bogaty w witaminy. Miejscowe zwierzęta też robiły zapasy z tych nasionek – wiewiórki i „burunduki” – malutka, ziemna wiewiórka. Miejscowi Jakuci opowiadali, że jeśli ktoś temu burundukowi zabrał zapas tych nasionek (a zbierał ze 2-3 kilo), to on popełniał samobójstwo.

Bliżej Magadanu widziałem wiewiórki- „lietiagi”, które mają przeponą połączone tylne łapy z przednimi, dzięki czemu po rozbiegu i skoku szybuje w powietrzu jak szybowiec, ponad 50 metrów.

Więźniowie czasem te burunduki z głodu zabijali, bo one starały się odciągnąć człowieka od swojej norki z zapasami, biegł wolno, stawał słupka i łatwo go było wtedy złapać.

Taśma VIII A

Ściągali ze zwierzątka skórki i na patyku piekli go nad ogniskiem, chociaż mięsa tam było bardzo mało.

Potem nas wysłali na sianokosy bliżej Magadanu. Była tam ferma krowia i konie i trzeba było dla nich kosić trawę. To była praca dla tych słabszych. Ale ja tam zachorowałem na zapalenie płuc. Odwieźli mnie do „sanczasti” i lekarz powiedział, że konieczna jest hospitalizacja. Wrzucili mnie do jakiejś ciężarówki i zawieźli do szpitala „Na lewyj bierieg” – na lewym brzegu Kołymy. tam był duży szpital dobrze wyposażony jak na warunki kołymskie.

Tam spotkałem lekarzkę Polkę, która była dentystką i ona mi podleczyła zęby – i do dnia dzisiejszego te jej srebrne plomby siedzą! Oprócz tego wśród chorych spotkałem kilkoro Polaków; był tam oddział męski i żeński. Nazwisk nie pamiętam. Zwozili tam chorych z całej Kołymy.

Po zapaleniu płuc wywiązały się u mnie komplikacje, miałem wodę w boku, poza tym kłopoty z jelitami, z żołądkiem i z pęcherzem – do dnia dzisiejszego mi to zostało. Cały czas miałem wysoką temperaturę – do 40st. Pewnego razu przyszedł do mnie jakiś oficer NKWD razem z lekarzem i pyta czy jestem Czyński i czy jesteś Polakiem. Powiedział, że

„wszystkich Polaków odprawiamy do Polski, ale ty chyba nie będziesz mógł pojechać, bo jesteś chory”.

Zacząłem więc prosić lekarza, aby ten wydał zaświadczenie, że ja się nadaję do transportu. Lekarz odparł, że nie może brać za mnie odpowiedzialności, bo jestem naprawdę poważnie chory, ale w końcu zgodził się wypisać mnie na moje własne żądanie. W czasie

wizyty tego oficera w szpitalu ostrzegał mnie on, żebym po przyjeździe do Polski za dużo nie gadał, „bo ręka Moskwy daleko sięga”. Słyszałem potem, że niektórzy Polacy musieli coś podpisywać na temat „tajemnicy” o obozach, ale ja nic nie podpisywałem.

Był to wrzesień 1955 r.

Przyjechała ciężarówka i zabrała do Magadanu Polaków, ale tylko tych, którzy urodzili się na terytorium powojennej Polski – PRL-u.

Ja się urodziłem w Zamościu, a poza tym byłem po raz drugi sądzony jako obywatel polski, więc ze mną nie było problemów. Chociaż już w Polsce spotkałem panią, która była w Magadanie i miała obywatelstwo radzieckie, ale mimo to puścili ją do Polski.

W Magadanie umieścili nas znowu w obozie przejściowym („pieriesylce”). Tam było sporo Polaków, ale też inne narodowości.

W pierwszej kolejności zaczęli wywozić Austriaków, bo w 1955r. Austria podpisała jakąś umowę z ZSRR i na jej podstawie zwalniano z obozów obywateli austriackich. Myśmy ich prosili, żeby o nas opowiedzieli w Europie, bo nie bardzo wierzyliśmy, że nas puszczą do Polski.

Ale po paru tygodniach zebrali chyba ze 20-tu Polaków, wsadzili do samolotu transportowego i odprawili do Chabarowska. Tam wsadzili do pociągu (kolei transsyberyjskiej) - do normalnego wagonu i wysadzili w Poćmie. Tam był obóz tranzytowy, do którego wsadzali Polaków z całego Zw.Radz. Po paru dniach też pociągiem zawieźli do granicy polskiej do Brześcia n/Bugiem i tam przekazali władzom polskim. To był już październik 1955r.....

Myśmy myśleli, że władze polskie nas pożałują, nakarmią, przyhołubią, a ci UB-owcy z bagnetami zapędzili nas do wagonów więziennych! Pokrzykiwali: „nie rozmawiać, siedzieć cicho!” – w ogóle wprowadzili taki terror, że myśmy nie wiedzieli, co się dzieje i dokąd nas wiozą. Zawieźli nas do obozu pracy przymusowej w Mielęcinnie k/ Włocławka. Było tam nas ok. 200 osób (chyba).

Okazało się, że oni prowadzili nowe dochodzenie – śledztwo, z prokuratorem itd. Bolszewicy przekazali nas według listy, a nie dali żadnych papierów – akt sprawy, nic – tylko imię i nazwisko nie mówiąc kim my jesteśmy i skąd. A ci nasi chcieli się dowiedzieć

za co kto siedział no i oczywiście każdy mógł zmyślać co chciał, bo oni nie byli w stanie sprawdzić tego. Każdemu założono kartę zdrowia, potem prokurator z urzędnikami pytali o dane osobowe, za co kto siedział, gdzie siedział itd. Zachowywali się dość grzecznie, ale jak ktoś się stawiał, to dostawał „op...”

Po miesiącu ubrali nas w cywilne ubrania (cały czas byliśmy w tych kufajkach i obozowych ciuchach) - w jakieś niemodne garnitury i wypuścili. Ja zostałem parę dni dłużej, bo nie mogli znaleźć dla butów i dopiero w mieście w sklepie kupili. Kto miał rodzinę w Polsce, to otrzymywał kartę repatriacyjną i skierowanie do danego miejsca, bilet kolejowy i 1000 zł. Kto nie miał rodziny – musiał jechać do punktu repatriacyjnego w Grabianowie k/ Białej Podlaskiej.

Ja mam kartę z pieczętką z tego Grabianowa, ponieważ ja tu nie miałem nikogo; rodzice zostali na wschodzie. Tam obiecali załatwić pracę. Chcieli mnie koniecznie skierować na Śląsk do kopalni, ale odmówiłem. Prosiłem o skierowanie bliżej Warszawy, żebym mógł pracować i uczyć się jednocześnie. I wreszcie (w listopadzie) skierowali mnie na budowę w Piasecznie k/ Warszawy – jako elektryka, bo powiedziałem, że to umiem robić.

W Piasecznie zakwaterowali mnie w takim obskurnym baraku, w którym mieszkali robotnicy z tej budowy (tam teraz są zakłady lamp oscyloskopowych). W jednej sali stało 7 czy 8 łóżek, było brudno i zimno. I moje życie tam niewiele się różniło od tego, które miałem w obozach!

taśma VIII B

Pracowałem na trzy zmiany. Chciałem się uczyć i zdać do 10-ej klasy liceum. Trudno było, bo musiałem się przestawić z rosyjskiego na polski, a poza tym współmieszkańcy przeszkadzali całą noc (w obozie od 22-ej była cisza!).

Jedzenie trzeba było samemu kupić. Zarabiałem 1000 zł miesięcznie, ale była stołówka; zupa kosztowała 3-4 zł.

Ukończyłem kurs dla elektrotechników i przyjęli mnie do pracy [w Piasecznie] w fabryce lamp. Dali też służbową kawalerkę.

Rodziców zawiadomiłem o moim powrocie do Polski, ale nie widziałem ich już nigdy... Ja miałem uraz do przekraczania granicy polsko-rosyjskiej. Ojciec mój też siedział 5 lat w obozie – ale na

terenie Litwy. Zapraszałem rodziców do siebie, ale byli już za starzy. Po śmierci ojca – zapraszałem matkę, ale ktoś jej naopowiadał, że w Polsce są „psie szpitale”, w których wykańcza się starych ludzi! Nawet moja żona nie przekonała matki do przyjazdu do partii [PZPR]. Wątkowali mnie strasznie, ale przyjęli, bo chodziło im o wskaźniki „upartyjnienia”. Jeździłem do Warszawy na wiece, spotkania Związku Literatów Polskich itp.

jak wiadomo nic z tego nie wynikło, zamknęli „Po prostu” i znowu chwycili nas za buzię.

Sitwa nomenklaturowa w fabryce nie uważała mnie za swojego, nie zapraszali na zebrania partyjne itd.

Dyrektor Gała [?] sprowadził dwóch specjalnych stolarzy, którzy produkowali meble dla tej „sitwy”, a nie dla potrzeb Zakładu. Inżynier z blachy zakładowej zrobił sobie dwa motocykle itp. Tam, gdzie mogłem to protestowałem, ale w końcu wyrzucili mnie z pracy – w 1962r. Przyszło dwóch strażników, wzięli mnie pod pachy – za bramę! Dostałem kartkę, że zwalniają mnie z pracy bez prawa wstępu na teren fabryki. Odesłałem wtedy Gomulce legitymację partyjną...

Potem pracowałem w Zjednoczeniu Przemysłu Kablowego na Senatorskiej w Warszawie. Komisja lokalowa kazała mi opuścić lokal, który dotychczas zajmowałem – nie miałem, gdzie mieszkać.

[opuszczony fragment nagrania przez MG]

Ożeniłem się w 1963 r. Żona miała małą klitkę bez kuchni, bez wygod. Rada Miejska nie zgodziła się na zameldowanie mnie w jej

mieszkaniu. [...] Trzy-cztery lata mieszkaliśmy oddzielnie, mimo, że w międzyczasie urodziło się nam dziecko.

taśma IX

[...] Cały czas studiowałem na studiach wieczorowych w Wyższej Szkole Inżynierskiej, ale nie dałem rady i po roku zrezygnowałem. Potem studiowałem na SGPiS-ie (ekonomika produkcji na wydziale Ekonomii Przemysłu) i studia skończyłem w 1966r.

[...] Chciałem wyjechać zagranicę. Napisałem listy do kilku ambasad z prośbą o pomoc – że nie mam mieszkania itp.

Zostałem oskarżony z art. 29 „Małego Kodeksu Karnego” („Kto łży i wyszydza ustrój państwa polskiego podlega karze więzienia do lat 10”). Nie aresztowali mnie, ale zrobili rewizję w domu i ciągnęli do Pałacu Mostowskich na przesłuchania. Okazało się, że przechwycili moje listy, które wysyłałem do ambasad pocztą. [...]

Proces miałem dopiero w 1968r. w zimie. Mój adwokat bronił mnie mówiąc, że treść listów nie podchodzi pod par. 29, bo piszę o ludziach, a nie o państwie polskim.

Wysłali mnie na 2 miesiące do Tworek na badania psychiatryczne. Tam nie uważali mnie za wariata, ale musieli trzymać. Pisałem tam pracę magisterską (żona przywoziła mi materiały).

Magisterium zrobiłem i skończyłem studia...

[...] Ja zarabiałem na życie, ale stale chorowałem, więc żona nie pracowała, bo musiała opiekować się mną i dziećmi (dwojgiem).

Dzieci nie znają moich losów na Kołymie. Przynależność do AK wcale mnie nie heroizuje w ich oczach. [...]

Ja jestem dalej socjalistą.[...]

Lech Czyński zmarł w 1994r.[sprawdzić]

Nie czytał spisanego nagrania swoich wspomnień...

LECH CZYŃSKI

Wspomnienia nagrane przez Małgorzatę Giżejewską w 1988 r. w Warszawie

Taśma I A

Urodziłem się w Zamościu 4.02.1924 r. Byłem jedynakiem. Ojciec był kolejarzem. Należał do PPS. W związku z redukcją etatów, czy jakimś strajkiem został zwolniony z pracy. Matka posiadała na Wileńszczyźnie działkę ziemi. Ponieważ nie było innych możliwości utrzymania się, bo nie można było znaleźć pracy, w 1932 r. pojechaliśmy na Wileńszczyznę i rodzice zaczęli gospodarować na tej ziemi. Był to zaścianek niedaleko Trok – Bowszyszki /?/. Do szkoły chodziłem w Wilnie, gdzie mieszkał mój wujek – brat ojca.

W 1939r., kiedy zaczęła się wojna chodziłem do 6-ej klasy. Wykształcenie musiałem więc uzupełnić po powrocie z łagrów w 1956r. Skończyłem liceum dla pracujących, a potem studia na SGPIŚ – ekonomika produkcji.

17 września 39r. wojska sowieckie przeszły granice polsko-radziecką i wkroczyły na teren Wileńszczyzny. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z czołgistami radzieckimi. u nas, dzieciach zrobiły one duże wrażenie – takie duże maszyny, żołnierze umorusani, brudni, wymęczeni, bo widocznie długi czas jechali. Widocznie specjalnie ich nastawiano, że mogą spotkać się z jakimiś aktami terroru, czy dywersji, bo byli bardzo nieufni i nawet dzieciom nie pozwalali podchodzić do czołgów.

Po wkroczeniu ACZ część ² żołnierzy polskich uciekła z koszar do domów, a inni – z dalszych terenów Polski zostali złapani i wywiezieni do obozów jenieckich. Pamiętam taki przypadek: u mojej ciotki był pies, który ciągle obszczekiwał przejeżdżające samochody radzieckie (traktem połockim). Któregoś dnia pies wpadł pod samochód, który przejechał mu tylne łapy. Pies strasznie się męczył, więc znajomy sąsiad, który trochę znał rosyjski prosił, żeby dobili (zastrzelili) psa. Ten odpowiedział: „kulu dał nam towarzyszc Stalin na wogow rodziny”, ale w końcu wyciągnął jakiś pistolet i psa zastrzelił. Łuska z naboju zeskoczyła do rowu i oficer zaczął jej szukać, myśmy mu pomagali, bo był strasznie zdenerwowany, ze wypadku nie znalezienia tej łuski nie będzie się mógł rozliczyć z wystrzelonych naboí i posądza go np. o przehandlowanie naboju za wódkę.

Rosjanie po wejściu zaczęli dawać jakieś obligacje; miejscowa ludność nie знаła tych papierów, ale dawali różne rzeczy, dopiero potem zorientowali się, że nic za to nie można kupić. A u nich było tak, że czy ktoś chciał czy nie, to musiał zadeklarować połowę miesięcznej pensji na te obligacje.

Na początku, po wejściu Rosjan, ludność jeszcze nie była tak wrogo do nich nastawiona; kobiety chciały im dawać mleko czy chleb, ale oni nie brali i odpowiadali, że u nich jest wszystko i niczego nie potrzebują. Ale często coś ludziom po cichu podkradali.

Po plebiscycie w 1940r., w którym jakoby ludność opowiedziała się za przyłączeniem Litwy do ZSRR, weszli po raz drugi i wtedy pokazali, co potrafią. Zaczęły się aresztowania i wywózki. Działo

NkWD (naramienniki czerwone z obszywką niebieską) i MKGB (naramienniki niebieskie ?).

Ludność miejscowa – chłopci – była biedna (kiepskie gleby), więc im nie robiło różnicy, czy to był pan polski czy ruski, byleby ich nie ruszano. Ale kołchozów to się bali. Później jednak, w 46r., jak rozmawiałem z chłopami, to sobie te kołchozy niektórzy chwalili, bo ziemia została scalona, a chłop tylko kombinował jakby coś ukraść, uprawiali swoje działki przyzagrodowe, a dla kołchozu pracowali byle jak, więc było im lepiej niż przedtem.

Do partyzantki (brygada Juranda) wstąpiłem w kwietniu 1944r. – miałem 16 lat. Wcześniej byłem luźno związany z organizacją, która dostarczała broń partyzantom do lasu. Wśród partyzantów byli też Białorusini; Litwini raczej wspomagali Niemców.

IB

Napięcia między Litwinami a Polakami (m.in. o gen. Żeligowskiego) widocznie nie pozwalały na wspólną walkę. Słyszałem, że na terenie centralnej Litwy działała partyzantka litewska, ale walczyła wspólnie z oddziałami radzieckimi.

Po okresie półrocznej samodzielności Litwy Polacy znowu mieli zmieniane dowody – najpierw na litewskie nazwiska, potem na rosyjskie, ale zachowujące pisownię i brzmienie litewskie. Np. w obozie spotkałem chłopaka o nazwisku Kiskis i myślałem, że to jest Litwin, a okazało się, że to Polak i nazywa się Zajac.

Na terenie Wileńszczyzny działało kilkadziesiąt brygad. Najgorzej miały brygady, które stacjonowały na wschód od Wilna, dlatego, że tam spotykały się z partyzantką radziecką. Sowietów mieli olbrzymie bazy koło jez. Narocz, m.in. w miejscowości Głębokie.

Przesuwali się stopniowo na zachód z powodów aprowizacyjnych. Ludność była już tak ograbiona, że nie było skąd brać żywności, nawet chleba i ziemniaków. Dlatego też sowieci wkraczali na teren działalności partyzantki polskiej i dochodziło do wielu incydentów.

Był już rok 1944 i między oddziałami AK i partyzantką radziecką w Puszczy Rudnickiej zawarto porozumienie, zapewne lokalne dotyczące głównie aprowizacji, aby nie dopuścić do całkowitego ograbienia miejscowej ludności. Istniały brygady, które w ramach wspomnianego porozumienia walczyły wspólnie z Rosjanami przeciw Niemcom, m.in. V Brygada Łupaszki (zastępcą Łupaszki był Paweł Jasienica). Łupaszce udało się wymknąć partyzantom radzieckim i dalej już działał w Polsce.

Na terenie Wileńszczyzny realizowany był plan „Burza”, który zakładał, że przed wkroczeniem wojsk radzieckich należy zjazać jak największy obszar spod okupacji niemieckiej. Armię radziecką AK miało witać jako gospodarz tych terenów. Plan ten został opracowany przez Rząd Londyński. Dochodziło jednak do różnych nieporozumień między dowódcami okręgów terenowych, np. między Okręgiem Wileńskim a Nowogródzkim wskutek zmiany zasięgu okręgów i ich dowództwa. W zaplanowanym ataku na Wilno miały uczestniczyć oba okręgi w koncentrycznym ataku. Jednak ustalony termin okazał się nieaktualny, gdyż nieoczekiwanie szybko nadeszła Armia Czerwona. „Wilk” przyspieszył więc polski atak na Wilno. Łączność była paskudna, gdyż oddziały AK mogły porozumiewać się tylko albo przez gońców albo przez Londyn – nie

było żadnej łączności radiowej, ani telefonicznej (trudno było ciągnąć za sobą kabel przy ciągłej zmianie postojów oddziałów).

A więc kiedy „Wilk” przyspieszył termin ataku na Wilno nie wszystkie oddziały zdążyły się zjawić, szczególnie z Okręgu Nowogródzkiego. W końcu okazało się, że połowy oddziałów nie ma. „Wilk” postanowił zaatakować tymi siłami, które były. Nasza brygada – „Juranda” miała zaatakować Wilno od północy. Jeszcze nie zdążyliśmy zająć stanowisk i byliśmy daleko od Wilna, kiedy od wschodu już toczyły się walki Rosjan z Niemcami. Wilno dobrze było bronione.

O ile mi wiadomo, było porozumienie między AK a Acz, że Rosjanie będą nas wspomagali ciężkim sprzętem; z tego jednak nic nie wyszło. Część naszych oddziałów została rozbita przez Niemców i wycofała się. Nasza brygada nie zdążyła dojść do Wilna i razem z I zgrupowaniem „Węgielnego” wycofano nas na północ.

Taśma II A

Niemcy zdążyli wyjść w nocy z Wilna, jeszcze przed wkroczeniem A.Radz. , przeprawili się przez Wilię i wyszli prosto na tyły zgrupowania „Węgielnego”. We wsi Krawczuny doszło do walki naszej brygady z Niemcami; tam zginął nasz dowódca „Jurand”.

Ja i mój kolega z oddziału dostaliśmy polecenie przedostania się w cywilu na teren Wilna i doręczenia jakiejś przesyłki pod wskazany adres. Wydaje mi się, że chodziło o wycofanie radiostacji, która tam działała. Wówczas jeszcze jakieś oddziały niemieckie walczyły nad Wilią. Widocznie nas usłyszano, Niemiec rzucił w naszą stronę granat zaczepny, który rozerwał się tuż koło moich nóg. Co się stało z kolegą – nie wiem; już go potem nie

widziałem. Ja byłem kontuzjowany w głowę, cały zachlapany krwią, całą noc przeleżałem nieprzytomny. Rano zrobiłem sobie opatrunek i jakoś dostałem się do Wilna. Tam spotkałem jakąś panią, która wezwała lekarza; przeleżałem u niej kilka dni. Pamiętałem adres, pod który mieliśmy się udać; meldunek miał kolega, więc nie wiedziałem, czy został dostarczony. Wyszedłem z opaską na głowie. A Wilno było już wtedy kontrolowane przez oddziały radzieckie. Wyszli partyzanci z Puszczy Rudnickiej i wyłapywali wszystkich młodych Polaków, nie patrząc na to, czy ktoś ma mundur czy nie. Starłem się przemknąć zaułkami, ale jednak złapali mnie. Zażądali dokumentów, a ja żadnych nie miałem. Zacząłem bajerować, że mnie ranili Niemcy w walce w mieście, że zgubiłem dokumenty, że nie jestem partyzantem, ale nic ich nie przekonało. Wzięli mnie na punkt zborny na Łukiszkach, gdzie siedziało już wielu chłopaków. Było to 17 czy 18 lipca 1944r.

Przetrzymani mnie ok. tygodnia na Łukiszkach, potem załadowali nas do ciężarówek i przewieźli do Miednik. Trzymali nas w starym zamku; pomieścili tam chyba ok. 5 tys. partyzantów.

Jak się później dowiedziałem dowództwo AK porozumiało się z dowództwem radzieckim, że partyzanci polscy będą brali udział w dalszych walkach jako samodzielna jednostka wojskowa polska w obrębie ACz. Dowództwo AK kazało zgrupować wszystkie oddziały w jednym miejscu; Rosjanie wówczas otoczyli partyzantów i aresztowali wszystkich.

W Miednikach zorganizowano obóz zbiorczy dla wszystkich – nie tylko dla partyzantów, ale dla młodych Polaków, którzy nawet nigdy nie byli w konspiracji; chodziło o oczyszczenie „przedpola” z młodzieży polskiej.

W Miednikach znaleźli się też dowódcy – utajnieni, którzy zdjęli swoje odznaczenia i których nie rozszyfrowano. Od nich mieliśmy informacje o aresztowaniach reszty dowództwa.

Po tygodniu przyjechał jakiś pułkownik z Armii Berlinga i namawiał nas do wejścia w jej szeregi. Wyłożono listy i każdy, kto chciał zapisywał się. Ja z paroma kolegami umówiłem się, że zapiszemy się, a potem „damy nogę”, bo w tej armii będą nas na pewno mniej pilnować niż w obozie. I większość z tych, którzy się zapisali miała zamiar uciec.

Gрупę ok. 200 osób zaprowadzono do dużej stodoły i powiedziano, że jutro zostaniemy zaprowiantowani, a tymczasem zabrano do obozu szkoleniowego. W nocy okazało się, że pilnuje nas tylko jeden radziecki wartownik, więc z tyłu stodoły zrobiliśmy dziurę i umówiliśmy się, że rano uciekniemy. Tymczasem rano okazało się, że część ludzi uciekła w nocy i stodoła była już otoczona wojskiem. Zabrali nas z powrotem do Miednik. Co pewien czas dosyłali tam niewielkie partie ludzi. Po ok. 2 tygodniach uformowali nas w kolumny i zagonili na stację kolejową i w wagonach towarowych wieźli gdzieś na wschód. Mieliśmy pietra, bo każdy z nas słyszał o Katyniu. Polacy z AK nie mieli wątpliwości, kto to zrobił.

II B

Transporty, które wtedy (1944r.) jechały na wschód były traktowane po macoszemu, bo najważniejsze były te, które szły na

zachód. Toteż często staliśmy⁸ na bocznicach i do **Kaługi** (ok. 1000km) jechaliśmy prawie 3 doby. Przez cały czas nie dawali wody, kto zjadł dany nam przy wyjeździe suchy „pajok” (chleb i solone suszone śledzie), to cierpiał okropnie. Ci, którzy mieli jeszcze zegarki czy buty, to sprzedawali je konwojentom za wodę. Za buty dostało się często wiadro wody i całe bractwo rzucało się na to wiadro – jak zwierzęta.

Do Kaługi przywieźli nas ledwo żywych; były upały – połowa sierpnia. Na stacji za to witała nas orkiestra grająca Mazurka Dąbrowskiego! Połowa z nas nie mogła sama się poruszać; część od razu poszła do „sanczasti”, część dopiero po paru tygodniach doszła do siebie. Kiedy wysiedliśmy z wagonów, to dopiero zobaczyliśmy, że były na nich napisy: „ śmierć izmiennikom rodziny” – dlatego nas po drodze ludność miejscowa na stacjach obrzucała kamieniami.

W Kałudze zaprowadzono nas do łaźni, zabrali polskie ubrania, dali stare mundury radzieckie po rannych lub zabitych (były ślady po strzałach lub odłamkach).

Sformowano z nas 361 pułk strzelecki w ramach 31 dywizji strzeleckiej radzieckiej. Podzielono nas wg roczników, np. 28 rocznik zwolnili do domu, ale 27 – już nie, więc ja zostałem. Należałem do 4 rotę któregoś batalionu, a ponieważ byłem wysoki, więc chodziłem w 1 czwórce. Dali nam makiety karabinów i zaczęli ćwiczyć w walce na bagnety – od rana do wieczora. Cały pułk w Kałudze liczył ok. 5 tys. osób. Ponieważ nie mieli nawet gwiazdek, więc każdy z nas musiał sobie wyciąć gwiazdkę z puszki po konserwie („swinnaja tuszonka”) i przypiąć ją na

furażerce. Możliwości protestu nie było, bo wsadzali do karceru, albo wywozili nie wiadomo gdzie. Panował psychiczny terror – wiedzieliśmy na co ich stać. Mówiono nam tak: „Dalismy wam możność pójścia do Armii Berlinga – polskiej armii, wyście nie chcieli. Rozbrojono was na terenie Litewskiej Rep. SSR, jesteście obywatelami Związku Radzieckiego, więc będziecie teraz w Acz”. Zabrano nam wszystkie papiery – nie mieliśmy żadnego dokumentu. Spisywali nas według danych, które podawaliśmy ustnie, tak że można było podać same fałszywe dane. Potem jednak to jakoś sprawdzano i złapanego na fałszowaniu danych karano. Oficerowie ze „specczasti” – opiekunowie polityczni wołali niektórych z nas i rozmawiali.

Przypuszczam, że oficerowie mieli wśród nas swoich donosicieli, albo wcześniej wysłanych do oddziałów AK albo zwerbowanych tu w obozie. Kiedyś palnąłem taki wierszyk” „Choroszo w kraju radnom, pachniet sianom i gównom” I zaraz mnie zawołali do politycznego, który zarzucił mi prowadzenie antyradzieckiej propagandy. Wy tłumaczyłem, że to wierszyk rosyjski i nie ja go wymyśliłem. Ale nie chodziło o wierszyk, tylko o sterroryzowanie nas albo namówienie do współpracy. Oficer, który ze mną rozmawiał, groził mi pistoletem i wymyślał od polskich panów. Powiedziałem, że ja nie jestem „z panów”, ale synem robotnika socjalisty. A ten wrzeszczał, że socjaliści to tacy sami faszyści, jak Niemcy.

Po ok. 4 miesiącach ćwiczeń uznali, że jesteśmy wyszkoleni. Pogonili do łaźni, dali nowiutkie mundury. Zaczęły krążyć pogłoski, że chcą nas zmusić do złożenia przysięgi. Pewnego dnia

wygonili nas na pole, stały tam stoły zasłane czerwonym suknem, stanął za nimi dowódca pułku i powiedział: „Macie teraz honor złożyć przysięgę na wierność Związкови Radzieckiemu”.

Myśmy się umówili, że nie będziemy przyjmować tej przysięgi. Pułkownik czytał słowa przysięgi, a myśmy mieli je powtarzać. Ale nikt nie powiedział słowa – była cisza zupełna! – 5 tysięcy ludzi stało w milczeniu; nikt nie odważył się powiedzieć: „ja, obywatel Związku Radzieckiego....”

Dowódcy przeszli nad tym do porządku dziennego i kazali podchodzić do stołu i podpisywać druczki z tekstem przysięgi. Byłem w pierwszej czwórce, więc jako jeden z pierwszych podszedłem do tego stołu i wszyscy czterej odmówiliśmy podpisania tego druku. Wołają żołnierzy, każą zdjąć naramienniki, pas, zabierają sznurowadła – i na bok. Mieliśmy trochę pietra, nie wiedzieliśmy co nas czeka, ale z drugiej strony nie mogliśmy złożyć tej przysięgi; wtedy człowiek byłby od nich całkowicie zależny. Baliśmy się też, że jako żołnierzy mogą nas rzucić w taką „dziurę” na froncie, że Niemcy od razu nas zniszczą. Dlatego postanowiliśmy nie dać zapędzić się na front. Co prawda i tak nie mieliśmy pewności, czy nawet bez tej przysięgi na front nas nie wyślą.

Okazało się, że tylko te pierwsze czwórki zostały ukarane karcerem (na kilka dni), a pozostałych już tylko pytano, czy podpiszą; nikt nie podpisał.

Potem wszystkich zapędzono do łaźni, dali znowu stare łachy – i do roboty. Najmłodszych (w tym mnie) posłali do wyładunku wagonów, a resztę do wyrębu lasu.

O ile mi wiadomo, do Kaługi¹¹ trafili również żołnierze AK narodowości białoruskiej i ukraińskiej, bo spotykałem ich. Niewielu ich było i mieli większe fory u Rosjan. W pierwszym okresie starano się ich skaptować i nakłonić do współpracy (przekonać, że „polskim panom” nie ma co pomagać i trzeba ich demaskować). Ale chyba nie wszystkich dało się do tego nakłonić i kapusiami mogli być nie tylko Ukraińcy i Białorusini, ale i Polacy. W każdym razie widać było wyraźnie, że oni nas tam niszczyli – jako Polaków. Dowódcy podobno otrzymywali informacje z frontu o działalności naszej partyzantki i nienawiść skupiali na nas.

Ponieważ ja już wtedy miałem wrzód dwunastnicy i źle się czułem, więc zgłosiłem się do „sanczasti”. Zrobili mi badania i wysłali do szpitala. Przywozili tam również rannych Rosjan z frontu. Jak ci dowiedzieli się, że jestem Polakiem, zaczęli mnie szykanować i chcieli wyrzucić ze szpitala. Opowiadali różne głupstwa, np., że na terenie Polski Rosjan trują mlekiem, strzelają zza węgła; żaden z nich tego nie doświadczył, ale powtarzali „opowieści” propagandowe.

Po wypisaniu mnie ze szpitala dostałem pracę przy spalwaniu drewna Oką. Dali nam bosaki i trzeba było wyciągać kłody drzew z rzeki. Była to bardzo ciężka praca.

Był już listopad, zimno. Postanowiliśmy z kolegą uciec.

Skombinowałem pół cywilne ubranie (spodnie, sweter, szynel bez pagonów). Zamierzaliśmy dostać się do Wilna.

Obóz nie był strzeżony; mieszkaliśmy po pracy w ziemiankach, z których można było wychodzić. Ale wieczorem dowódca

sprawdzał; było nas ¹² kilkadziesiąt osób, więc łatwo można było zauważyć czyjąś nieobecność.

Wlazłem do maszynisty pociągu, który w pobliżu przejeżdżał, opowiadając jakąś bajeczkę, dlaczego ja muszę jechać do Wilna. On się bał, bo na stacjach i w pociągu były lotne patrole wojskowe NKWD. Ale w końcu się zgodził.

Podobno następnego dnia od razu zaczęli nas szukać, ale jakoś nam się udało uciec.

Taśma III A

Maszynista kazał mi sypać węgiel do paleniska - niby jako pomocnikowi palacza. Powiedziałem, że mi ukradli dokumenty, więc umówiliśmy się, że jak będą patrole sprawdzały dokumenty, to ja się gdzieś schowam. Z kolegą postanowiliśmy, że każdy na własną rękę będzie się starał dostać do Wilna pod umówiony adres. Pewnego razu, w nocy patrol mnie zaskoczył, udało mi się wyskoczyć z parowozu, ale oni zatrzymali mnie. Opowiedziałem taką samą historię, co maszyniście, ale zaprowadzili mnie na posterunek na jakiejś stacyjce. Milicjant, który mnie tam zaprowadził miał pełne ręce roboty, bo w pociągu było mnóstwo ludzi bez dokumentów.

Na posterunku zamknęli mnie w komórcie z oknem i kazali czekać przez noc. Ja oczywiście to okno otworzyłem. Wsiadłem do towarowego pociągu jadącego na zachód. I udało mi się dotrzeć do Wilna!

Zgłosiłem się od razu na punkt kontaktowy, ale kolegi tam jeszcze nie było. Pojechałem do rodziny. Wiedziałem jednak, że w pierwszej kolejności tam mnie będą szukać, więc ukryłem się u

nich, przeczekałem parę tygodni, potem pojechałem do mojej ciotki koło Wilna. Pomagałem jej trochę w gospodarstwie. Staralem się nawiązać dawne kontakty partyzanckie. Okazało się, że część ludzi wyjechała do Polski, część została aresztowana i cała konspiracja była rozbita. Spotkałem raz na ulicy znajomego, którego poprosiłem o załatwienie dokumentów, abym mógł wyjechać legalnie do Polski. Musieli mi wystawić dowód radziecki, specjalne zwolnienie z komisji wojskowej (tam nigdy nie figurowałem) i dopiero potem można było starać się o kartę repatriacyjną. Sprawa była więc dość skomplikowana. Znajomi załatwili mi dowód osobisty, ale powiedzieli, że z „Wojen-komatu” nie mogą zdobyć zaświadczenia.

Na terenie Wileńszczyzny (jak wszędzie) AK zostało rozwiązane, ale tu powstała nowa organizacja „Niepodległość” o kryptonimie „NIE”. Znajomy początkowo nie chciał mnie z nikim skontaktować, ale kiedyś umówił się ze mną, spytał, czy uważam, że nadal obowiązuje mnie przysięga złożona w AK. Powiedziałem, że tak, a on obiecał, że skontaktuje mnie z organizacją. Ostrzegał mnie, że teraz to jest sprawa poważniejsza niż za Niemców, bo bolszewicy mają wszędzie konfidentów. Najchętniej brali do współpracy Żydów, bo ci znali dobrze środowisko miejscowe i mieli do Polaków pretensje, że za mało wysiłku włożyli w ratowanie ich przed Niemcami. Oprócz tego Polacy korzystali z majątku pozostawionego po wywiezionych Żydach. Część Żydów ocalała i ci, po wkroczeniu Rosjan poszli na współpracę. Chcieli odebrać swoje rzeczy i mieszkania. Były straszne sceny, bo wchodzili z sowiecką milicją do mieszkań i bili ludzi zmuszając ich do

przyznania się kto co brał: jeden wziął poduszkę, inny pierzynę, jeszcze inny stół – i za to też można było dostać parę lat. Terror był jak cholera!

Grupy związane z „Niepodległością” lały takich kapusiów. Poza tym robiło się napady na posterunki, w których pracowało kilku milicjantów radzieckich, a reszta to była miejscowa ludność – młodzi chłopcy. Oni byli bardzo niebezpieczni, gdyż znali język polski, miejscową ludność, mieli spenetrowaną całą siatkę AK-owską. Litwini wtedy już byli prześladowani przez Rosjan i stworzyli własną organizację działającą podobnie jak nasza :NIE”. Wspólnych akcji nie było, bo i u nas i u nich były małe grupy, dobrze zakonspirowane.

Najczęściej wychodziło się w nocy, załatwiała sprawę, rano przychodziło się do domu, broń chowało i nikt o tym co robimy nie wiedział.

Znany mi jest jeden taki przypadek: jedna Żydówka, która przed wojną miała sklep i uchodziła za bogatą, uratowała się jakoś przed wywiezieniem do getta umówiła się z jednym wieśniakiem, że za przechowanie jej będzie mu płaciła miesięcznie 10 rubli w zlocie. Wieśniak wykopał piwnicę pod domem i tam ją przechowywał i karmił. Robił dla niej dużo za te 10 rubli, bo nie była to wygórowana kwota. Przechowywał ją ponad rok. Jak przyszli bolszewicy, ona zgłosiła się do nich i zadenuncjowała tego chłopca, że bezprawnie brał od niej pieniądze, a powinien ukrywać ją bezinteresownie. Chłop dostał 10 lat łagrów, a jego rodzinę wywieźli. A była to biedna rodzina – pięcioro dzieci. Ja dowiedziałem się o tym od jego syna, który początkowo się

ukrywał, ale go złapali i ¹⁵wywieźli do obozu, w którym się poznaliśmy.

Kiedyś zrobiliśmy napad na posterunek i zabraliśmy dokumenty. Wśród nich były donosy i można było stwierdzić, kto donosił NKWD.

Był początek 1946r. Czasem w trakcie akcji na posterunki byliśmy zmuszeni bić, a nawet zabijać, kiedy była walka i milicjanci bronili się z bronią. Chodziło o to, żeby było jak najmniej ofiar, ale czasem nie było wyjścia.

NKWD-ziści byli znienawidzeni nie tylko przez ludność polską, ale też przez swoich – przez normalne wojsko radzieckie. Bo oni na swoich żołnierzy też donosili. Np. w czasie wojny byli na tyłach armii i strzelali do swoich żołnierzy, którzy chcieli wycofać się z walki.

Taśma III B

Organizacja „Nie” latem 1946r. także chyba przestała istnieć, albo bardzo się zakonspirowała, bo straciłem z nią kontakt. Ludzie, z którymi się kontaktowałem zostali aresztowani. Ukrywałem się wtedy u swoich krewnych. Po pewnym czasie znalazłem swojego kolegę z AK, który mówił, że na granicy za Grodnem mieszka Polak, który pomaga przedostać się na teren Polski za pewnym wynagrodzeniem. Sprawa miała być pewna. Było to w rejonie Sokółki. Skombinowaliśmy pieniądze i we trzech postanowiliśmy dotrzeć do granicy na własną rękę (sierpień 1946r.).

Udało mi się dojechać do Grodna. Miałem ze sobą rosyjski rewolwer, myślałem, że może mi się przydać. Dotarłem do wsi granicznej w nocy. Okazało się, że miejscowych Polaków w

międzyczasie wywieźli. I ¹⁶ zostałem sam. Do granicy było ok. 5-6 km, więc postanowiłem przejść sam, choć nie orientowałem się w terenie. Spotkałem jakąś babcię – Polkę, która powiedziała mi, że na granicy jest zaorany pas, na którym widać każdy ślad. Poza tym rozciągnięto druty, do których przymocowano rakiety wystrzeliwujące, jak się pociągnęło za drut. Polska straż graniczna współpracowała z sowiecką i wydawała uciekinierów sowietom.

Oczywiście nie udało mi się przejść tej granicy. Sowietci siedzieli w zasadzce, z psami, pies wyskoczył i rzucił się na mnie. Zdążyłem tylko wyrzucić broń. Związali mnie i czekali; myśleli pewno, że to przechodzi cała grupa, a ja jestem tylko wywiadowcą. Po godzinie odprowadzili mnie na strażnicę.

W czasie przesłuchania musiałem powiedzieć, że uciekłem z Kaługi, bo inaczej musiałbym coś wymyślać, skąd się tam wziąłem. Myślałem, że z powrotem odeślą mnie do Kaługi, ale nie miałem dokumentów, więc zawieźli mnie do więzienia w Grodnie.

Siedziałem tam 2 miesiące; w celi przeznaczonej dla 4 osób siedziało nas 25 więźniów. Nie można było nawet wyciągnąć nóg. Spało się tak, że jeden leżał z rozkraczonymi nogami, a drugi kładł mu głowę na brzuchu. Leżeliśmy na betonowej podłodze. Do śmierdzącej paraszy chodziło się w nocy po ludziach.

Byli tam Polacy, chłopci białoruscy i litewscy (oskarżeni o jakąś agitację czy sabotaż) i radzieccy złodzieje, którzy przyszli za wojskiem i grabili miejscowych chłopów.

Wzywany co pewien czas na śledztwo byłem w kółko pytany o to samo: do kogo w Polsce szedłem, u kogo się ukrywałem, co robiłem

itp. Raz zapytano, czy chcę¹⁷ wrócić do Kaługi, ale pominąłem to milczeniem.

Po dwóch miesiącach przyszli do celi i odczytali wyrok. Sądziły nas tzw. Trójki [OSO]. Mnie dali dwa paragrafy : wyrok za ucieczkę z Kaługi i próbę przekroczenia granicy; w sumie – 3 lata obozu pracy przymusowej [ITŁ] – nie sumowali wyroków za poszczególne paragrafy.

Kiedyś jeszcze pytałem śledczego dlaczego mnie nie skierowali z powrotem do Kaługi, to powiedział, że jak dostanę wyrok i odpracuję go, to wtedy wyjadę do Polski.

Posiedziałem w więzieniu jeszcze parę tygodni – i na etap.

W więzieniu w Grodnie poznałem jednego Polaka spod Mołodeczna, który już kilka lat wcześniej był w obozach rosyjskich. To był chyba jakiś złodziejaszek. I on mi rad udzielał – jak się należy zachowywać w więzieniach i w obozach. Radził mi, żebym się razem z nim trzymał w podróży i żebyśmy próbowali dostać się do ostatniego wagonu, bo może uda się uciec przez dziurę do załatwiania się.

Przed wyruszeniem na etap wymieniłem z jednym chłopem swoje buty na amerykańskie kamasze, a kurtkę na kozuch. Potem okazało się, że zrobiłem bardzo źle z punktu widzenia regulaminu więziennego. Przed etapem zrobili szczegółową rewizję: rozbierali nas do naga i nawet do odbytnicy zaglądali. Ten, który nas rewidował, jak tylko zobaczył te moje amerykańskie kamasze, to poodrywał mi podeszwy i wyciągnął stalowe płytki usztywniające buty. Po wyjęciu płytek, z oderwaną podeszwą buty nie nadawały się do chodzenia; musiałem je podwiązywać sznurkiem.

Uformowano nas w piątki, ¹⁸ poprowadzono na stację; trafiliśmy do ostatniego wagonu. Ale bolszewicy wiedzieli, że więźniowie uciekają i założyli ramę stalową na zderzaki ostatniego wagonu: jeśli ktoś wyskoczył z jadącego pociągu, to opuszczona stalowa szyna zgmiotłaby go na miazgę.

Pojechaliśmy oczywiście na wschód. Trasy nie pamiętam; okienka były zabite deskami. W tym bydlęcym wagonie było nas chyba z 80 osób. Spało się na podwójnych półkach, część na podłodze. Na dachu wagonu umieszczono karabin maszynowy, konwojenci stale tam chodzili, rozmawiali, stukali, więc nawet zasnąć było trudno.

Podróż trwała ok. miesiąca. Pociąg gdzieś stawał, czasem po parę godzin. Gotowali dla nas owsiankę z owsa niedokładnie obłuskanego, dawali kubek kawy czy herbaty i 500g chleba dziennie.

Dojechaliśmy do Buchty Nachodka. Tam zagonili nas do obozu tranzytowego, w którym trzymali nas ok. miesiąca. Był już listopad [1945r.] W obozie tym znajdowało się tysiące więźniów – może ok. 5 tysięcy; wszystkie narodowości z ZSRR, Polacy, Węgrzy, Rumuni....

Taśma IV A

W różnych obozach spotkałem Polaków komunistów, którzy walczyli w Hiszpanii i którzy z różnych paragrafów politycznych zostali skazani na obozy. Niektórym z nich udało się zatrzymać w obozie przejściowym w Nachodce. Pracowali tam w administracji obozowej. I to oni opowiadali mi, że stąd transporty odchodzą tylko

na Kołymę i żebym starał się najdłużej zaczepić w Nachodce. Dziwili się, że ja mając wyrok tylko 3-letni zostałem wysłany tak daleko.

W Nachodce tym tysiącom ludzi nie mogli zapewnić naczyń do jedzenia, więc robiło się samemu miski z puszek po „swinnoj tuszonce”. Czas na jedzenie był ograniczony, np. na zjedzeni zupy dawali tylko 15 min. i cały barak musiał się w tym czasie zmieścić. /Baraków było kilkadziesiąt - w obrębie zon rozdzielonych kolczastymi drutami. Jak przychodził transport, to segregowali ludzi do poszczególnych zon – do suk, złodziei, politycznych/. Jak ktoś nie miał miski, to musiał wlewać zupę do czapki (mieliśmy takie „uszanki”). Wywracało się czapkę na lewą stronę i wlewało się do niej zupę. Ziemniaki w wodnistej zupie były nie obierane. dziennie – 500g chleba.

W czasie mojego miesięcznego pobytu odchodziły z Nachodki transporty do obozów. Mimo ostrzeżeń myślałem, że może już lepiej jechać do obozu, niż tam siedzieć: karmili bardzo źle, złodzieje kradli, można się było wykończyć. Niektórzy ludzie, wracający ze stacjonarnych obozów, mówili, że tam wcale nie jest tak źle, że jak się wyrobi normę, to można dostać dodatkowe jedzenie itd.

Jaka była polityka władz obozowych? Wiedzieli, że złodzieje nie chodzą do pracy, bo mają swój kodeks honorowy, więc trzymali ich w specjalnej zonie. Były przypadki, że złodzieje się tam zabijali, a władze nie prowadziły dochodzenia, tylko trupowi brali odciski palców, żeby go zidentyfikować i zapisać, że zmarł.

Władze pozwalały złodziejom, którzy złamali kodeks złodziejski (czyli tzw. sukom) iść na wachtę (wartownię) i przenosili do innej zony, żeby ich „prawdziwi” złodzieje nie zabili. Wg „worów” złodziejowi łamiącemu kodeks, głównie przez współpracę z władzami, groziła kara śmierci. Władze utworzyły więc zony „suk”. „Suki” starały się dopadniętego złodzieja „zsuczyć”, a jak się nie dał, to go zabijali. Był taki rytuał „suczy” wg którego złodziej stawał się suką: łapali złodzieja, bili go i kazali pocałować nóż, którym wcześniej zabito jakiegoś złodzieja. Jak pocałował, to stawał się suką. Podawano to do publicznej wiadomości i ten człowiek nie mógł już wrócić do klanu złodziei, bo ci by go zabili. Byli złodzieje, którzy woleli dać się zabić niż stać się suką. Między sukami też były różne ugrupowania walczące między sobą. Wśród więźniów z paragrafu złodziejskiego byli przeważnie Rosjanie, ale też Ukraińcy, Białorusini i inne narodowości z całego ZSRR.

W Buchcie Nchodka jak administracja obozowa chciała się zemścić na jakiś złodziejach czy sukach, to niby przypadkiem wpuszczała niewielką grupę suk do zony złodziejskiej lub odwrotnie i tam ich „mieszkańcy” zony zabijali (mieli zawsze jakieś prymitywne noże). Czasami „interweniowali” strażnicy z wież – strzelając do ludzi jak popadnie. Krew się wtedy lała strumieniami – jak mówiono.

Jak władze poznawały, kto jest worem, a kto suką? Worowi w najmniejszym stopniu nie wolno było pracować, ani wspomagać administracji obozowej; wpędzali grupę więźniów do zakazanej zony otoczonej drutem kolczastym, wysokim płotem i pasem zaoranej ziemi, i kazano im w obrębie tej zony wyrywać trawę.

Złodziej nie pochylił się i nie wyrwie trawy, ale suka wykona ten rozkaz i w ten sposób rozdzielano te dwie grupy.

Złodzieje nie wykonywali żadnej pracy w obozie, ale dostawali lepsze jedzenie niż my, bo wszystkich terroryzowali.

Władze obozowe składały się z: administracji wewnętrzno-obozowej, w której pracowali więźniowie (nariadczyk-porządkowy, dniewalni, kucharz, piekarz itp.) – tzw. pridurki oraz administracja naczelna. Było to normalne wojsko NKWD, mieszkające oczywiście na zewnątrz obozu. Byli to: naczelnik obozu, jego zastępcy, strażnicy, konwojenci itp. Nadzorcy („nadzieratiel”) mieli przydzielone do opieki poszczególne baraki; nie wolno im było wchodzić strefy obozowej z bronią, więc źle się czuli w zonach złodziejskich. Takim nadzorcy można było składać zażalenia itp. Nie miało to żadnego skutku, ale takie były przepisy.

[Od 1947r.] były trzy kategorie obozów [na Kołymie – przyp. MG]: normalny ITŁ, Bierłag – obozy specjalne dla politycznych z dużymi wyrokami i katorga – najcięższe roboty i warunki (czasem na noc przykuwano ich do ściany) i nie mogli pracować w administracji obozowej. Numery obozowe nosili tylko katorżnicy i Bierłag. Obozy te były oddzielone od siebie i każdy z nich miał inny regulamin pracy i norm. ITŁ pracował po 8 godzin, Bierłag – 9, a katorżnicy mieli dodatkowe obciążenia.

Po miesiącu pobytu w obozie tranzytowym załadowali ok. 3 tysiące ludzi na statek. Był to polski statek – wszystkie odlewy mosiężne miały napisy po polsku, ale teraz statek nazywał się „Sowietskaja Łotwija”. Był to jego drugi rejs na Kołymę. Siedzieliśmy w ładowniach z pryczami.

Był listopad [1946r.] – czyli najmniej sprzyjający okres nawigacji – burze i sztormy. Jak wypłynęliśmy na otwarte morze to wiało do 9 st. Beauforta.

Dali żywność na 7 dni (suchary, solona ryba i woda), ale płynęliśmy 10 dni, więc przez 3 dni w ogóle nie było jedzenia. Ale i tak wszyscy cały czas chorowali na chorobę morską; starosta grupy pobierał żywność dla wszystkich, ale mało kto jadł. Załatwialiśmy się do beczek w ładowniach. Na pokładzie były latryny, ale przy tym wietrze nie można było wyjść.

Na statku też prym wiedli złodzieje: brali żywność dla całej grupy, kradli mąkę itp. Rozpalali sobie ognisko na samym dnie statku i piekli sobie placki. Dla nich było to normalne życie.

Dopłynęliśmy w nocy do zatoki Nagajewo, a tam przy brzegu było już pół metra lodu. Statek stanął więc kilkanaście kilometrów od Magadanu. Zaczęło się wyładowywanie. Większość ludzi nie była w stanie utrzymać się na nogach, więc silniejsi ich wyciągali. Potem, jeszcze na łodzie koło statku, wszystkich musieli przeliczyć – musiała się zgadzać ilość sztuk. W czasie drogi na statku zmarło kilkadziesiąt osób; też ich trzeba było wyciągnąć.

Tych, którzy mogli się sami poruszać gnano piechotą po łodzie do Magadanu, a resztę (m.in. mnie) przewieziono ciężarówkami. Brano nas za ręce i nogi i wrzucano po kilkadziesiąt osób do jednej ciężarówki. Parę osób zadusiło się w czasie tej drogi. Ludzie byli przecież półprzytomni po 10 dniach takiej podróży.

Przywieźli nas do obozu przejściowego w Magadanie. Siedzieliśmy tam kilka miesięcy, bo musieli nas podkurować przed wywiezieniem do dalszych obozów. W styczniu lub lutym 1947r. wsadzono nas do ciężarówek i wieziono na północny zachód. jechali prawie sami polityczni. Droga była ciągle zawiewana śniegiem. Trasę wyznaczały tyczki o wysokości de 3m, czasem do połowy zasypane śniegiem. W okresie zimy wiały na Kółymie bardzo silne wiatry i większość dróg była całkowicie zawiewana i nieprzejezdna. Co kilka kilometrów usytuowane były „komandirówki”. Mieszkało tam kilkudziesięciu więźniów bez konwoju (tzw. bezkonwojni - z małymi wyrokami, albo tacy, którym już niewiele zostało do końca wyroku). Otrzymywali żywność i sami sobie gotowali, a do ich obowiązków należało odśnieżanie drogi. Czasem polegało to wprost nakopaniu tunelu w śniegu, jak purga zawiąła ze 3 metry. Spychaczy było bardzo mało i przeważnie pracowały w pobliżu miast.

Nasza droga (w ciężarówkach obitych deskami, z piecykiem żeliwnym w środku) trwała przeszło tydzień. W jednej ciężarówce jechało ok. 30 osób Dostawaliśmy suchy prowiant – suchary, soloną rybę i kawałek cukru. Czasem były postoje przy „komandirówkach” lub obozach usytuowanych przy różnych zakładach przemysłowych lub kopalniach. W tych obozach dostawaliśmy coś gorącego do jedzenia, czasem nocowaliśmy. Wpuszczano nas do wydzielonej strefy albo do wolnego baraku. Z mieszkającymi tam więźniami nie wolno nam było kontaktować się,

rozmawiać. Czasem tylko przez druty próbowaliśmy krzyczeć i pytać, skąd są, czy są Polacy, ale rzadko. Na trasie do Indygirki obozy te miały nazwy, które zaznaczyłem na szkicu. Przy każdej kopalni zbudowano osiedla („posiołki”) i po kilka obozów. Od głównej drogi odchodziły boczne – do innych kopalni, przy których też były obozy. W Arkagale [Arkagała], gdzie było kilka kopalni węgla, było rozwidlenie dróg: jedna biegła na północ nad Indygirkę (przez Buduguczak, Artyk, Burustak, Ust Nerę), druga odnoga skręcała na zachód i prowadziła do Jakucka (przez Ojmiakon, osomak, Kandygę nad Ałdanem, jetikiel, Czerkiesk, Czurupcza, Tungaloj, Bestiak – nazwy miejscowe).

Trasa podróży biegła początkowo dolinami rzek, a dalej na północ jechało się drogą wyrąbaną na stokach skalistych gór [Wierchojańskich]. Tam było bardzo niebezpiecznie, bo ślisko, wąsko (ok. 4 m szerokości) i kręto. Na serpentynach ciężarówki czasem spadały w przepaść. Na takiej drodze nie można było się zatrzymać, bo jak zgasł motor, to nie można go było potem uruchomić, ale jak jechała naprzeciwko inna ciężarówka, to jedna musiała się zatrzymać, bo inaczej nie minęłyby się. Pod zatrzymanym samochodem palono pod silnikiem ognisko i dopiero po rozmrożeniu go można było dalej ruszyć.

Zawieźli nas do Ust Nery, z której budowano dalej drogę w kierunku rzeki Indygirki. Pracowaliśmy przy budowie tej trasy. Im dalej na północny wschód tym warunki były coraz trudniejsze – nie tylko bytowe, ale i klimatyczne. Niedaleko znajdował się „biegun zimna” – Ojmiakon, gdzie temperatura dochodziła do –70 st. C; tam, gdzie my pracowaliśmy mrozy dochodziły do –60 st. C.

Budowana droga biegła przez różne podłoże. Miejscami były twarde skały i tam wyrąbiano z jednej i drugiej strony drogi rowy odwadniające. Powierzchnię szosy wyrównywano żwirem lub odłamkami skał. Na odcinkach prowadzących przez tundrę znajdowały się bagna; ziemia rozmarzała tam latem do głębokości 1 – 3 m i tworzyły się bagniska nie do przejścia. Na takim terenie ścinało się drzewa, kładło na mokradła i na bale nawoziło się gruz skalny. Trzeba było dużo tego nanosić, ponieważ wszystko się zatapiało i należało zbudować nasyp.

W tundrze, tam gdzie rósł mech, były pastwiska reniferów, ale tam, gdzie myśmy budowali drogę rosła niska ostra trawa, więc ani reniferów ani Jakutów nie spotykaliśmy. Ale wiem, że w miejscach, gdzie były pastwiska, sowieci utworzyli całe kołchozy – bo tam też wszystko skolektywizowali. Na południu Kołymy żyło dużo popielic, na które Jakuci polowali, a futerka musieli oddawać do spółdzielni łowieckich. Otrzymywali z tych spółdzielni amunicję, a oddawali futerka. Taki Jakut potrafił tak dobrze strzelać, że trafiał nie tylko w głowę popielicy, ale i w oko. Niektórzy Jakuci mieli krewnych na Alasce i jak zatoka Beringa zamarzła, to przeprawiali się na Alaskę i sprzedawali skórki w faktoriach amerykańskich. Oczywiście, jak ich przy tym przyłapano, to dostawali po 3 lata obozów za przekroczenie granicy – tak jak mnie. Siedziałem z takimi Jakutami. Źle znali rosyjski, ale można się było z nimi porozumieć. Opowiadali, że starano się ich skłonić do przejścia z jurt do domów w posiołkach, gdzie nawet zorganizowano szkoły jakuckie, ale oni, zwłaszcza starzy, budowali sobie jurtę koło tego

domu i woleli tam mieszkać. Jakuci to bardzo gościnny naród. Nie rozumieli też, jak jeden człowiek może drugiego więzić i za co.

Były przypadki, że więźniowie starali się uciec na zachód – w kierunku Ałdanu. Na głównych trasach co kilkanaście kilometrów stały zapory i posterunki, ale można było je obejść, ale można było je obejść, chociaż z trudnością. Takich uciekinierów trudno jest złapać w tajdze i byli dużym kłopotem dla NKWD-zistów. Nawet wtedy, gdy udało się uciekinierów złapać, to w drodze powrotnej trzeba było ich przecież karmić. Musieli iść pieszo z psami, czasem kilkadziesiąt kilometrów, i wziąć ze sobą duży zapas żywności. Wartownicy więc, żeby się tak nie męczyć, po złapaniu więźnia zabijali go, odcinali ręce i przywozili je żeby zrobić odcisk palców w obozie – żeby wiadomo było kto to był. W protokole podawało się, że „został zabity w trakcie ucieczki”. Jeśli kogoś złapali bliżej obozu, to przyprowadzali do tego samego obozu, karali karcerem („burem”), okropnie bili i zwiększali wyrok. Nie wiem, czy były udane ucieczki, bo przecież z nikim takim nie widziałem się potem.

Taśma V A

O ucieczkach wiem tylko to, co opowiadali ci, których złapano. A odbywało się to tak: grupa złodziei postanowiła uciec. skombinowali 9ukradli0 trochę soli i sucharów. Namówili do ucieczki dwóch młodych chłopaków, których niedawno przywieziono z Magadanu więc nie byli jeszcze bardzo wychudzeni i mogli służyć jako źródło ewentualnego pożywienia. W trakcie ucieczki przez tajgę jednego z nich zabili i zjedli. Rozpalili ognisko, wbili na patyk kawałek mięsa, opiekli, posolili – i jedli.... Nie

chorowali po tym, bo przecież ludzkie mięso zawiera takie same składniki, jak inne.

Starano się uciekać wtedy, gdy stopniały śniegi. Do Leny były setki kilometrów. tak że poszukiwania trwały bardzo długo i uciekinierów lub ich odcięte ręce przyprowadzano czasem po miesiącu. Trudno było ustalić, czy ci, którzy nie wrócili żywi zginęli z głodu i żołnierze natknęli się na ich trupy, czy ich zamordowali. Chodziło o to, że w drodze żołnierze nie mieli ich czym żywić. Dlatego żadnych dochodzeń w tej sprawie nie było. Pamiętam jeszcze taki przypadek: kilku więźniów (złodziei) uciekło, a że nie orientowali się dobrze w stronach świata, więc zrobili sobie kompas: do buteleczki włożyli namagnesowaną płytkę stalową przywiązaną na nitce i jeden z końców tej płytki pokazywał północ. Nie wiedzieli jednak, że w tamtym regionie występują anomalie magnetyczne (złoża żelaza) i kompas kręci się w kółko. Po tygodniu wędrówki i poszukiwaniach ich przez strażników okazało się, że wyszli niedaleko obozy, z którego wyruszyli. Kiedy straż dała im w kość, tłumaczyli, że postanowili sami wrócić, ponieważ zrozumieli, że nie uda się im uciec. I darowano im tę ucieczkę.

ucieczka nie była więc sprawą łatwą. Trzeba było przejść kilka tysięcy kilometrów na zachód, żeby wyjść nad Lenę, gdzie są już drogi lub można popłynąć statkiem. Po drugie, więźniowie nie mieli żadnych dokumentów, a na każdej zaporze drogowej zatrzymywali i sprawdzali papiery.

Mimo to, w obozach panował taki silny pęd do uzyskania wolności, że ludzie, którzy mieli mało wyobraźni i wiedzy – ryzykowali.

Wśród uciekinierów przeważali kryminalni. Liczyli na to, że im pomoże mafia złodziejska, która była już na swobodzie.

Zaopatrywała ich w żywność i fałszywe dokumenty.

Więźniowie polityczni rzadko próbowali uciekać; chyba zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Jeśli chodzi o narodowość uciekających, to przeważali Rosjanie. Polacy i inni zupełnie nie mogli liczyć na pomoc z zewnątrz.

Były też takie przypadki, że w wielotysięcznym obozie, w którym strażnicy nie byli w stanie zapamiętać wszystkich twarzy, złodziej dowiadywał się, że komuś kończy się niedługo wyrok i zmuszał go do przekazania wszystkich danych o sobie i potem podszywał się pod tego więźnia i wychodził na wolność.

Oprócz politycznych i kryminalistów była jeszcze trzecia grupa więźniów – „specpieriesielency”. Byli to ludzie bez wyroków, wysłani na 6-letnią zsyłkę. Należeli do tej grupy żołnierze Acz, którzy znaleźli się w obozach niemieckich, lub pracowali gdzieś w administracji niemieckiej. Wywozili ich za „współpracę z Niemcami”. W ciągu tych 6 lat prowadzono dochodzenie. jeśli okazało się, że ktoś jest niewinny, to proponowano mu żeby na Kołymę sprowadził swoją rodzinę i został tu w pracy jako wolny. i wielu zostawało, ponieważ zasymilowali się z miejscową ludnością, znaleźli dobrze płatną pracę, mieszkanie itp. A śledztwo przeważnie toczyło się długo, bo zanim z Magadanu pismo dojdzie np. na Ukrainę, potem ma przyjść odpowiedź, że trzeba coś jeszcze wyjaśnić, to ciągnęło się to całymi latami. Możliwe, że niektórzy

wracali do domu, ale trzeba się było o to bardzo usilnie starać; zawsze NKWD jakiś „hak” znalazło i szantażowało.

Jakuci i miejscowa ludność pomagali uciekinierom, wskazywali kierunek, gdzie mają iść, dawali żywność itd. Jakuci nie rozumieli, dlaczego jakiś człowiek jest ścigany i zabijany. Ale z czasem NKWD zaczęło „przerabiać” Jakutów. Wyznaczano za głowę odpowiednią nagrodę. Jakut, gdy spotkał w tajdze więźnia miał prawo go zabić albo przyprowadzić żywego. Wystarczało również, żeby przyniósł odciętą rękę. W nagrodę dostawał spirytus, machorkę, cukier, sól, mąkę. NKWD stosowało również prowokacje. Przebierali się za więźniów i napadali na jakuckie jurty. To miało zniechęcić Jakutów do udzielania pomocy więźniom. Po takim napadzie przyjeżdżał jakiś „oper” z posiołka i wyjaśniał: „widzicie, wy pomagacie tym ludziom, a to są zbrodniarze, wrogowie władzy radzieckiej; wy im pomagacie w ucieczce, a oni napadają na was”.

To chyba spowodowało, że ucieczek było coraz mniej. Człowiek, który nie może liczyć na pomoc innych, nie dostanie się przez tajgę do terenów zamieszkałych.

W obozie nad Indygirką osiedlono nas w baraku z dwupiętrowymi drewnianymi pryzmami. Zbudowane były z mokrych bierwion, między którymi, po ich wyschnięciu tworzyły się duże szpary; gnieździły się tam miliony pluskiew. barak mieścił ze 100 osób, a gdy trzeba było wsadzić do niego więcej ludzi, to spali oni na podłodze. Pośrodku baraku stała beczka po benzynie przerobiona na piec, z którego blaszane rury wyprowadzane były do komina przez dach. Paliło się przeważnie drewnem.

Praca trwała osiem godzin, ale im dalej przesuwała się budowa drogi, to tym dłużej trzeba było do niej dochodzić piechotą.

jak przyjechałem, to do pracy dochodziło się godzinę.

Pracowaliśmy na rumowisku skalnym. Mieliliśmy prymitywne sanie zrobione ze skrzyni przymocowanej do dwóch klocków, a do tego przyczepione druty; był to tzw. korab. Do koraba wchodziło ok. 300 kg kamieni. jedni kruszyli skały oskardami, ładowali do koraba, a dwóch ciągnęło – jak konie – korab po drodze. dziennie trzeba było wyciągnąć normę mierzoną w metrach sześciennych. Była to praca tak ciężka, że po 8 godzinach człowiek nie miał siły wracać do baraku. Ludzie mdleli. A pracowaliśmy na mrozie do –55 st.C. Poniżej tej temperatury był tzw. aktyrowany dzień – nie szło się do pracy. Jeśli w obozie byli złodzieje (wory), to ci nie chodzili w ogóle do pracy i brygady politycznych musiały za nich wykonywać plan. Ja musiałem nie tylko swój korab wywieźć na drogę, ale jeszcze ze dwa lub trzy za tego złodzieja, który sobie siedział na narach w baraku i grał w karty. Jeśli normy nie wyrobiliśmy, to zmniejszano nam normy jedzenia. Rozliczano albo całą brygadę, albo parę więźniów, a np. przy piłowaniu lasy – pojedynczą osobę. W przypadku, gdy brygadzista powiedział, że ktoś odmawia pracy (z politycznych) więźnia wsadzano do izolatora (tzw. barak usilnowo reżima - bur).

Na początku w ogóle nie mieliśmy bielizny. Na gołe ciało wkładało się „tiegorejke”, waciane spodnie i burki, czyli waciane walonki podszyte gumową podeszwą z opony samochodowej.

Ubrania te szyli więźniowie w większych obozach. Na głowie mieliśmy czapki – „uszanki”.

Człowiek w takich warunkach powinien otrzymywać ok. 5000 kalorii w pożywieniu, a dostawaliśmy ok. 2000. Administracja obozowa hodowała w obozie świnie, karmiąc je resztkami z kotła; okradali w ten sposób więźniów. Mieliśmy dostawać ok. 40g mięsa dziennie, a dawano nam tylko ryby i tak naprawdę to tego mięsa nikt nie widział. Do jedzenia dostawaliśmy przeważnie kaszę owsianą z łuskami. Było to szkodliwe dla żołądka i jelit, gdyż łuski kaleczyły wnętrzności. Oprócz ryb i kaszy dawali nam chleb, do którego dodawano w czasie pieczenia dużo wody, więc był jak klajster – mokry i ciężki. Z jarzyn dawali kapustę krojoną na sieczkarni, kwaszoną. Była paskudna: śmierdząca i z dużą ilością piachu. Ziemniaków było bardzo mało, bo uprawiano je tylko w okolicach Magadanu. Żywność dowożono amerykańskimi ciężarówkami, oczywiście tylko w okresie, gdy trasa była przejezdna. Norma cukru wynosiła 14 g na dobę, ale cały cukier zabierali złodzieje. Do picia mieliśmy kawę zbożową. Poza tym dostawaliśmy „gadian” – fioletową kaszę podobną do gryki (kaszę chińską). Zaprawiali ją jakimś tłuszczem roślinnym („kombiżyrem”) lub olejem wyciskany z nasionek bawełny (tę bawełnę przywozili z Kazachstanu w olbrzymich cysternach). „Kombiżyr” to była twarda margaryna o nieprzyjemnym smaku, ale jednak starano się wykombinować kawałek tego tłuszczu. Wszystko to, co było lepsze zabierali złodzieje: szli do kuchni, zastraszali kucharza i zabierali mięso, ryby, cukier... A

administracja z drugiej strony też nas okradała zabierając kaszę dla świi.

W szpitalikach można było dostać tłuszcz foczy. Ale żeby do takiego szpitalika trafić, trzeba było już być „dochodiagą”. Szpitaliki te nazywaliśmy trupiarniami („dochodilowka”). Znajdowali się tam ludzie, którzy nie mogli się już poruszać, nie mieli w ogóle tłuszczu na ciele; gdy potarło się ich skórę, to sypał się z niej biały proszek.

Nad Indygirkę wysyłano tych, którzy mieli się wykończyć. Po przywiezieniu nas do obozu przyszedł jakiś nadzorca i powiedział: „Nie myślcie, że was tu przywieźli dla odbycia kary. Was przywieźli żebyście zdechli. Dlatego, że jesteście wrogami Związku Radzieckiego.” Uprzedził więc nas, że stąd wyjścia nie ma. Przyjechałem nad Indygirkę w styczniu lub lutym, a na wiosnę ważyłem 45 kg (przy wzroście 182 cm).

Na początku, pod pozorem, że nie chcemy pracować albo że nie wykonujemy normy, bili nas, wsadzali do „buru” – karnego izolatora, dawali karną żywność: kubek ciepłej wody i 300 g chleba na całą dobę. Jeśli przy takim wyżywieniu siedziało się w izolatorze tydzień – to był już koniec. „Bur” to była ziemianka do połowy wpuszczona w zmarzlinę. Wsadzało się tam więźnia w samej bieliźnie, albo w letnich spodniach i kurtce. Temperatura była poniżej zera. „Bur” był podzielony na dwie części: izbę więzienną i przedsionek. Między nimi stał piec (beczka po benzynie – jak wszędzie). Strażnicy palili tam jednak tylko mchem po to, żeby było widać, że z rury idzie dym – żeby nikt im nie zarzucił, że nie dotrzymują regulaminu więziennego. Więźniów nie wypuszczali na

załatwienie potrzeb fizjologicznych, więc każdy robił koło siebie. Natychmiast to zamarzało. Siedziałem tam raz z Litwinem, który tak się załamał, że obsusiał własne nogi, odmroził je i potem obie mu ucięli. Sądziли go jeszcze za to i dostał dodatkowo 15 lat obozu! A miał 25 lat obozu, więc tyle powinien pracować jako zdrowa siła robocza....

Ja miałem wyrok tylko 3 lata i ono mnie tam celowo wysłali. Oni mieli kartotekę – sztywne kartoniki z paskami przekątnymi w różnych kolorach. Każdy pasek odpowiadał jakiemuś paragrafowi, np. czerwone oznaczały, że więzień jest wrogiem ludu, nie może korespondować z rodziną, nie ma prawa otrzymywać paczek itd. na różne etapy sortowano więźniów wg pasków, nie zwracali uwagi na długość wyroku. Ja miałem 3 lata, ale mogłem być w kartotece, która kwalifikowała mnie, żebym zdechł. A ktoś inny miał 25 lat, a mógł chodzić wolno, np. gdy były oficer radziecki zastrzelił żonę z zazdrości, dostawał 10 lat, ale nie był wrogiem ludu. dzielili więźniów na dwie kategorie: „socjalnie szkodliwi” – złodzieje, bandyci, najgorsze szumowiny, a druga – „socjalnie(społecznie) niebezpieczni” – czyli wrogowie ludu i ZSRR – więźniowie polityczni. Jeśli kogoś zaliczono do tej kategorii, to miał ciężkie życie. Gdzie by nie był, to ta kartoteka trafiała zanim. Ja byłem „niebezpieczny”, bo uciekłem z Kaługi.

Taśma V B

W obozie nad Indygirką budowałem drogę do połowy 1947r. Latem byłem już zupełnie wykończony. Zresztą nie tylko ja – wszyscy, którzy pracowali przez całą zimę z naszego obozu (ok.

600 osób). Nasz obóz pracował na samym przodzie drogi budowanej nad Indygirką. Gdy przyszło lato, trzeba było jeszcze tę trasę poprawiać: zasypywać dziury kruszywem skalnym, ubijać ubijakami, wygładzać rowy.

Administracja obozowa miała więc dwa wyjścia: albo nas w ogóle wykończyć fizycznie, albo dać odpocząć, odżywić i zregenerować swoje siły.

Nie byłem zorientowany jaka była śmiertelność w obozie. Wiem, że ten, który spał obok mnie zmarł w nocy. Ale jeśli ktoś zmarł w drugim końcu baraku, to mogłem o tym nie wiedzieć, bo po pobudce leciało się szybko do stołówki, jadło się zupę z kawałkiem chleba – i do roboty. Nie wiedziałem, czy wszyscy wyszli z baraku, czy ktoś był chory, czy zmarł. Ale nie ulega wątpliwości, że wypadków śmiertelnych było dużo. Trafiali tam ludzie nawet ok. 50-ki, z wadą serca, uszkodzoną nerką, wątrobą itp. Taki człowiek z góry był skazany na przegraną, mógł nie doczekać lata.

Do obozu przyjechała jakaś komisja, oglądała tyłki. Jak tyłka nie ma i między nogami jest taka dziura, że pies może przeskoczyć, i widać same pizczcele, to wtedy kwalifikują ludzi na „dochodziłówkę”. Tam się nie wykonywało żadnej pracy, nikt się ludźmi nie interesował – wyżyjesz, to wyżyjesz, a zdechniesz, to zdechniesz; nikogo to nie obchodziło.

Mnie zakwalifikowali. Zawieźli nas kilkaset kilometrów do jakiegoś obozu i zamknęli w jednej ze stref. Ten obóz był słabo pilnowany, bo ludzie ledwo się poruszali. Z silniejszych stworzyli brygadę, która zaopatrywała kuchnię w drzewo. Trzeba było wyszukiwać suche żerdzie modrzewia, a ponieważ ten punkt

sanitarny działał już długo, okolice były dokładnie oczyszczone z drewna i trzeba było coraz dalej chodzić, czasem po 5-6 km, zimą brnąc w głębokim śniegu.

W obozie trzymali konika jakuckiego, który służył oczywiście administracji. Opiekował się nim jakiś wozak- Ukraińiec. Gdy konik był wolny używali go do przywożenia drewna, ale jak zajęty czymś innym trzeba było przynosić drewno na własnych plecach i w obozie ciąć na polana do kuchni i do łaźni.

Jedzenie w tym obozie było trochę lepsze niż w normalnym: dawali nam ok. 700 g chleba dziennie , wydzielano po łyżce tranu, można było dostać drożdże przeciw skorbutowi, aspirynę (rzadko). Poza tym żadnych lekarstw nie było, ani witamin, ani antybiotyków.

Robiło się tylko wywar z igieł „ślannika” [syberyjski cedr], który był bogaty w witaminę C.

Felczerem był jeden Polak, którego wywieźli z okolic Wilna w 1939r. ; prawie zupełnie nie umiał już mówić po polsku. Gdy dowiedział się, że ja również jestem z Wilna od razu zaproponował mi pracę w charakterze jego pomocnika. Oczywiście zgodziłem się.

Jeśli chodzi o stosunki między więźniami politycznymi, to trudno o tym mówić. Tam człowiek był tak otępiały i zmaltratowany, że w ogóle nie utrzymywało się żadnych stosunków. Po skończonej robocie każdy walił się natychmiast na prycę, zasypiał snem kamiennym, a rano budzili – i do roboty. Tak to szło.... Nikt nawet nie chciał ze sobą rozmawiać. ja mogłem rozmawiać po polsku z Białorusinami i Ukraińcami, ponieważ znali nasz język. Ale byłem w obozie jedynym Polakiem i jedynym z tak małym wyrokiem. Inni mnie nawet z tego powodu lekceważyli!

Niedaleko „dochodilówki”³⁶ był obóz katorżniczek-złodziejek. Chodziły ogolone, ubrane jak mężczyźni, zmuszano je do wycinania lasu. Jedna z katorżniczek, Rosjanka (miała na sumieniu kilka zabójstw), dostała się do naszego punktu sanitarnego jako chora, bo w pobliżu nie było żadnego szpitala. Ta kobieta była cała wytatuowana – od brody po pięty. Całe ciało miała pokryte różnymi obrazkami, głównie nieprzyzwoitymi, np. na jednej piersi stała pochylona kobieta, a na drugiej mężczyzna i kiedy ruszała piersiami, to wydawało się, że oni ze sobą kopulują. na dole brzucha wytatuowała sobie napis: „wejście tylko dla złodziei”.

W stanie takiego wycieńczenia w jakim byliśmy, nie było mowy żeby uprawiać jakieś „figle-migle”. Ta Rosjanka była nawet dobrze odżywiona i gdy tylko doszła trochę do zdrowia, to dawała różne propozycje. A człowiek tymczasem ledwo żył i myślał tylko o jedzeniu! Według tych kobiet najbardziej obelżywym dla mężczyzny przezwiskiem było „panosnik” (zasraniec), czyli taki, który był do niczego – tak jak my.

Dotrwałem w tej „dochodilówce” do zimy 1947 r. Przyjechała kilkuosobowa komisja, w tym naczelnik regionu obozowego i „kupiec” – kierownik jakiegoś zakładu pracy, czy budowy drogi lub wycinki lasu, któremu potrzebna była siła robocza. Wybierali ludzi do pracy tak jak kiedyś na targu niewolników. Ludzie w obozach umierali i trzeba było uzupełnić „ubytki” w załogach. takim „następcą” mógł być człowiek z „dochodilówki” – ten, który nie zdechł i miał tyłek wypełniony trochę mięsem.

Mój znajomy felczer kazał mi się ukryć: „Nie wychodź, bo masz już tylek zaokrąglony, to cię wezmą”. Położył mnie do łóżka jako chorego.

Komisja zabrała z naszej zony do różnych obozów kilkadziesiąt osób. Ja zostałem.

Zima w roku 1947/1948 była straszna. Zaczęła się wcześniej i nie zdążyli dowieźć do „dochodziłówki” jedzenia. Nasz obóz nie leżał przy głównej trasie, która była oczyszczana ze śniegu, ale kilkadziesiąt kilometrów w bok, więc w zimie niemieliśmy żadnych kontaktów ze światem. Zostaliśmy bez jakichkolwiek zapasów. Było parę beczek kapusty, trochę krup owsianych, ale to nie starczyło do wykarmienia całego obozu. A na dodatek [późną jesienią] zaczęli dowozić nowych „dochodziągów” z północnych regionów. Oni mieli już odmrożone ręce, nosy, chorowali na pelagrę [szkorbut], byli potwornie wychudzeni, nie mogli się sami poruszać.

Pewnego dnia przyszedł do felczera naczelnik i powiedział, że są trudności z dowiezieniem żywności, że złożył gdzieś meldunek, ale nie wiadomo, czy doszedł. I zostaliśmy na lodzie na całą zimę. Stopniowo zaczęli zmniejszać racje żywnościowe, aż w końcu okazało się, że nie ma co jeść.

W obozie był ten mały konik i dla niego było przygotowanych kilka ton makuchów słonecznikowych. Koniuch tłukł makuchy na drobne kawałeczki i dawał koniowi. Więźniowie wykradali koniowi te makuchy z torby. A koń brykał, gryzł, wiedział, że mu zabierają jedzenie. Ja nie kradłem tych makuchów, bo byłem sanitariuszem i

żywiłem się nieźle przy tym felczerze, który przecież był szychą, bo od niego zależało, czy kogoś wypiszą ze szpitala, czy nie.

Pewnego dnia koledzy pojechali konikiem po drzewo. Powiedzieli Ukraincowi-koniuchowi, że jeśli nie zjedzą konia, to umrą z głodu. Złamali konikowi nogę, jakoś przykuśtykał do obozu, Ukrainiec dostał lanie straszliwe, ale powiedział, że koń wsadził nogę do wykrotu i złamał ją. Naczelnik uwierzył i kazał dobić zwierzę. Mieliśmy więc do jedzenia i konia i jego makuchy – przez prawie dwa miesiące. Oczywiście, najlepsze kawałki wzięła sobie administracja obozowa, bo oni też przecież byli głodni! A reszta jadła nawet skórę konika – po oskrobaniu, wyparzeniu i ugotowaniu. Z makuchów jedliśmy nasionka razem z łuskami, więc gdy człowiek robił kupę, to z kiszki stolcowej ciekła krew. Mnie do tej pory dwa razy cięli jelita, bo mam okropne zrosty i został mi tylko kawałek jelita cienkiego... Przez jakiś czas dawali nam chleb wymieszany z materiałem wybuchowym. Widocznie worki z amonitem (do prac górniczych) wozili razem z workami z mąką. Worki popękały, wszystko się pomieszało i z tego piekli chleb, który był strasznie gorzki. Ludzie nawet po nim wymiotowali.

Tej zimy bardzo dużo ludzi zmarło. Zmarłych układano za łaźnią, na golasa; lisy polarne przychodziły i obżerały ciała. Potem się okazało, że również ludzie wycinali kawałki ciała, chociaż właściwie były to same kościotrupy! Kiedyś wyszedłem w nocy z baraku „na siusiu” (ubikacja była na dworze; ten, kto sprzątał ten pisuar dostawał dodatkową porcję jedzenia) i poczułem, że z beczek, w których paliliśmy ogień roznosi się zapach mięsa. To

więźniowie gotowali kawałki trupów w puszcze! Mówili, że to mięso z renifera, ale kto tam widział renifera?!

Nie chowaliśmy ciał, bo kto by tam kopał w śniegu i zmarzlinie. Dopiero na wiosnę trzeba było wszystkich oficjalnie spisać. Palilo się więc w łaźni i wrzucało tam trupy, żeby odtajały. Przyjeżdżał jakiś lipny lekarz, robił niby sekcję zwłok - rozcinał im brzuchy, potem zszywał drutem i każdemu wpisywał do aktu śmierci, na co dana osoba zmarła. Pisali więc w raporcie: zawał serca, niewydolność nerek, ostre zapalenie jelita, zapalenie mózgu, itp.

Na wiosnę(48r.) brygada wykopała duży dół i w nim zasypała te kościotrupy.. W tej wiecznej zmarzlinie leżą setki tysięcy ludzi! - leżą jak w lodówce....

Przed wrzuceniem do dołu przywiązywali do dużego palca prawej nogi kawałek dykty, na której był napisany numer sprawy. Tylko po tym można trupa zidentyfikować.

Na wiosnę 1948r. trochę żywności przywożono nam z okolicznych obozów. Mieliśmy już normalny chleb, kaszę, trochę tłuszczu.

Człowiek to jednak bardzo wytrzymałe zwierzę! Trzeba się było jakoś zaadaptować. Nie chodziło tylko o mróz, głód, złe ubranie, ale także o życie pod ciągłą psychiczną presją. Istniała tam podwójna eksploatacja człowieka: z jednej strony administracja wymuszała wykonanie normy i znęcała się nad więźniami (bicie, karne porcje jedzenia, wsadzanie do izolatora), a z drugiej była presja tych złodziei, którzy nie pracowali i polityczni musieli za nich wykonywać normę. I od tego, jaki był stosunek ilościowy między

złodziejami a politycznymi ⁴⁰ bardzo dużo zależało. Jak było 20 złodziei na tysiąc politycznych, to normę można było wyrobić. Zależało to też od tego, czy byli to wory czy suki. Bo wory mieli swój kodeks etyczny i nie znęcali się tak nad politycznymi, nie zabierali umierającym kromki chleba itp.

Na ogół obozowi naczelnicy, którym zależało na wykonaniu normy (dostawali za to premię) tak układali proporcje politycznych i kryminalnych, żeby polityczni mogli tę normę wyrobić i za siebie i za złodziei.

Taśma VI A

Wśród przestępców pospolitych byli również tacy, którzy nie należeli do mafii złodziejskiej. Np. ja siedziałem z więźniem, który „na bańce” miał nieszczęście potraćić córkę prokuratora. To był swój człowiek, komunista, kierowca, który woził jakiegoś dygnitarza; gdyby potrafił zwykłego człowieka, to może sprawę by zatuszowano albo dostałby rok. A tak – wylądował na Kołymie z długim wyrokiem.

W obozie „dochodiagów” podkarmili mnie trochę i jak nabrałem sił, to w maju [1949?] wywieźli mnie do obozu przy kopalni złota na północ od Ust Nery. Podróż trwała kilka godzin.

Z centralnych rejonów Rosji przysyłali wolnych ludzi – geologów, którzy do swych badań mieli do pomocy rozkonwojowanych więźniów. Trudno było sprowadzać w odległe rejony tajgi elektryczność lub maszyny spalinowe. Szurfy badawcze (rowy) – w poszukiwaniu złóż złota -kopano więc ręcznie.

Wolni ludzie, którzy przyjeżdżali tu do pracy nie byli przerażeni widokiem obozów, ponieważ przekonano ich, że więźniowie są wrogami ZSRR i zasługują na taką karę. Geolodzy nie mieli prawa wstępu do obozów; w pracy stykali się tylko z więźniami z małymi wyrokami, którzy chodzili bez konwoju. Ci więźniowie nie mieli prawa opowiadać czegokolwiek o swojej karze i życiu w obozach. Więźniowie, którzy pracowali przy poszukiwaniach geologicznych mieli lepsze życie – dobrą żywność, a poza tym nikt nie stał nad nimi z bagnetem.

Kopalnie złota były albo odkrywkowe („pryiski”) albo głębinowe- podziemne. W odkrywkowych więźniowie kopali szurfy w zmarzlinie w której leżały piaski złotonośne. Potem zakładano tam materiały wybuchowe i zrywało się nadkład nad złożem. Jeśli pokład (żyła) złota biegła na głębokości 2-3 m to wydobywało się złoto odkrywkowo. Rozpalało się ognisko, żeby ziemia odtajała, wyrzucało nadkład łopatami i kopało się szurf. Po wybuchu, często razem z nadkładem wylatywały duże samородki złota, które potem można było znaleźć w całej okolicy. Jeśli żyła złota biegła na głębokości ok. 10 m kopało się sztolnie. Były one bardzo wąskie, tak że ludzie pracowali w nich na kolanach albo na czworakach. Wypadków nie było dużo, bo w tej twardej zmarzlinie nie trzeba było ścian stemplować i tapnięcia były bardzo rzadkie. Złoto występowało w różnej formie: samородki (znaleziono jeden o wadze 10 kg!), albo wielkości grochu, albo ziarna wtopione w skałę. W tym ostatnim przypadku mielono skałę i specjalną metodą flotacyjną oddzielano złoto od skały,

Norma wydobywania złota wynosiła 14 g złota dziennie na jedną osobę, ale zależała ona od ilości złota w złożu i wydajności danej kopalni; dla każdej kopalni była inna.

W mojej kopalni pracowało 200-300 osób na dwie zmiany. Normę wykonywało się również za kucharza, piekarza itd. – czyli za tych, którzy nie pracowali w kopalni.

W tajdze, w małych kopalniach robiło się wszystko ręcznie.

Mieliśmy tylko łopatę, kilof, taczkę, kołowrót – jak w średniowieczu! Taczkami podjeżdżało się pod szyb i kołowrotem wyciągało urobek.

W pobliżu dużych osad doprowadzano linie wysokiego napięcia lub instalowano własny generator – i tam sprowadzano maszyny, chyba nawet z Zachodu.

Po przepłukaniu skały złotonośnej, przesianiu jej przez specjalne maty, po odejściu zmiany, wieczorem, specjalny kasjer otwierał miejsca, gdzie położyło się [?] zebrane złoto, w obecności świadków [?] suszyło się je, sortowało i wsypywało do plombowanych woreczków, które potem układało się w specjalnych skrzynkach, też później plombowanych.

Administracja obozowa i kopalniana wiedziała, że tam wszyscy kradną – i więźniowie i ich wolni pracownicy. W kopalni, w której ja pracowałem administracja przymykała oczy na handel złotem w obrębie obozu, tzn. na dostarczanie złota „pridurkom”. A inni na tym korzystali, bo jeśli ktoś dostarczał złoto piekarzowi, to dostawał za to dodatkowy chleb, jeśli kucharzowi – zupę, itp.

Jeśli kopalnia nie mogła wykonać normy, czy to z powodu braku surowca, czy z braku sił u więźniów. to na pewien okres zwalniano więźniów z małymi wyrokami i ci mieli szukać złota na własną rękę. Wybierano oczywiście ludzi, którzy się na tym znali, głównie mieszkańców Syberii; byli to tzw. „staratiele”. Ja bym nie mógł być takim, bo się na tym nie znałem. Taki człowiek wędrował sobie całe lato szukając głównie samorodków. Przynosił je do obozu, a za to dostawał „suchy pajok”, a poza tym naczelnik obozu (jeśli chciał) odliczał mu 2-3 dni z wyroku za jeden dzień takiej pracy.

Podobnie „nagradzano” również ludzi, którzy pracowali w kopalni, jeśli się wykonało normę – były to tzw. zaczioty, które wprowadzono na pewien okres [od 1949r. do 1954?].

Ja pracowałem w kopalni jako elektryk. Mielśmy generator spalinowy i trzeba było doprowadzić światło. Trochę się na tym znałem; nie była to skomplikowana praca – wziąć kabel i podłączyć żarówkę. Jak na początku [w dochodilowce] pytali: „jest elektryk?”, to wielu podniosło ręce, w tym ja, i tą metodą zostałem zatrudniony w kopalni przez stałego obozowego elektryka. Nie obowiązywała mnie tam żadna norma, ale pewno ktoś musiał ją za mnie wykonywać.

Na koniec sezonu naczelnik zamykał kopalnię, zbierał całe złoto i musiał rozliczyć wykonany plan. kopalnie, które nie wykonały planu w lecie, musiały pracować zimą w ogrzewanych barakach, do których wrzucano zmarznięta ziemię ze złotem, ona tam tajała i potem ją przepłukiwano. Specjalna brygada jeździła nad rzekę po lód, który po roztopieniu używano do płukania złotonośnej ziemi.

Tam plan był najważniejszy! Choćby i połowa ludzi zginęła, to norm nie zmniejszano, tylko dosyłano nowych więźniów.

Nie wiem, komu sprzedawano złoto. Widziałem tylko te zaplombowane woreczki, które zawierały ok. 20 kg kruszcu. Wywożono je (statkiem lub samolotem) do Magadanu, a stamtąd chyba do skarbcza ZSRR.

Ale rozwijał się handel nielegalny, głównie z Amerykanami. Na terenie Kołomy istniały bazy przerzutowe. Tam Amerykanie w czasie wojny dostarczali sprzęt i pożywienie dla Rosjan. Po wojnie ta pomoc się skończyła. Myśmy dojadali już tylko resztki amerykańskiego tłuszczu, mąki itp. Zostały jeszcze narzędzia; piły, siekiery, łopaty. Ja, będąc w obozie przy tej kopalni złota spotkałem jednego Amerykanina, który siedział w obozie. Okazało się, że był to lotnik amerykański. Znał dobrze rosyjski i jak przylatywał z transportem to umawiał się z więźniami, że będą mu dostarczali złoto. Więźniowie zbudowali dla tych Amerykanów lotnisko w lesie. Było to w latach 1944-45. tego handlu nie dało się długo ukryć i lotnik wpadł razem z więźniem, który mu dostarczał złoto. Sądzi ich normalnie i skazali chyba na 10 lat. Amerykanie starali się wydostać swego kolegę, ale nie dało rady. Ten Amerykanin pochodził chyba z rosyjskiej rodziny – matka czy babka była Rosjanką. W ramach kary celowo wsadzili go do obozu koło kopalni niedaleko dawnej bazy amerykańskiej. Powiedzieli: „Jak cię interesuje złoto, to teraz zobaczysz jak się je wydobywa.”

Często rozmawiałem z nim i zarzucałem, że USA postąpiło z Polską po świńsku . [tekst skrócony...MG]

Pracowałem w tej kopalni ok. 3 miesiące – do jesieni. na zimę, jeśli kopalnia wykonała plan, więźniów wysyłano do innych prac. Część wydobywała i w zimie złotodajną ziemię wysypując ją na hałdy, gdzie leżała do lata.

Warunki życia w tej kopalni miałem niezłe. Była to kilkuletnia kopalnia, więc obóz rozbudowano: baraki, łaźnia, piekarnia, kuchnia, stołówka. Jedzenie dawali dużo lepsze niż nad Indygirką. Istniały 3 kategorie żywienia w zależności od wykonanej normy (500 , 700 lub 900 gramów chleba).

taśma VI B

Dostawało się też więcej kaszy, ryby, a nawet mięsa. Kłopotliwa sprawa była z cukrem, jako, że był to towar łasy. Wszyscy kradli, nawet wolni. Kucharz, który robił kawę dla brygady mówił, że on również nie dostawał cukru. Sól była w postaci dużych kamiennych kawałów wymieszana z pisakiem.

Dali nam w końcu czystą bieliznę, a za parę porcji chleba załatwiłem sobie prześcieradło.

Wydaje mi się, że głównym powodem polepszenia się naszych warunków życia był inny priorytet przedsiębiorstwa.

Przedsiębiorstwa „złotodajne” wykonywały plan główny na Kołymie, a budowa dróg i baraków była działaniem ubocznym. TU chodziło o złoto.

Więżniowie, którzy wydobywali złoto w kopalni mieli się lepiej od tych, którzy budowali drogę do tej kopalni.

Od miejscowej administracji zależało, czy więcej czy mniej ukradnie jedzenia przeznaczonego dla więźniów, czy naczelnik będzie „humanista” czy sadysta. Był taki naczelnik, który postanowił wykończyć więźniów, ponieważ byli to wrogowie Związku Radzieckiego. To on nas przywitał w Ust Nerze słowami: „Przyjechaliście tu po to, żeby zdechnąć”. Jak człowiek to usłyszał po długiej, męczącej podróży z Magadanu, to od razu był dobity psychicznie.

Warunki życia w obozie zależały głównie od naczelnika. On tam był panem, dobierał sobie nadzorców, a ci mogli robić co im się chciało; mogli zgnoić więźniów, bić, zabić...

„Kupcy”, którzy jeździli po obozach i kompletowali sobie załogę do kopalni i innych robót, woleli pracować z politycznymi, bo ci byli uczciwsi i lepiej pracowali od złodziei.

Wydaje mi się, że rozlokowanie kadry NKWD w obozach było przypadkowe, nie kierowano się żadnymi wskazówkami. Jeden człowiek był ludzki, a drugi łobuz, sadysta. Nie wiem, czy kadry obozowe często się zmieniały. Naczelnika rzadko się widziało, tylko się o nim słyszało.

Wolni pracownicy, którzy tam przyjeżdżali z Rosji na 3-letnią umowę, mieli pobory wyższe o 100% niż na „matieriku” i 3 miesiące kurortu na południu kraju. Potem zaliczali mu podwójny staż pracy do emerytury. A na miejscu, na Kołymie miał do dyspozycji więźnia-ordynansa, który wykonywał dla niego cięższe prace.

Wszyscy naczelnicy obozów⁴⁷ byli w NKWD i chodzili w mundurach. Natomiast wolnym, przyjeżdżającym z jakiś kołchozów, nadawano jakieś stopnie, ponieważ były to tereny całe podległe NKWD. W zależności od tego stopnia przyznawano mu pobory. Np. jakiś księgowy zostawał lejtnantem, bo akurat taką pensję mu przyznano. Oni wszyscy chodzili po cywilnemu. Ludzie z administracji, czy byli naczelnicy – „nomenklatura” – nie pracowała w terenie, bo oni na niczym się nie znali. Zostawali jakimiś dyrektorami i mieli wokół siebie ludzi, którzy znali się na danej robocie.

Poznałem w Magadanie jedną Polkę, która tam przyjechała do pracy ze Lwowa. We Lwowie poznała jakiegoś Ormianina – oficera. Acz i wyszła za niego za mąż. Po wojnie on wystąpił z wojska i oboje wyjechali do Armenii. Ale jego rodzice byli bardzo niezadowoleni, że ożenił się z Polką i szykanowali ją. Przyjęła więc propozycję żeby rzucić tę rodzinę i wyjechać. Podpisała umowę na 3 lata i przyjechała do Magadanu. Została księgową, otrzymała stopień kapitana, odpowiednie sorty mundurowe, premie itd.

Wśród więźniów i wśród wolnych panował system wzajemnego śledzenia się i donoszenia. Niepotrzebne były żadne nakazy. Naczelnik obozu pytał więźnia, czy nie chciałby zamienić ciężkiej pracy na pracę donoszenia. Jeśli więzień się zgadzał – podpisywał deklarację i musiał donosić. Gdyby się migał, naczelnik wyrzucał go na zbitą buzię do brygady ogólnej i wybierał sobie następną ofiarę – dopóki nie natrafił na takiego, który rzeczywiście

wszystko mu mówił. Interesowało ich głównie o czym rozmawiają w obrębie grup tej samej narodowości.

Centrum „Dalstroju” mieściło się w Magadanie. Naczelnikiem jego był wówczas Gruzin – GOGLIDZE. potem był sądzony w procesie Berii. Tam się mówiło: „Boh wysoko, Moskwa daleko” – i całkowicie niezależnie rozporządzano całym tym imperium. Słyszałem mnóstwo opowieści o Garaninie, jak to przyjeżdżał do obozów, wybierał z kartoteki 10 więźniów politycznych, stawiał pod płot i rozstrzeliwał. sam zabijał. Gdy legendy o Garaninie rozniosły się już poza granicami, NKWD-ziści puscili wieść, że był to szpieg japoński celowo nasłany by kompromitować ZSRR.

Wracając do moich losów. Wybrali jesienią z naszego obozu grupę ludzi z małymi wyrokami do rozbudowy nowego obozu koło nowo powstającej kopalni. Wydaje mi się, że to było na południe, bliżej Magadanu. Budowaliśmy ten obóz od jesieni do zimy 1948r. ja pomagałem brygadzie „plotników”; trzeba było ścinać i donosić drzewo. W zimie nowo zbudowane baraki strzelały, bo wilgotne. Mieszkaliśmy w starych barakach, które przez rok były puste. Ich mieszkanki – pluskwy przeżyły zimę i od razu nas zaatakowały. Dokupiłem drugie prześcieradło, uszyłem z obu worków do spania. Zawiazałem się w tym worku, ale wygłodniałe pluskiewki i tak wlażyły między szwy.

Oprócz tego latem mieliśmy do czynienia z meszką i komarami. Zdarzało się, że jakiś rozsierdzony konwojent kazał rozebrać więźnia i przywiązać go do drzewa. W ciągu godziny człowiek by

zginął. Meszki tak oblepiały ciało, że nie widać było skóry. Poza tym od ich jadu człowiek okropnie puchł. Widziałem taki przypadek, że zostawiono więźnia na pożarcie, ale inni szybko go odwiązali. Tym nie mniej nie nadawał się już do pracy, bo był cały opuchnięty.

W zimie natomiast istniał inny problem. Słońce świeciło wysoko nad horyzontem i odbijając się od śniegu oślepiało ludzi. Chorowali na zapalenie spojówek. Oczywiście nie dostawaliśmy żadnych okularów przeciwsłonecznych, a tym bardziej lekarstw.

Rozpuszczaliśmy ołówki chemiczne, robiliśmy coś w rodzaju atramentu, moczyliśmy w nim kawałek jakoś skombinowanego bandaża i tym niebieskim bandażem zawiązywało się oczy. Inaczej człowiek oślepl by zupełnie.

Po pracy przy rozbudowie obozu przerzucono mnie bliżej Magadanu – do kopalni węgla. Zbliżał się termin końca mego wyroku – był rok 1949. Pracowałem w zakładzie naprawczym jako elektryk. Trochę się tam odżywiłem, bo pracowałem z wolnymi.

W sierpniu 1949r. załadowano mnie z grupą innych więźniów na ciężarówkę i zawieziono na „pieriesyłkę” do Magadanu. W Magadanie wezwano mnie do jakiegoś urzędnika i wydano zaświadczenie o zwolnieniu z obozu. Był to jedyny dokument jaki dostałem. Kazano mi zgłosić się na milicję, gdzie miano mi wydać paszport radziecki. Ja stwierdziłem, że radziecki paszport nie jest mi potrzebny, ponieważ jestem obywatelem polskim i mam zamiar wrócić do kraju. A oni na to, że do Polski już nie wyjadę, bp Polska

jest teraz taka sama jak Rosja, „czy myślisz, że tam spotkasz coś innego niż tutaj? tam nasi towarzysze rządzą”. Pokłóciłem się z nimi i powiedziałem, że ja paszportu radzieckiego nie wezmę i zażyczyłem sobie paszport bezpaństwowy [nansenowski?].

Oczywiście, mowy o tym nie było. poprosiłem więc, żeby mi dali jakąś pracę, bo przecież z czegoś musiałem żyć. Zadzwonili do ADM-u, powiedzieli, że zgłosi się do nich taki a taki. Dostałem pracę stróża (gospodarza) hotelu robotniczego. Był to jednopiętrowy barak, w którym mieszkali wolni (na umowę) i byli więźniowie, którym skończył się wyrok i zostali w Magadanie – cała gama paragrafów i narodowości!

Poprzedni gospodarz hotelu uzyskał możliwość wyjazdu z Kołymy i ja poszedłem na jego miejsce. Powiedział mi, co należy do moich obowiązków (odgarnięcie śniegu z chodnika, odpowiedzialność za całe mienie budynku – stoły, krzesła itp.). Mieszkał w małej klitce koło schodów, ale ją komuś obiecał, więc musiałem pójść do ogólnej sali, gdzie było ok. 10 łóżek. Tam mieszkiałem przez zimę i uczciwie zmiatałem co dziennie śnieg z chodnika.

Na tej sali mieszkał jeden Polak, ale zruszczony. Jego rodzina mieszkała w Leningradzie jeszcze przed wojną. Matka była Polką, ojciec Rosjaninem, ale on uważał siebie za Polaka. Dali mu 6 lat zsyłki, co jakiś czas wzywali na NK W, pokazywali jakieś papiery, ale właściwie nic konkretnego nie mogli mu zarzucić. Pracował w teatrze jako pomocnik reżysera. Załatwił mi tam pracę robotnika – do budowania dekoracji na scenie. Poszedłem tam w grudniu czy styczniu [1950r.].

W międzyczasie NKWD wydało mi rodzaj dowodu: „wid na żitelstwo na dic biez graždanstva” – zaświadczenie dla osób nie posiadających obywatelstwa. Powiedzieli również, że ponieważ dalej jestem wrogo nastawiony do władzy radzieckiej, bo nie chcę przyjąć ich obywatelstwa, to dają mi bezterminową zsyłkę. [!]

Co dwa tygodnie musiałem się zgłaszać do NKWD i nie wolno mi było wyjechać poza Magadan – w promieniu 4 km. jeśli chciałem zmienić pracę, to również musiałem ich powiadamiać.

Zacząłem pracować w teatrze, ale spałem dalej w ADM-ie, bo tam miałem łóżko.

Pan Stanisław (ten pomocnik reżysera) pochodził z artystycznej rodziny. Matka była chyba baletnicą.

taśma VII A

Miałem prawo dwa razy do roku wysłać list do rodziny, korzystałem oczywiście z tego, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Pisałem na adres rodziców i krewnych do Wilna. Myślałem, że NKWD moich listów nie wypuszcza, albo przechwytuje odpowiedzi. potem okazało się, że rodzina moje listy otrzymywała, natomiast ja od nich - nie. Wysyłali mi raz na kwartał list z pieniędzmi. W innych listach pisali, że wysyłają mi pieniądze, więc widocznie ktoś czytający moje listy podrabiał mój podpis i zatrzymywał i pieniądze i listy.

Wracając do mojej pracy w teatrze: na 1-go stycznia trzeba było przygotować „jołkę” i choinkę dla przedszkolnych dzieci 9w wieku

30-6 lat). Najczęściej była taka zabawa: dzieci krzyczały: „Boh, Boh, daj konfiet....” – i nic się nie działo; a gdy krzyczały „Stalin, Stalin, daj konfiet” – cukierki sypały się z sufitu.

Była również inna zabawa: ustawialiśmy zrobione z dykty postacie Czang-kai-szeka, Trumanna, Churchilla – ucharakteryzowane na wilki – z kłami i otwartą paszczą. Jeśli dziecko wcelowało i wrzuciło do ich pyska piłeczkę pingpongową – dostawało nagrodę. Przedszkolanka opowiadała jeszcze, że ten i ten jest faszystą, a ten bardzo niebezpiecznym człowiekiem. A ja sobie myślałem, że to wyjątkowo niebezpieczny naród, że w wieku 3-6 lat uczy się dzieci nienawiści.

W czasie świąt wywieszało się na rusztowaniach z desek różne hasła propagandowe („Cała władza w rękach Rad”, „Wykonamy plan z nadwyżką” itp.). Podczas jakiejś akademii jedno z haseł odwiązało się i spadło. To wystarczyło, żeby oskarżyć kierownika o sabotaż i aresztować go. A po pewnym czasie mnie i jeszcze kilku wyrzucili z pracy. Jeśli chodzi o mnie, to dodatkowym powodem była moja zsyłka i brak papierów. Po pewnym czasie zaproponowali mi pracę sanitariusza w szpitalu na oddziel psychiatrycznym. Była to bardzo ciężka i niebezpieczna praca. Chorych psychicznie było tam bardzo dużo. I to w takim stadium, że robili pod siebie, mazali siebie i ściany kałem i ciągle to trzeba było czyścić. Pracowałem tam prawie rok. Odżywiałem się dobrze, byłem zawsze syty. Z czasem przyzwyczailem się do szpitala i uważam, że była to jedna z moich lepszych prac. Szpital wariatów był azylem w ZSRR. Można było mówić wszystko i szło to na konto choroby psychicznej. Oczywiście wielu było symulantów.

Od 1949r., od zwolnienia z obozu chodziłem do szkoły wieczorowej w Magadanie, Skończyłem 7-mą, 8-mą i część dziewiątej klasy. Wszystkie przedmioty wykładane były po rosyjsku. Na początku było mi bardzo ciężko, bo co innego mówić, co innego pisać i czytać.

Postanowiłem znowu iść do naczelnika „Dalstroja” i spytać, dlaczego oni mnie bezprawnie trzymają, bo przecież w wyroku nie było mowy o zsyłce. Kazali mi napisać podanie – o co mi chodzi. Czekałem kilka miesięcy i w końcu udało mi się dostać do naczelnika „w ramach skarg i zażaleń”.

Naczelnik był strasznie grubym Gruzinem (gdy siedział na fotelu, to brzuch leżał mu na biurku). Wyjaśniłem mu swoją sytuację: 3 lata obozu pracy, wyrok skończony, więc chcę wracać do Polski, bo jestem jej obywatelem. A on na to: „Jaki ty polski obywatel! Ty jesteś kontrrewolucjonista, wróg ludu...itd.” Zapytałem w końcu jak długo będę tu siedział i że jest to bezprawie. Pokłóciliśmy się, zawołał sierżanta, który stał pod drzwiami i wyrzucili mnie na zbity pysk. Krzyknąłem jeszcze, że będę się starał wyjechać przez ambasadę polską, na co oni: „Myślisz, że ambasada polska na Kołymie ma cos do powiedzenia?! Wszystko zależy od nas.” I rzeczywiście: wysłałem list do ambasady w Moskwie, ale odpowiedzi oczywiście nie otrzymałem.

Kiedys wyjeżdżał z Magadanu jakiś człowiek i dałem mu list, by wrzucił go jak najbliżej Moskwy. Po paru miesiącach przyszedł do mnie pocztą gruby pakiet zawierający 12 ankiet. Do każdej ankiety

musiałem zrobić zdjęcie. Były tam np. takie pytania: imię babki/dziadka ze strony matki/ojca, a ja znałem tylko jedną babcię!. Tam więc, gdzie nie wiedziałem co pisać, pisałem – „nie wiem, nie pamiętam”. Z ankietami miałem wysłać dokument potwierdzający moją tożsamość poświadczony przez NKWD. Nikt jednak nie chciał go tam poświadczyć. Wysłałem więc oryginał mego okresowego dowodu i... zostałem bez żadnych dokumentów. Ale jakoś mi się upiekło i nie wsadzili mnie do pierdła, tylko dali specjalną kartkę, na której stawiali pieczętki.

Dochodził grudzień 1953r. Po śmierci Stalina nie odczułem znaczących zmian, Zacząłem pracować w bazie autobusowo-dźwigowej, w której naprawiało się dźwigi i autobusy. Urządziłem się jako elektryk samochodowy i pobierałem nawet duże pobory – dwa razy większe niż w szpitalu.

Zapoznałem się z tamtejszymi Polakami, jeden z nich, Franciszek Maksymiuk pracował w ADM-ie jako księgowy i załatwił mi miejsce w hotelu nad zatoką. ten hotel był jednak gorszy od poprzedniego, ponieważ mieszkali tam w większej części złodzieje. Pili. grali w karty, bili się, sprowadzali baby. Zabierali wszystko, co było na wierzchu, a spało tam ok. 50 osób.

W międzyczasie pisałem wiersze, m.in. dla Polaków- „ku pokrzepieniu serc”, nawet o Bogu, mimo, że sam byłem niewierzący. Te wiersze rozchodziły się wśród Polaków. Nie były podpisane, ale NKWD podejrzewało, że to ja piszę. Zauważyłem, że gospodarz hotelu się tym interesował. Jeden z leżących obok mnie Ukraińców ostrzegł mnie, że gospodarz jest na usługach

NKWD, donosi, grzebie w moich rzeczach itd. Zrobiłem więc drugie dno w mojej walizce i tam wkładałem zeszyt.

Napisałem (specjalnie) wiersz w formie listu do Stalina: „Jemu to Polacy wolność zawdzięczają, on swój kraj ojczysty wydzwignął z rozwalin, i wszystkie narody imię jego sławią”. Zostawiłem ten tekst w szafce, żeby łatwiej było znaleźć. Ale ono nie dali się nabrać. Zrobili dokładną rewizję kiedy byłem w pracy i znaleźli mój zeszyt z różnymi wierszami. Zrobili ekspertyzę grafologiczną i wiedzieli, że to ja.

Początkowo nic nie wiedziałem, bo byłem w pracy podczas tej rewizji. Pewnego dnia (grudzień 1953r.) przyszło dwóch milicjantów do mojej pracy i zabrali mnie do więzienia. Nie wiem co się stało z moimi rzeczami. Wszystko gdzieś zginęło. A miałem tam przecież palto, parę ciepłych ubrań itd. Pewno dostał to „dniewalny”, który donosił.

Oskarżyli mnie o rozpuszczanie fałszywych wiadomości o ZSRR w moich wierszach, rozsyłanie je po obozach, propagandę antysowiecką, działanie na szkodę ZSRR i PRL (przy okazji). Na śledztwie próbowali mnie zmusić do powiedzenia, komu personalnie dawałem te wiersze do czytania.

Zostałem skazany z par. 58 p. 10, cz. I – „Agitacja i propaganda antyradziecka – indywidualna”. Nic im jednak nie wyszło ze stworzenia „grupy kontrrewolucyjnej” (p. 58, 1 cz.II). Upierałem się, że nie rozpowszechniałem moich wierszy i pisałem je tylko dla siebie. W oskarżeniu napisali: „, Po zwolnieniu z obozu, będąc wrogo nastawiony do władzy radzieckiej, pisał wiersze, w których szkalował ustrój, armię, komunistów itd.”

W czasie śledztwa kilka razy dostałem po głowie, kilka kopniaków, ale nie było „normalnego” bicia.

Ale tam w więzieniu spotkałem się z takimi więźniami, którzy byli oskarżenia o cięższe przestępstwa: szpiegostwo, sabotaż, dywersję itp. Aby zmusić ich do mówienia NKWD-ziści ich torturowali: przewracali człowieka, kładli deskę na nogach i brzuchu i uderzali w nią młotkiem. To powodowało ciężkie obrażenia wewnętrzne, m.in. krwotoki. A na zewnątrz nic nie było widać, nawet sińców.

Oni swoich NKWD-zistów też wsadzali do więzienia, zwłaszcza po aresztowaniu Jeżowa. Trzymali ich w odseparowanym specjalnym obozie. Na Kołymie byli również oficerowie z armii Żukowa, których oskarżano o zamach na życie Stalina. Spotykało się ich czasem na punkcie sanitarnym; tam oni przyznawali się do swoich stopni, ale pracowali jako „normalni” więźniowie.

Ja początkowo w więzieniu siedziałem sam, ale po zakończeniu śledztwa przenieśli mnie do celi ogólnej – z 4-5 osobami.

W czasie dochodzenia sędzia śledczy powiedział mi raz: „I co? Mówiliśmy ci, że stąd nie wyjedziesz! To od władz polskich zależy, czy stąd wyjedziesz. Masz – oto twój paszport” – pokazał mi mój paszport konsularny – „I wiesz, co my z nim zrobimy?” – i wyrzucił go do kosza. Potem jednak odesłali go do Moskwy z uwagą, że odmówiłem przyjęcia go.

Sądziła mnie stała komisja wyjazdowa z Chabarowskiego Sądu Krajowego. Było to chyba w połowie stycznia 1954r.

Do celi przyszedł jeden człowiek i przedstawił się jako mój obrońca wyznaczony z urzędu. Poprosiłem go o udostępnienie mi akt mojej sprawy, ale on powiedział, że podpisywałem, a więc widziałem protokoły, a reszta mnie nie powinna dotyczyć, bo będzie na procesie. Odpowiedziałem więc, że ja takiego obrońcy nie chcę i zrzekam się go. Na moim procesie nie było ani obrońcy ani oskarżyciela, tylko przewodniczący Sądu Krajowego, dwóch ławników i protokolantka. Pokazali mi mój zeszyt z wierszami, spytali, czy należy on do mnie. Powiedziałem, że tak. I to co było w akcie oskarżenia przepisali jako wyrok.

taśma VII B

Dostałem 10 lat obozu pracy przymusowej. Jako wrogo nastawionego do ZW. Radz. dali górną granicę wyroku. Sędzia zwrócił mi też uwagę, że o moim wrogim stosunku świadczył też odrzucenie paszportu z obywatelstwem radzieckim. Po sprawie zabrali mnie do więzienia, a po paru tygodniach do przesyłki magadańskiej – „na czwartym kilometrze” od Magadanu. Obóz leżał przy trasie biegnącej w stronę Indygirki. Ponieważ byłem dość dobrze odżywiony, w czasie pierwszej wizyty „kupca” [urzędnika z jakiegoś obozu, który aktualnie potrzebował siły roboczej – p. MG] wybrano mnie na „etap”. Znowu powieźli mnie gdzieś pod Ust Nerę. Był to luty – o mało nie zmarzliśmy w drodze; było –40 st.C, silnik stanął. Na szczęście nadjechała inna ciężarówka i wzięła nas na hol. Gdyby wtedy rozpętała się śnieżycy, to żywi byśmy chyba z tego nie wyszli.

Naszym zadaniem w nowym obozie było przeprowadzenie drogi do powstającej kopalni złota. Wycinaliśmy więc las, robiliśmy przesiekę, ubijaliśmy śnieg tak, aby ciężarówki ze sprzętem i więźniami mogły przejechać. Musieliśmy też zbudować most nad rzeczką o szerokości 5-6m.

(Tam rzeki zamarzają do samego dna, a ryby są tak przystosowane, że przeczekują zimę w lodzie. [? – sprawdzić] Jak kopaliśmy w lodzie otwór na bale- podpory do mostu – to widzieliśmy i wydobywaliśmy ryby.)

W tym czasie myślałem, że to będzie już koniec. W obozie nie było żadnych baraków. Spaliśmy w wojskowych namiotach, a mrozy wtedy dochodziły do -50 st.C. W namiocie stały beczki [jako piecyki do ogrzewania-MG] z wyprowadzonymi na zewnątrz rurami i to wszystko. Spaliśmy na narach z suchych desek, bez żadnych sienników i koców – tylko ubranie! Mówili ciągle, że nam coś dowiozą jak zrobimy tę drogę, tzn. „róbcie szybciej, to wam będzie lepiej”.

Przy moście, który budowaliśmy, ciągnęła się dolina przez którą wiały straszne wiatry – dzień i noc; człowieka przenikał ten wiatr na wylot. W nocy ten wiatr przenikał do namiotu, więc choć od pieca trochę grzało, to czapka przymarzała do nary. Ludzie wszyscy, w tym i ja, chorowali na pęcherz moczowy i siusiali w spodnie, które cały czas były mokre. Latało się z 10 razy na siusiu, ale i tak nie udawało się utrzymać. Smród był w tym namiocie nie do

wytrzymania! I oczywiście w ogóle nic nam przez całą zimę nie dowieźli.

Nie było oczywiście łaźni, nie było osobnej kuchni, ale od razu wybudowali więzienie! – taki „bur” [karcer].

W tym obozie byli przeważnie polityczni – art. 58. Do obozów przejściowych – prowizorycznych, takich jak ten, to złodziei przeważnie nie brali – bo ci i tak by nic nie robili. Zresztą złodzieje dobrze byli zorientowani, dokąd idzie dany transport i melinowali się.

Narodowości były różne – Rosjanie, Ukraińcy i tylko ja jeden Polak. Był tam taki Ukrainiec – z UPA, który nie cierpiał Polaków i od razu wrogo się do mnie odnosił; mówił, że „Polaków nada rieżat”. Ja miałem dużą nogę i trudno było dobrać dla mnie odpowiednie „burki” (buty - waciaki podszyte oponą). I ten Ukrainiec – tak podejrzewam – spalił mi te burki w piecu; jak wstałem, to butów nie było i nie mogłem iść do roboty. Jak przyszedł do namiotu kierownik podobozu sprawdzić, czy wszyscy wyszli do pracy (sadysta, który chodził z psem i laga, który tłukł więźniów jak popadło), to pies na rozkaz rzucił się na mnie, nic mi nie zrobił przez ubranie, ale kierownik stłukł mnie tą pałą porządnie. Tłumaczyłem, że ktoś mi spalił w nocy burki, a ten – że to ja sam spaliłem, żeby do roboty nie iść. Zdażyłem tylko owinać nogi onucami i wrzucili mnie do tego „buru”. Siedziałem tam chyba ze trzy doby. Dawali mi na dobę 300g chleba i kubek ciepłej wody.

Po pobycie w tym burze oczywiście nie dali mi nowych butów, ale ja nie mogłem w ogóle chodzić; byłem takim „dochodiagą”, że dali mi spokój. Leżałem na narach i pomagałem trochę „dniewalnemu”. Nogi owijałem w kilka szmat i tak chodziłem. Tak żyłem przez kilka tygodni – do wywiezienia z tego obozu.

Żołnierze, którzy nas pilnowali też mieszkali w namiocie, tylko mieli lepsze warunki.

Jedzenie też było marne. Wzięli jednego z nas na kucharza, dawali beczkę kapusty, trochę kaszy owsianej, najpierw chleb, potem suchary i ryby – z 5cm długości! Te rybki nazywały się „komsa”. te drobne rybeczki wkładali do beczek, zasypywali solą i po kilka rybek dawali więźniom. Oczywiście normy jedzenia były – ja kiedyś pamiętałem je; przewidywano w nich ok. 0,5 kg warzyw dziennie, 120g suchej kaszy, ze 4 dkg mięsa lub ryby, 2 dkg tłuszczu, ale to wszystko było na papierze! To jedzenie – jeśli było wydzielane z centrali, to po drodze było rozkradane – część przez administrację obozową, część złodzieje...

Byliśmy w tym obozie całą zimę – do maja, bo tylko w zimie można było budować tę drogę, bo w lecie powstawały takie rozlewiska i bagna, że nie można było dojechać.

Na wiosnę wywieźli żywych do obozu dla „dochodiagów”, bo wszyscy byli wykończeni i chorzy. Połowa z tego obozu zmarła... Było tam ok. 200 osób, a do „dochodiłówki” dowieźli ok. 60 – 80 ludzi...

Tam znów nas trochę podkarmili. Spotykało się tam ludzi z różnych obozów z całego rejonu. Ja poznałem tam jednego Niemca z Powołża – oficera. Wyjechał z rodziną do Niemiec w 1920r. Skończył tam szkołę wojskową i służył w armii hitlerowskiej. Znał dobrze rosyjski, więc można było się porozumieć. Był to bardzo ciekawy człowiek. Znał dobrze strukturę armii niemieckiej – a nas to interesowało. W czasie wojny był w Grecji, na Wale Atlantycznym i na froncie wschodnim. Mówił, że Polacy są dobrymi żołnierzami, ale naród – to głupi, bo „Niemcy to dzwony przelewali na armaty, a Polacy z armat robili dzwony, dlatego dostawaliśmy w tyłek”. Był tam też jeden komunista polski sadzony jeszcze w 1939r. – Władysław. To był mój nauczyciel: opowiadał jak powinien wyglądać socjalizm i dlaczego tak jest jak jest. Wg niego Lenin napisał specjalny testament, w którym zakazał dopuszczaniu Stalina do władzy. Podobno Lenin nazywał Stalina „rzeźnikiem”. Ten Polak pełnił jakieś funkcje na wysokich stanowiskach w Moskwie, ale mówił, że potem wszystkich Polaków- komunistów wymordowali, tylko niektórych wysłali do obozów. Od niego dużo się dowiedziałem o tajnikach tych bolszewickich sztuczek. Został nadal komunistą, bo wszystko zależy od ludzi, którzy tym kierują, ale komunizm [jako idea] ma jedno oblicze i ludzie są jeszcze na niskim etapie rozwoju, żeby to zrealizować. Spotkałem tam też człowieka, który pracował w kopalniach uranu. Nic nie mówiono więźniom przy czym pracują, tylko co pół roku wymieniano brygady. Dziwiono się dlaczego, ale zauważyli, że

niektórzy po paru miesiącach zaczęli tracić włosy, zapadali na anemię (białaczkę), bardzo źle się czuli. To oczywiście było skazywanie ludzi na śmierć, ale umierali ludzie też przy budowie drogi i przy jakiegokolwiek pracy w takich warunkach i przy takim mrozie. Te obozy nie były nastawione na eksterminację, jak niemieckie, ale do wykorzystania ludzi jako siły roboczej za darmo. Teoretycznie, gdyby więzień otrzymywał tę porcję żywności i ubranie, które mu się należało, to można było liczyć na przetrwanie. Ale oprócz tych warunków klimatycznych, więzień był poddawany stałym szykanom ze strony NKWD-stów, ze strony złodziei, zmuszany do pracy ponad siły, pozbawiony jakiegokolwiek pomocy medycznej – lekarstw itp. Ludzie chcąc przetrwać popełniali samouszkodzenia ciała. Sam widziałem ludzi bez rąk, owrzodzonych itp. Opowiadali jak to się robi: zdrapywali nalot z zębów, smarowali tym nitkę i przeszywali ją przez rękę lub nogę i w ten sposób zakażali się – rozwijała się gangrena. Niektórzy wcierali sobie jakieś chemikalia w oczy i ślepli, zjadali jakieś zioła powodujące zapalenie płuc itp. Nazywało się to „mastyрка”. Lekarze o tym wiedzieli, ale w takim stanie i tak nie można było człowieka wysłać do roboty. Ale jeśli władze wiedziały, że ktoś np. sam sobie odrąbał rękę, to dostawał dodatkowo 10 lat obozu – za „szkodnictwo społeczne”. A niektórych, z jedną ręką, zmuszali do wożenia taczek, do których przyczepiano brezentową „szlufkę”, w która wsadzał kikut i ciągnął te taczki. „Mastyрки” popełniali i złodzieje i polityczni. Krążyło takie powiedzenie: „Dzień kantu – miesiąc życia”.

Człowiek im jest w trudniejszej sytuacji, tym bardziej chce ją przeżyć. Nawet był bardziej zadowolony, że przeżył jeszcze jeden dzień, w którym jego kolega zmarł. Nie znam przypadku, że ktoś popełnił samobójstwo.

Słyszałem o „zacziotach”, ale ponieważ mnie ciągle przerzucali z obozu do obozu, więc nie otrzymywałem żadnych pieniędzy.

Po kilku miesiącach pobytu w tym obozie i odżywieniu się, znowu mnie zabrali na etap. Najpierw były to prace porządkowe na drogach – w lecie. Tam się trochę odżywiłmy owocami, które rosły w tajdze, np. czarne porzeczki i tzw. „morożka” – jagoda podobna trochę do maliny, tylko żółta. Jedliśmy też nasionka „ślannika” – cedru syberyjskiego, który w lecie podnosił się (w zimie opadały gałęzie i ścieliły się pod śniegiem) i obrastał zbocza pagórków. Z tych nasionek wyciskano olej – bardzo bogaty w witaminy. Miejscowe zwierzęta też robiły zapasy z tych nasionek – wiewiórki i „burunduki” – malutka, ziemna wiewiórka. Miejscowi Jakuci opowiadali, że jeśli ktoś temu burundukowi zabrał zapas tych nasionek (a zbierał ze 2-3 kilo), to on popełniał samobójstwo.

Blżej Magadanu widziałem wiewiórki- „lietiagi”, które mają przeponą połączone tylne łapy z przednimi, dzięki czemu po rozbiegu i skoku szybuje w powietrzu jak szybowiec, ponad 50 metrów.

Więźniowie czasem te burunduki z głodu zabijali, bo one starały się odciągnąć człowieka od swojej norki z zapasami, biegł wolno, stawał słupka i łatwo go było wtedy złapać.

Ściągali ze zwierzątka skórę i na patyku piekli go nad ogniskiem, chociaż mięsa tam było bardzo mało.

Potem nas wysłali na sianokosy bliżej Magadanu. Była tam ferma krowia i konie i trzeba było dla nich kosić trawę. To była praca dla tych słabszych. Ale ja tam zachorowałem na zapalenie płuc. Odwieźli mnie do „sanczasti” i lekarz powiedział, że konieczna jest hospitalizacja. Wrzucili mnie do jakiejś ciężarówki i zawieźli do szpitala „Na lewyj bierieg” – na lewym brzegu Kołymy. tam był duży szpital dobrze wyposażony jak na warunki kołymskie.

Tam spotkałem lekarkę Polkę, która była dentystką i ona mi podleczyła zęby – i do dnia dzisiejszego te jej srebrne plomby siedzą! Oprócz tego wśród chorych spotkałem kilkoro Polaków; był tam oddział męski i żeński. Nazwisk nie pamiętam. Zwozili tam chorych z całej Kołymy.

Po zapaleniu płuc wywiązały się u mnie komplikacje, miałem wodę w boku, poza tym kłopoty z jelitami, z żołądkiem i z pęcherzem – do dnia dzisiejszego mi to zostało. Cały czas miałem wysoką temperaturę – do 40st. Pewnego razu przyszedł do mnie jakiś oficer NKWD razem z lekarzem i pyta czy jestem Czyński i czy jesteś Polakiem. Powiedział, że „wszystkich Polaków odprawiamy do Polski, ale ty chyba nie będziesz mógł pojechać, bo jesteś chory”. Zacząłem więc prosić lekarza, aby ten wydał zaświadczenie, że ja się nadaję do transportu. Lekarz odparł, że nie może brać za mnie odpowiedzialności, bo jestem naprawdę poważnie chory, ale w końcu zgodził się wypisać mnie na moje własne żądanie. W czasie

wizyty tego oficera w szpitalu ostrzegał mnie on, żebym po przyjeździe do Polski za dużo nie gadał, „bo ręka Moskwy daleko sięga”. Słyszałem potem, że niektórzy Polacy musieli coś podpisywać na temat „tajemnicy” o obozach, ale ja nic nie podpisywałem.

Był to wrzesień 1955 r.

Przyjechała ciężarówka i zabrała do Magadanu Polaków, ale tylko tych, którzy urodzili się na terytorium powojennej Polski – PRL-u.

Ja się urodziłem w Zamościu, a poza tym byłem po raz drugi sądzony jako obywatel polski, więc ze mną nie było problemów. Chociaż już w Polsce spotkałem panią, która była w Magadanie i miała obywatelstwo radzieckie, ale mimo to puścili ją do Polski.

W Magadanie umieścili nas znowu w obozie przejściowym („pieriesylce”). Tam było sporo Polaków, ale też inne narodowości. W pierwszej kolejności zaczęli wywozić Austriaków, bo w 1955r. Austria podpisała jakąś umowę z ZSRR i na jej podstawie zwalniano z obozów obywateli austriackich. Myśmy ich prosili, żeby o nas opowiedzieli w Europie, bo nie bardzo wierzyliśmy, że nas puszczą do Polski.

Ale po paru tygodniach zebrali chyba ze 20-tu Polaków, wsadzili do samolotu transportowego i odprawili do Chabarowska. Tam wsadzili do pociągu (kolei transsyberyjskiej) - do normalnego wagonu i wysadzili w Poćmie. Tam był obóz tranzytowy, do którego wsadzali Polaków z całego Zw.Radz. Po paru dniach też

pociągiem zawieźli do granicy polskiej do Brześcia n/Bugiem i tam przekazali władzom polskim. To był już październik 1955r.....

Myśmy myśleli, że władze polskie nas pożałują, nakarmią, przyhołubią, a ci UB-owcy z bagnetami zapędzili nas do wagonów więziennych! Pokrzykiwali: „nie rozmawiać, siedzieć cicho!” – w ogóle wprowadzili taki terror, że myśmy nie wiedzieli, co się dzieje i dokąd nas wiozą. Zawieźli nas do obozu pracy przymusowej w Mielęcinie k/ Włocławka. Było tam nas ok. 200 osób (chyba).

Okazało się, że oni prowadzili nowe dochodzenie – śledztwo, z prokuratorem itd. Bolszewicy przekazali nas według listy, a nie dali żadnych papierów – akt sprawy, nic – tylko imię i nazwisko nie mówiąc kim my jesteśmy i skąd. A ci nasi chcieli się dowiedzieć za co kto siedział no i oczywiście każdy mógł zmyślać co chciał, bo oni nie byli w stanie sprawdzić tego. Każdemu założono kartę zdrowia, potem prokurator z urzędnikami pytali o dane osobowe, za co kto siedział, gdzie siedział itd. Zachowywali się dość grzecznie, ale jak ktoś się stawiał, to dostawał „op...”

Po miesiącu ubrali nas w cywilne ubrania (cały czas byliśmy w tych kufajkach i obozowych ciuchach) - w jakieś niemodne garnitury i wypuścili. Ja zostałem parę dni dłużej, bo nie mogli znaleźć dla butów i dopiero w mieście w sklepie kupili.

Kto miał rodzinę w Polsce, to otrzymywał kartę repatriacyjną i skierowanie do danego miejsca, bilet kolejowy i 1000 zł. Kto nie miał rodziny – musiał jechać do punktu repatriacyjnego w Grabianowie k/ Białej Podlaskiej.

Ja mam kartę z pieczętą z tego Grabianowa, ponieważ ja tu nie miałem nikogo; rodzice zostali na wschodzie. Tam obiecali załatwić pracę. Chcieli mnie koniecznie skierować na Śląsk do kopalni, ale odmówiłem. Prosiłem o skierowanie bliżej Warszawy, żebym mógł pracować i uczyć się jednocześnie. I wreszcie (w listopadzie) skierowali mnie na budowę w Piasecznie k/ Warszawy – jako elektryka, bo powiedziałem, że to umiem robić.

W Piasecznie zakwaterowali mnie w takim obskurnym baraku, w którym mieszkali robotnicy z tej budowy (tam teraz są zakłady lamp oscyloskopowych). W jednej sali stało 7 czy 8 łóżek, było brudno i zimno. I moje życie tam niewiele się różniło od tego, które miałem w obozach!

taśma VIII B

Pracowałem na trzy zmiany. Chciałem się uczyć i zdać do 10-ej klasy liceum. Trudno było, bo musiałem się przestawic z rosyjskiego na polski, a poza tym współmieszkańcy przeszkadzali całą noc (w obozie od 22-ej była cisza!).

Jedzenie trzeba było samemu kupić. Zarabiałem 1000 zł miesięcznie, ale była stołówka; zupa kosztowała 3-4 zł.

Ukończyłem kurs dla elektrotechników i przyjęli mnie do pracy [w Piasecznie] w fabryce lamp. Dali też służbową kawalerkę.

Rodziców zawiadomiłem o moim powrocie do Polski, ale nie widziałem ich już nigdy... Ja miałem uraz do przekraczania granicy polsko-rosyjskiej. Ojciec mój też siedział 5 lat w obozie – ale na

teren Litwy. Zapraszałem rodziców do siebie, ale byli już za starzy. Po śmierci ojca – zapraszałem matkę, ale ktoś jej naopowiadał, że w Polsce są „psie szpitale”, w których wykańcza się starych ludzi! Nawet moja żona nie przekonała matki do przyjazdu.

do partii [PZPR]. Wątkowali mnie strasznie, ale przyjęli, bo chodziło im o wskaźniki „upartyjnienia”. Jeździłem do Warszawy na wiece, spotkania Związku Literatów Polskich itp.

jak wiadomo nic z tego nie wynikło, zamknęli „Po prostu” i znowu chwycili nas za buzię.

Sitwa nomenklaturowa w fabryce nie uważała mnie za swojego, nie zapraszali na zebrania partyjne itd.

Dyrektor Gała [?] sprowadził dwóch specjalnych stolarzy, którzy produkowali meble dla tej „sitwy”, a nie dla potrzeb Zakładu.

Inżynier z blachy zakładowej zrobił sobie dwa motocykle itp. Tam, gdzie mogłem to protestowałem, ale w końcu wyrzucili mnie z pracy – w 1962r. Przyszło dwóch strażników, wzięli mnie pod pachy – za bramę! Dostałem kartkę, że zwalniają mnie z pracy bez prawa wstępu na teren fabryki. Odesłałem wtedy Gomułce legitymację partyjną...

Potem pracowałem w Zjednoczeniu Przemysłu Kablowego na Senatorskiej w Warszawie. Komisja lokalowa kazała mi opuścić lokal, który dotychczas zajmowałem – nie miałem, gdzie mieszkać.
[opuszczony fragment nagrania przez MG]

Ożeniłem się w 1963 r. Żona miała małą klitkę bez kuchni, bez wygod. Rada Miejska nie zgodziła się na zameldowanie mnie w jej

mieszkaniu. [...] Trzy-cztery lata mieszkaliśmy oddzielnie, mimo, że w międzyczasie urodziło się nam dziecko.

taśma IX

[...] Cały czas studiowałem na studiach wieczorowych w Wyższej Szkole Inżynierskiej, ale nie dałem rady i po roku zrezygnowałem. Potem studiowałem na SGPiS-ie (ekonomika produkcji na wydziale Ekonomii Przemysłu) i studia skończyłem w 1966r.

[...] Chciałem wyjechać zagranicę. Napisałem listy do kilku ambasad z prośbą o pomoc – że nie mam mieszkania itp.

Zostałem oskarżony z art. 29 „Małego Kodeksu Karnego” („Kto łży i wyszydza ustrój państwa polskiego podlega karze więzienia do lat 10”). Nie aresztowali mnie, ale zrobili rewizję w domu i ciągnęli do Pałacu Mostowskich na przesłuchania. Okazało się, że przechwycili moje listy, które wysyłałem do ambasad pocztą. [...]

Proces miałem dopiero w 1968r. w zimie. Mój adwokat bronił mnie mówiąc, że treść listów nie podchodzi pod par. 29, bo piszę o ludziach, a nie o państwie polskim.

Wysłali mnie na 2 miesiące do Tworek na badania psychiatryczne. Tam nie uważali mnie za wariata, ale musieli trzymać. Pisałem tam pracę magisterską (żona przywoziła mi materiały).

[fragment nie spisany – sprawy osobiste; bez zgody autora, który już nie żyje – nie mogę p tym pisać-MG].

Magisterium zrobiłem i skończyłem studia...

[...] Ja zarabiałem na życie, ale stale chorowałem, więc żona nie pracowała, bo musiała opiekować się mną i dziećmi (dwojgiem).

Dzieci nie znają moich losów na Kolymie
 Przynależność do AK wcale mnie nie
 wyróżnia w ich oczach [...]

 Ja jestem dalej socjalistą [....]

Lech Czerwikowski zmarł w 1994r.

[sprawdził datę]

Nie czytał i nie autoryzował wż c
 spisanege nagrania swoich wspomnień...

M. Górzewski.

Warszawa, dnia 15 listopada 1988 roku.

Lech Czyński
ul. Racławicka 28 m.56
02-601 WARSZAWA

W. Pani
Małgorzata Giżejewska
w miejscu

Szanowna Pani!

tel. 42-21-35

W celu udokumentowania faktów podanych przeze mnie w wywiadzie na temat mojego pobytu w Pierwszej Wileńskiej Brygadzie AK, internowania w Kałudze, przetrzymywania w kołymskich obozach pracy przymusowej oraz szykan na jakie zostałem narażany po przekazaniu mnie władzom PRL przez władze ZSRR w charakterze więźnia politycznego, przekazuję Pani w załączeniu następujące kopie dokumentów:

1. kserokopia oświadczenia b. dowódcy I Wileńskiej Brygady AK dra Romana Koraba-Żebryka z dn. 15.10.1988 r./na 1 str. maszynopisu/,
2. wiersz z 1944 r. p. t. "Na placówce" /na 1 str. maszynopisu/,
3. wiersz z 1946 r. p. t. "Wiosna polska" /na 1 str. maszynopisu/,
4. odpis aktu oskarżenia, w jęz. rosyjskim, z dn. 7.01.1954 r./na 3 str. maszynop./
5. odpis wyroku, w jęz. rosyjskim, z dn. 21.01.1954 r./na 1 str. maszynopisu/,
6. kserokopia karty repatriacyjnej nr 1212 z dn. 21.10.1955 r./na 1 str. masz./,
7. kopia listu otwartego z dn. 7.11.1963 r. do b. I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki/na 2 str. maszynopisu/,
8. kserokopia pisma MSZ PRL znak: GM-08/185/47/7 z dn. 12.09.1967 r./na 1 str./
9. kopia listu z dn. 20.12.1970 r. do b. I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka /na 5 str. maszynopisu/,
10. kserokopia pisma prokuratury ZSRR, w jęz. rosyjskim, znak: 13/40-80 z dn. 30.07.1980 r./na 1 str. maszynopisu/,
11. wiersz z 1981 r. p. t. "Znaszli ten kraj?" /na 1 str. maszynopisu/,
12. kopia listu z dn. 1.05.1986 r. do I sekretarza KC PZPR gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego /na 16 str. maszynopisu/,
13. kopia listu z dn. 28.07.1986 r. do I sekretarza KC PZPR gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego/na 2 str. maszynopisu/,
14. Spis osiedli usytuowanych przy drodze z Magadanu na Indygirkę oraz do Jakucka/na 1 str. maszynopisu/.

Byłbym wielce zobowiązany za pomoc w opublikowaniu w prasie, ukazującej się poza zasięgiem cenzury, treści mojego listu z dn. 1.05.1986 r. do gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego/pozycja 12 powyższego spisu/, ponieważ sprawy w nim poruszane są bardzo istotne dla narodu polskiego, a nie ma żadnych szans na to, ażeby został on opublikowany w prasie rządowej.--

załączniki: 14

- zgodnie z wykazem

Z poważaniem -

Lech Czyński

Dr Roman Korab-Sobryk

Warszawa

dnia 15 paźdź. 1978 r.

(miejscowość)

WARSZAWA 22

(Nazwisko, imię, pseudonim i adres
składającego oświadczenie)

OŚWIADCZENIE ŚWIADKA

Ja, jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową od — do): SZP-ZWZ-AK w Wilnie od grudnia 1939 do lipca 1944 r.
dowódca oddziału partyzanckiego 1 Wileńska Brygada AK

świadomy(a) odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość po-
danych niżej przeze mnie faktów, legitymujący(a) się dowodem osobistym seria i numer SJ
5212189 wydanym dnia 5 lutego 1976 r. przez KD MO w-wa Śródm.

o ś w i a d c z a m:

że Ob. Lech Czyński syn (córka) Władysława
urodz. dnia 4 lutego 1927 roku w Zamościu

jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową oraz okoliczności, w których świadek zetknął się z otrzymującym(cą) oświadczenie i czasokres od — do): uczestnik Armii Krajowej w szeregach 1 Wileńskiej Brygady AK pod moim dowództwem od 17 kwietnia do 17 lipca 1944 r.

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim "Koziołek" i pełnił(a) funkcję — brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalność w okresie bezpośredniego udziału w walkach wolnościowych, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod czym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wszelkie zmiany i czasokres od — do): Lech Czyński był zaprzysiężony w siatce terenowej AK na początku marca 1944 r. i przed dołączeniem do Brygady rozpoznał placówkę niemiecką w m. Ławaryszki /powiat wileński/, co umożliwiło zlikwidowanie tej placówki przez 1 Brygadę, w czym Lech Czyński brał czynny udział. Po tej akcji pozostał w oddziale, brał udział w dalszych walkach w tym w operacji wileńskiej AK 6-15 lipca 1944 r. był dzielny i wzorowy partyzantem.

Jeżeli świadek jest członkiem ZBoWiD, powinien wpisać numer legitymacji członkowskiej 16456 wydanej przez Zarząd Okręgu w Warszawie Nr ewid. W-14849

Łaśw. kombat. Nr 369509

Własnoręczność podpisu stwierdza się:

Prawdziwość powyższych danych
stwierdzam własnoręcznym podpisem

(pieczęć i podpis odpowiednich władz
lub Zarządu ZBoWiD)

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy,
funkcja, stanowisko)

Dr Roman Korab-Sobryk
b. dowódca 1 Wileńskiej Brygady AK

Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Warszawie zaświadcza na podstawie
sędanych akt nr W-14849, że kolega Roman Korab-Żebryk, syn
Bolesława, ur. 20.01.1915, zamieszkały Warszawa, ul. Majeski
15 m.42, jest zweryfikowanym członkiem ZBoWiD z tytułu: udział
wojnie obronnej wrzesień 1939 r. oraz od 05.1941 r. do 07.1941
ZAG-AK - 1 Wileńska Brygada AK - dowódca kompanii - zastępca
wódcy Brygady, następnie Dowódca Brygady i otrzymał zaświadc
nie nr 396509 z dnia 22.05.1975 r.



MEROWIN BURZA
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD

[Signature]
Marek Spiryński

"УТВЕРЖДАЮ"
И.О. НАЧАЛЬНИКА УПРАВЛЕНИЯ МВД
МАГАДАНСКОЙ ОБЛАСТИ
МАЙОР

/АСТАХОВ/

"7" января 1954 года

ОБВИНИТЕЛЬНОЕ ЗАКЛЮЧЕНИЕ

По следственному делу № 830 по обвинению
ЧИНСКОГО Леха Владиславовича в преступлении,
предусмотренном ст. 58-10 ч. I УК РСФСР.

9 декабря 1953 года Управлением МВД по Магаданской обл. за антисоветскую деятельность арестован ЧИНСКИЙ Лех Владиславович.

Произведенным по делу расследованием установлено:

ЧИНСКИЙ, проживая после освобождения из заключения в гор. Магадане, Магаданской области и являясь враждебно настроенным к советской власти, в течении 1950-1952 годов занимался изготовлением антисоветских рукописей.

Так, за этот период времени ЧИНСКИМ был изготовлен ряд антисоветских стихотворений, в которых он возводил клевету на советскую действительность, на руководителей коммунистической партии и советского правительства, призывал к свержению существующего в СССР политического строя и режима народной демократии в Польше, а также допускал злобные враждебные выпады в отношении коммунистов.

/ л.д. 18-21, 26-28, 29-30 /

Кроме того, летом 1952 года ЧИНСКИЙ написал антисоветскую статью "Советское государство, его управленческий аппарат и законы", в которой клеветал на политику коммунистической партии и советского правительства, на советский государственный аппарат и вооруженные силы.

/ л.д. 18-21, 26-28, 29-30 /

Антисоветские стихи и статью "Советское государство, его управленческий аппарат и законы" ЧИНСКИЙ хранил до 1953 года.

/ л.д. 19, 29-30, 48, 47 /

Будучи допрошенным в качестве обвиняемого, ЧИНСКИЙ в изготовлении и хранении антисоветских рукописей виновным себя признал/л.д.35-37/. Кроме того в этом изобличается актом графической экспертизы/л.д.67-71/ и вещественными доказательствами приобщенными к делу в особом пакете.

На основании изложенного обвиняется:

ЧИНСКИЙ Лех Владиславович, 1927 года рождения, уроженец гор.Замостье Люблинского воеводства/Польша/, поляк, лицо без гражданства, из рабочих, беспартийный, образование 9 классов, судимый в 1946 году народным судом 1-го участка Гродненского района по ст.ст.118"а" и 22-120 УК БССР на 3 года ИТЛ, до ареста проживал в городе Магадане, работал автоэлектриком на автограновой базе Управления Технического снабжения Гостреста "Колымснаб".

в том, что:

проживая в городе Магадане и являясь враждебно настроенным к советской власти, в течении 1950-1952 годов занимался изготовлением и хранением рукописей антисоветского содержания, в которых возводил клевету на советскую действительность, на руководителей коммунистической партии и правительства, призывал к свержению существующего в СССР политического строя и режима народной демократии в Польше, а также высказывал злобные враждебные выпады в отношении коммунистов,

то есть в преступлении, предусмотренном ст.58-10 ч. 1 УК РСФСР.

В соответствии ст.208 УПК РСФСР следственное дело № 830 по обвинению ЧИНСКОГО Леха Владиславовича через Военного Прокурора Магаданского гарнизона направить по подсудности.

Обвинительное заключение составлено "7" января 1954 года в городе Магадане.

СТ.СЛЕДОВАТЕЛЬ СЛЕДОТДЕЛЕНИЯ I ОТДЕЛА

УМВД МАГАДАНСКОЙ ОБЛ. - М А Й О Р /РЯЗАНЦЕВ/
/подпись/

"СОГЛАСНЫ": НАЧАЛЬНИК СЛЕДОТДЕЛЕНИЯ I ОТДЕЛА

УМВД МАГАДАНСКОЙ ОБЛ. - КАПИТАН /МОСКАЛЕВ/

НАЧАЛЬНИК I ОТДЕЛА УМВД

МАГАДАНСКОЙ ОБЛАСТИ - М А Й О Р /СЕРЕЖЕВ/

-3-

СПРАВКА

1. Обвиняемый ~~ЧИНСКИЙ~~ **ЧИНСКИЙ** Лех Владиславович арестован 9 декабря 1953 г. и содержится под стражей во внутренней тюрьме УМВД Магаданской области.
2. Вещественные доказательства приобщены к следственному делу в особом пакете.
3. Личные документы обвиняемого находятся в деле.

СТ. СЛЕДОВАТЕЛЬ СЛЕДОТДЕЛЕНИЯ I ОТДЕЛА
УМВД МАГАДАНСКОЙ ОБЛАСТИ

М А И О Р - _____ /РИЗАНЦЕВ/
/подпись/

П Р И Г О В О Р

ИМЕНЕМ Российской Советской Федеративной Социалистической Республики
21 января 1954 г. МАГАДАНСКАЯ ПОСТОЯННАЯ СЕССИЯ ХАБАРОВСКОГО КРАЙСУДА
в составе:

Председательствующего Васильева
народных заседателей Крюковой и Вториной
при секретаре СТУДНИКОВОМ

рассмотрев в закрытом судебном заседании дело по обвинению Чинского
Леха Владиславовича 1927 г. рождения, уроженец г. Замостье Люблинского
Воеводства/ПОЛЬША/ по национальности поляк, гражданин ПОЛЬШИ, из рабо-
чих, образование 9 классов, холост, не судим, обвиняемого в преступлении
предусмотренной ст. 58-10 УК РСФСР, исследовав материалы дела, заслушав
показания подсудимого суд

У С Т А Н О В И Л:

Чинский, проживая в городе МАГАДАНЕ после отбытия Меры наказания за
время с 1950 по 1952 г. изготовил ряд стихотворений и рукописей анти-
советского содержания, направленных против существующего в СССР и Поль-
ской Народной Республике политического строя, призывал в этих рукописях
и стихотворениях к свержению существующего в СССР и в Польской респуб-
лике политического строя, возводил клевету на руководителей коммунисти-
ческой партии и Советского правительства. Виновным себя в изготовлении
и хранении указанных рукописей и стихотворений подсудимый Чинский при-
знал, а так-же его вина полностью доказана материалами дела. На основании
изложенного и руководствуясь ст. 319 и 320 УПК РСФСР суд

П Р И Г О В О Р И Л:

Чинского Леха Владиславовича по ст. 58-10 ч. I УК РСФСР подвергнуть зак-
лючению в исправительно-трудовых лагерях сроком на 10 /десять/ лет без
поражения в правах, как не имеющего Советского гражданства, исчисляя на-
чало отбытия меры наказания с 9 декабря 1953 г. Меры пресечения осужден-
ному оставить прежнюю - содержание под стражей. Приговор может быть об-
жалован в ВЕРХОВНЫЙ СУД РСФСР в течении 72х часов.

Председательствующий: подпись нарзаседатели: подпись

КОПИЯ ВЕРНА:

ПРЕДСЕДАТЕЛЬ СЕССИИ ХАБАРОВСКОГО КРАЙСУДА _____ ВАСИЛЬЕВ
/ подпись /

Wiosna polska.

Wiosna się zbliża. Słońce jaśniej świeci
Topiąc ostatki śniegu u jeziora.
Już bociek przyleciał i bawią się dzieci.
Nadeszła dla nas oczekiwań pora.

Bo wiosna polska nie taka jak inne.
Wiatr jakiś ciepły, kwiaty pachną mile...
Strony te dla mnie są swojskie, rodzinne.
Minęły zamieć i burz śnieżnych chwile.
Lasy odżyją, zabrzmią szczękiem broni,
Wzleci ku niebu pieśń groźna dla wroga.
Wnet zagra trąbka wołając do koni
I z serc popłynie modlitwa do Boga.

O Panie nie dasz, aby nasze trudy,
Które znosimy dla swojej Ojczyzny,
Noce zimowe i rany i brudy
Nie zginą marnie, Ty zaleczysz blizny!
Nie dasz, aby wróg, co przybył ze wschodu
Wieszał na domach swoje krwawe szmaty,
Nam, partyzantom, nie dasz zginąć z głodu,
A wróćą chwile z poprzed paru laty.
Choć nas nie wielu, lecz każdy z nas będzie
Bić do ostatka ludobójcę-chama.
Być może jeszcze więcej nas ubędzie,
Zamknie na wieki złotych niebios brama,
Lecz i tam Polsce pozwól służyć Panie
Pomagać z góry tym, co jeszcze żyją,
Aż nie nastąpi tam w niebie spotkanie
Tych, co wpięrow bili i co dotąd biją.

Wiosenne słońce płachty te wybieli,
Które zbryzgane krwią milionów ludzi.
Spójrz Panie na tych, co z ich rąk zginęli
I niech się pomsta w sercu Twoim wzbudzi.

Wspomnij o Panie na trupy w Katyniu
I łagierników z obozów Sybiru...

Skaż tych, co niszczą polskości świątynie
Chwaląc się przy tym, że "mir niesut miru".

Zginie wróg straszny i zniknie jak mara.
Zdradą nas zwalczył - sam od zdrady zginie!
Prastare hasło Ojczyzna i Wiara
Na naszych znakach do boju popłynie!

Luk Cypisli

Okolice Trok
marzec 1946 r.

Na placówce.

Noc ciemna i chmury wloką się nisko
Nad wsią, gdzie Pierwsza Brygada spoczywa.
Północ minęła i ranek już blisko,
Lecz iść na wartę obowiązek wzywa.
 Broń biorę w rękę i z chaty wychodzę
 W stronę, gdzie w krzakach posterunek stoi.
 Przez mokre trawy po kolana brodząc.
 Strzelec odważny! Duchów się nie boi!
Wtem - Stój! Kto idzie? Jakiś głos zawoła.
Zmiana - odpowiem. On pyta o hasło.
- "Strzemię" mu szepnę, a odzew - "stodoła".
Zupełnie ciemno. Reszta gwiazd pogasło.
 Sam pozostałem pośród leśnej głuszy,
 Aby od wroga swą brygadę strzec
 I postanawiam mocno sobie w duszy,
 Że się nie zleknię na placówce ledz.
Niebo się przed świtem coraz bardziej chmurzy.
Niezaługo pewno deszcz już zacznie lać.
Słychać z dala głosy nadchodzącej burzy.
Jakżeby to dobrze teraz w chacie spać!
 Lecz stać zostało jeszcze trochę czasu,
 Póki przyjdzie zmiana i zluzuje mnie.
 Deszcz już padać zaczął i słychać szum lasu.
 Wiater aż do ziemi młode brzośki gnie.
Wtem słyszę, krzakami ktoś się ku mnie zbliża,
A tu choć oko wykol ciemna noc.
Może wróg, a może i sarenka chyża?
Lecz, że mnie nie widzi, tym mam nad nim moc.
 Krzyknąłem - "kto idzie?", zmiana, ktoś odpowie.
 Hasło pytam, mówi, więc i odzew zna.
 Kto przyszedł od razu poznałem po mowie,
 Ale warta także swe ustawy ma.
Idę od placówki na przełaj, przez pole.
Omijam kałuże, a drobny deszcz mży.
Na pewno nie jeden klnie żołnierską dolę,
Kiedy w noc wiosenną z zimna w polu drży.
 Przyszedłem na kwaterę i ubranie suszę,
 A na wschodzie z nieba chmurna schodzi noc.
 Teraz to wypocząć i ogrzać się muszę
 I wesół jak nigdy założyć pod koc!

Lech Cyprian

Okolice Wilna - rok 1944
ps. Koziołek

POLECENY

Warszawa, dnia 7 listopada 1963 roku.

zam. 7.

Lech Czyński

Piaseczno k/W-wy

ul. Puławska 42 m. 16

Wyślano pocztą poleconą
nr 1/9681, ze wstawnym po-
wierzeniem adresowi, dnia
7.11.1963 r. z upr. W-wa 5

Ly

mgr Lech Czyński

Towarzysz

Władysław Gomułka

I Sekretarz Komitetu Centralnego

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

WARSZAWA

ul. Nowy Świat 6

L I S T O T W A R T Y

Do partii wstąpiłem w 1956 roku, po powrocie do Polski ze Związku Radzieckiego. Uważałem wtedy, że popaździernikowa "droga do socjalizmu" i przemiany z nią związane zlikwidują narzuconą nam przez KPZR politykę terroru i bezprawia, a jednocześnie spowodują przeprowadzenie szeregu reform natury organizacyjnej, politycznej i gospodarczej, co przyczyni się do umocnienia praworządności i podniesienia standardu życiowego całego narodu. Jak stwierdzają cyfry i fakty, PZPR w ciągu tych siedmiu lat, a razem osiemnastu lat, w ciągu których jest partią rządzącą w Polsce, nie tylko że nie potrafiła zachować standardu życiowego sprzed 1956 roku, ale doprowadziła do devaluacji złotego i recesji gospodarczej. PZPR nie potrafiła uniezależnić się od importu środków żywnościowych i rozwiązać problemu zaopatrzenia rynku w artykuły pierwszej potrzeby, nie potrafiła rozwiązać spraw agrarnych i ciągłego głodu mieszkaniowego. Te trudności bytowe i gospodarcze spowodowały całkowity upadek prestiżu PZPR w narodzie i wywołały nowe fale niezadowolenia. W związku z tym nasuwa się pytanie, jak powinien postąpić ideowy socjalista, który zdaje sobie sprawę z tego, że recesja gospodarcza nie może być usprawiedliwiana ciągle "zimą stulecia"? Jak więc powinien sobie i innym tłumaczyć fakt, że sytuacja gospodarcza kraju pogarsza się z roku na rok, z czego wynika, że PZPR przestała panować nad istniejącą sytuacją i nie jest w stanie spełnić danych narodowi obietnic? Najgorszym jednak złem jest to, że PZPR nie przestrzega i nie walczy o przestrzeganie podstawowych zasad sprawiedliwości społecznej. Posiadam odpowiednie dokumenty, które wskazują na to, że udział przeciętnego obywatela w rządzeniu państwem jest zwykłą fikcją propagandową, że dygnitarze partyjni z różnych szczebli, włącznie z KC, stawiają na stanowiska, a później popierają i bronią różnego rodzaju mętów społecznych, karierowiczów, cwaniaków, kombinatorów i złodziei, że są na każdym kroku łamane normy współżycia społecznego i naruszane prawa wynikające ze statutu PZPR. Jako członek partii rządzącej ponoszę również odpowiedzialność moralną za niemające przypadki rażącej krzywdy ludzkiej i za postępowanie swoich "przywódców ideologicznych". Ponieważ w ciągu tych siedmiu lat mojej przynależności do PZPR przekonałem się osobiście, że instan-

cje partyjne postępują w stosunku do swych członków nieuczciwie, fałszywie i obłudnie, że ideologia marksistowska jest przez nie traktowana jako zwykła zasłona do zamaskowania swojej nieudolności i obrony zajmowanych stanowisk kierowniczych, doszedłem do wniosku, że nie mogę z wymienionych powodów znajdować się w szeregach PZPR, ponieważ nie ma ona niczego wspólnego, ani też nie reprezentuje ustroju sprawiedliwości społecznej jakim powinien być socjalizm. Jednocześnie uważam, że jedność partii robotniczych i komunistycznych nie polega na całkowitym podporządkowaniu PZPR i interesów narodowych KPZR i że KC PZPR powinna prowadzić bardziej samodzielną politykę zagraniczną i gospodarczą. Dotyczy to również polityki PZPR w stosunku do ChPK. W rezultacie sprowadza się wszystko do dwóch możliwości: albo droga po której idziemy jest drogą nieodpowiednią, albo nieodpowiedni są przywódcy, którzy nas po niej prowadzą. Ponieważ instancje partyjne w ogóle nie liczą się ze zdaniem szeregowych członków partii i ich rola sprowadza się jedynie do płacenia składek, z których jest utrzymywany cały biurokratyzowany aparat partyjny, wstrzymuję się od dalszego jego subsydiowania i zwracam Wam legitymację partyjną z prośbą o skreślenie mnie z ewidencji. Zaznaczam, że jeżeli do organów kierowniczych PZPR przyjdą nowi ludzie sprawiedliwi i ideowi, którzy udowodnią na czynach, że potrafią wprowadzić w życie zasady sprawiedliwości społecznej i dbać o losy swojego narodu, lub jeżeli powstanie inna partia, która takie zasady wprowadzi, wtedy tylko będę mógł stać się znowu członkiem partii. W załączeniu przesyłam Wam legitymację partyjną Nr 0780603.

załącznik:1

- legitymacja partyjna Nr 0780603.

Andrzej Kujawa

Lech Czyński

Warszawa

ul. Racławicka 28 m. 56

Wystawo pismo polecony
nr 4030, z datą 21.12.1970r.
z UPT Warszawa 48.

Lech
mgr Lech Czyński

Towarzysz

Edward Gierek

I Sekretarz KC PZPR

Warszawa

ul. Nowy Świat 6

Szanowny Towarzyszu!

W związku z wyborem Towarzysza na zaszczytny urząd I Sekretarza KC PZPR pragnę złożyć z tej okazji moje gratulacje, a jednocześnie wyrazić nurtujące mnie i większość naszych współrodaków nadzieje, że zmiana personalna na tak eksponowanym i odpowiedzialnym stanowisku w KC przyczyni się do zlikwidowania szeregu anomalii w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym Polski, będącej przecież naszą wspólną ojczyzną. Z przyjściem Towarzysza Gomułki do władzy, w brzemennym w zmiany roku 1956, cały Naród Polski wiązał określone nadzieje. Wtedy postanowiłem również zademonstrować swoje poparcie dla ówczesnego I Sekretarza KC PZPR i wstąpić do partii sądząc, że będą mu niezbędni ludzie młodzi i ideowi w tak trudnych chwilach dla Niego i Polski. Jak się jednak okazało, Towarzysz Gomułka nie odciął się od współpracy z elementami jawnie skompromitowanymi w okresie ludobójczej polityki stalinowskiej, lawirował stale pomiędzy różnymi tendencjami występującymi w łonie partii, otoczył się pochlebcami i tolerował nepotyzm w jego najbardziej odrażającej postaci. Największym jednak Jego błędem jest to, że nie potrafił On właściwie wykorzystać i zmarnotrawił ogromny entuzjazm i ładunek emocjonalny, którym przy obejmowaniu władzy został przez cały Naród obdarzony. Przybiegając coraz częściej do rozwiązywania nabrzmiałych problemów społecznych przy zastosowaniu siły fizycznej i tracąc kontakt ze społeczeństwem, doprowadził stopniowo do samoizolacji i całkowitego spadku popularności swojej osoby, zadawalając się w zupełności pochlebstwami klakierów podtrzymujących w Nim wiarę w mity. Dopuszczył On do całkowitego rozprzężenia organizacyjnego we wszystkich instytucjach i przedsiębiorstwach społecznych. Starając się stworzyć pozory, że szybki wzrost szeregów partyjnych jest Jego zasługą osobistą, rozluźnił całkowicie kryteria naboru kandydatów na członków partii, przyjmując do niej ludzi przygodnych i nie mających z socjalizmem nic wspólnego. Doprowadził jednocześnie do zwyrodnienia i biurokratyzowania, na niespotykaną dotąd skalę, całego aparatu partyjnego, a szeregowych członków partii przekształcił w bezwolne marionetki, których obowiązkiem było jedynie regularne opłacanie składek członkowskich. Tego rodzaju rola członka partii mnie nie odpowiadała. Jednocześnie rozprowadzałem dowodami, że część członków partii piastujących często wysokie i odpowiedzialne stanowiska w organach partyjnych i gospodarczych było zwykłymi karierowiczami bez żadnych skrupułów, oszustami, a nawet złodziejami mienia społecznego.

Ogniwa partyjne, do których się w tych sprawach zwracałem, uchylały się od rozpatrywania moich uzasadnionych zarzutów, nawet wtedy, gdy w formie represji są moje wystąpienia na forum POP PZPR przeciwko przestępczej kłacie, zostałem pozbawiony pracy i przez kilka miesięcy byłem bezrobotnym. W takiej sytuacji uważałem, że przynależność do PZPR, wraz z różnego rodzaju mętami społecznymi, mnie, jako uczciwego człowieka i ideowego socjalistę kompromituje i w roku 1963, gdy moja sprawa została przez Centralną Komisję Kontroli Partyjnej zbagatelizowana, zrezygnowałem z przynależności do PZPR, przesyłając na imię Towarzysza Gomułki moją legitymację partyjną, wraz z listem otwartym, którego kopię skierowałem również do prasy partyjnej. Oczywiście list mój nie został opublikowany, a nawet nie otrzymałem z Redakcji żadnej odpowiedzi. Nie otrzymałem również w tej sprawie żadnej odpowiedzi z KC PZPR i do dnia dzisiejszego nie wiem przez kogo i w jaki sposób opisywana sprawa została rozpatrzona, co świadczy o jaskrawym łamaniu przez urzędników partyjnych Statutu PZPR. Od 1963 roku byłem więc już tylko zwykłym obserwatorem stałego narastania kryzysu w łonie PZPR i procesu degeneracji organów partyjnych. W ten sposób została stworzona sytuacja, że granice przedziałów w społeczeństwie polskim poczęły tworzyć różnego rodzaju struktury mafijne, powstałe na bazie wspólnych interesów grupowych lub indywidualnych, bez względu na to, jaki światopogląd lub ideologie członkowie tych struktur uważały za własne. Mafie tego rodzaju ogarnęły i skorumpowały całe społeczeństwo od najwyższych szczebli zarządzania państwem do najniższej usytuowanych szczebli wykonawczych. Jeżeli w takiej sytuacji niezadowolenie klasy robotniczej wyraża się w spontanicznych manifestacjach protestacyjnych na ulicach miast polskich i jeżeli urzędnicy z KC PZPR uważają stale robotników czy studentów za elementy wywrotowe i chuligańskie, świadczy to o całkowitym braku odpowiedzialności za stosowaną demagogię i o wyalienowaniu ich ze społeczeństwa, którym rządzą i mają odwagę. Nie przyczyniają się również do uzdrowienia sytuacji stałe "eksperymenty" i szumnie reklamowane "reformy gospodarcze" mające na celu doraźne zakłajstrowywanie powstających stale dziur w ekonomice kraju. Są one również nieskuteczne ze względu na sabotaż stosowany w jawny sposób przez obskurantów zajmujących wysokie stanowiska kierownicze, obawiających się wszelkich zmian i pragnących, za wszelką cenę, utrzymać zdobyte pozycje, które mogliby stracić ze względu na swą nieprzydatność w warunkach przejścia na racjonalne zarządzanie gospodarką narodową. W moim liście otwartym do Towarzysza Gomułki wyjaśniłem dlaczego rezygnuję z przynależności do PZPR i na jakich warunkach będę mógł do niej powrócić. Wydaje się, że wielu innych członków partii uważających siebie za ideowych socjalistów postąpiłoby w ten sam sposób, gdyby nie świadomość mogących nastąpić represji i brak odwagi cywilnej. Być może, gdyby protest członków partii na sprzeczne z demokracją partyjną postępowanie zbiurokratyzowanych urzędników partyjnych przybrał

szersze rozmiary, postępowanie ludzi ponoszących odpowiedzialność za losy 33 milionowego narodu nie doprowadziłoby do karygodnego przelewu krwi klasy robotniczej i poważnego podważenia autorytetu Polski na forum międzynarodowym. Piszę ten list mając nikłą nadzieję na to, że dojdzie on do adresata. Wiem bowiem z praktyki, że sito selekcyjne zbudowane przez usługowych Towarzyszy Gomułkę pochlebców działa dość sprawnie. Jeżeli jednak nie otrzymam od Was odpowiedzi w ciągu 2 miesięcy, będę czynił starania, aby zgłosić się na rozmowę osobiście. Znam dobrze Naród Polski i jego historię, bo jestem jednym z jego obywateli i losy mego kraju są mi najbardziej bliskie. Znam również dobrze naród rosyjski i metody stosowane przez ludobójczy system stalinowski, gdyż od siedemnastego roku życia więził on mnie, jako podejrzanego o współpracę z antyfaszystowskim ruchem oporu AK na terenie Wilna, w ciągu 11 lat, z których 9 spędziłem w ciążących się najgorszą sławą obozach pracy przymusowej "na Kołymie". W warunkach, jakie ten zbrodniczy reżym potrafił stworzyć dla niewinnych ludzi, najbardziej nawet zagorzali komuniści stawiali się nieprzejezdnymi wrogami władzy radzieckiej. Ta "oskoła nienawiści" pozwoliła mi jednak na zachowanie trudnego obiektywizmu i nie spowodowała mojego przejścia do kategorii wrogów ustroju socjalistycznego. Pomimo to, że nie posiadam z tego tytułu żadnego mandatu, aby rościć sobie pretensje do pouczania, co należy czynić, aby hasła o reprezentacji klasy robotniczej w Polsce przez PZPR nie były nadeł formalnym sloganem propagandowym wytartym z treści rzeczywistej, uważam, że mam moralne prawo do wypowiedziania się na tematy dotyczące losów mojego kraju - jako jego obywatel i spraw dotyczących rozwoju ideologii socjalistycznej - jako ideowy socjalista. Dlatego też pragnę zwrócić uwagę na jeden z najważniejszych czynników, który będąc w dalszym ciągu nieuwzględniany w polityce KC PZPR, może doprowadzić do jeszcze większego kryzysu i nieobliczalnych w skutkach reakcji społeczeństwa polskiego. W polityce powinny być uwzględniane wszystkie faktory psychiczne społeczeństwa a tym samym i jego aspiracje narodowe. Naród Polski będąc wychowany na historii uwzględniającej koncepcje "dwóch wrogów" i mając za sobą bolesne doświadczenia mogące stanowić potwierdzenia tych koncepcji, nie zmieni się z dnia na dzień pod wpływem propagandy negującej zasadność powyższych twierdzeń. Naród, który stracił miliony swych obywateli zarówno w hitlerowskich obozach zagłady jak i w stalinowskich obozach pracy przymusowej, nie może świadomie i dobrowolnie akceptować polityki, podkreślającej stale całkowite uzależnienie bytu społeczeństwa polskiego od ZSRR. Wulgarna i wyjątkowo służalcza polityka Towarzysza Gomułki wobec Kremla, podkreślała stale wasalstwo Polski, powodując silne napięcia emocjonalne i frustrację całego społeczeństwa polskiego. Widocznie urzędnicy partyjni w KC PZPR są tak prymitywni i na tak niskim poziomie rozwoju intelektualnego, że nie są zdolni zrozumieć tych tak prostych zagadnień socjologicznych. Przecież, aby prowadzić politykę przyjaźni w stosunku do ZSRR, nie potrzeba przypominać ciągle o tym, że się jest lo-

kajem i wpaść narodowi niepotrzebne kompleksy! W aktualnej sytuacji można już sobie pozwolić na starania ułożenia ze Związkiem Radzieckim stosunków na zasadzie równości, braterstwa i nieingerowania w wewnętrzną politykę państwa, tak jak to uczynili Rumuni. Czy rzeczywiście KC PZPR nie rozumie tego, że obywatel, który czuje się niewolnikiem, nie będzie nigdy uczciwie i wydajnie pracował w warunkach, gdy nie uważa się za rzeczywistego gospodarza kraju! Proszę nie rozumieć tego, jako nawoływania do zerwania ze Związkiem Radzieckim, czy też rozpalań namiętności nacjonalistycznych, ale jednocześnie pamiętać, że kierownictwo KPZR nie posiada monopolu na nieomyślność w sprawach socjalizmu i często może wnanewrowywać państwa sprzymierzone w sytuację korzystną, z punktu widzenia interesów narodowych ZSRR, a sprzeczną z interesami ustroju socjalistycznego, jako całości. Ułożenie stosunków sąsiedzkich z ZSRR na zasadzie wzajemnego poszanowania praw pozwoliłoby Polsce na prowadzenie bardziej racjonalnej i samodzielnej polityki w ramach obozu socjalistycznego, jak np. nawiązanie ściślejszych więzów z Chińską Republiką Ludową, czy uwzględnianie interesów narodowych Polski w ramach RWPG i Paktu Warszawskiego, co przyczyniłoby się do wzrostu prestiżu rządu polskiego na arenie międzynarodowej. Tego rodzaju polityka doprowadziłaby również do stopniowego oczyszczenia szeregów partii z elementów kompromitujących budownictwo socjalistyczne w Polsce, które korzystając z rozprężenia organizacyjnego i bezkarności dopuszczają się różnego rodzaju nadużyć, korupcji i łapownictwa. Wiem dobrze, jak wiele naszych rodaków czekało i nadal czeka na chwilę, kiedy pod pojęcie SOCJALIZMU będzie podkładana treść mająca rzeczywiście coś wspólnego z ustrojem sprawiedliwości społecznej. Na oszustwie bowiem, bezprawiu i terrorze nikomu dotąd nie udało się jeszcze zbudować ustroju akceptowanego dobrowolnie przez większość społeczeństwa, chociaż szerowane hasła byłyby nawet najbardziej pociągające. Dotychczasowe obserwacje życia społecznego w ZSRR wskazują na to, że stalinizacja, w formie klasycznej, jest już dzisiaj niemożliwa i że istnieją tam silne nurty demokratyczne i liberalizacyjne. Polska w istniejącej sytuacji może i powinna odegrać nie rolę bezwolnego wasala oczekującego stale na dyrektywy z Kremla, ale rolę katalizatora przyspieszającego ewolucję socjalizmu "dla wszystkich". Ma ona możliwość podjęcia się takiej misji, gdyż jest po ZSRR największym państwem w obozie państw socjalistycznych, posiada wiekowe tradycje wolnościowe i demokratyczne oraz poniosła olbrzymie straty z rąk stalinowskich siepaczy. Towarzysz Gomułka nie rozumiał tego, a być może nie miał na tyle odwagi cywilnej, aby prowadzić politykę akceptowaną przez większość społeczeństwa i dlatego przegrał. Przegra również każdy, kto nie wkalkuluje w swoją politykę uniknięcia niepodległości przez Naród Polski. Dlatego też jako były więzień polityczny ludobójczego reżymu stalinowskiego, jako jednostka ludzka, z której składa się społeczeństwo polskie, jako ideowy socjalista, któremu losy

ustroju zasjał sprawiedliwosci społecznej są równie bliskie jak i losy
mojego kraju, proszę Towarzysza I Sekretarza KC PZPR, aby wkalkulował te war-
tości wypracowane w ciągu tysiącletniej historii Polski do swojej polity-
ki.-

Pozostaje z szacunkiem -

Anty Gyslow

зая. 10.



ПРОКУРАТУРА СССР

103793, Москва, К-9, Пушкинская, 15-а

30.07.80 № 13/40-80

На №

Польская Народная Республика

гор. Варшава 02-601

улица Рацлавицка 28 кв.56

гражданину Чинскому Леху
Владиславовичу

Сообщаю, что Ваша жалоба от 20 января 1980 года о проверке обоснованности осуждения Вас в 1954 году в Прокуратуре СССР проверена.

При проверке установлено, что Вы по приговору Магаданской постоянной сессии Хабаровского краевого суда от 21 января 1954г. по ст. 58-10 часть I УК РСФСР к 10 /десяти/ годам лишения свободы были осуждены обоснованно и для изменения или отмены указанного приговора оснований нет.

Ваша виновность в составлении и хранении документов антисоветского содержания, призывающего к свержению и ослаблению Советской власти, материалами предварительного и судебного следствия полностью доказана показаниями допрошенных в суде свидетелей и вещественными доказательствами.

Ваша жалоба об отмене приговора и Вашей реабилитации оставлена без удовлетворения.

Прокурор отдела
старший советник юстиции

Г.А.Васильев

Г.А.Васильев

Lech Czyński

ul. Racławicka 28 m.56

02-601 WARSZAWA

Wystawę przesyłam poleconym ze z.p.o.

nr 9/17378 z UPi W-wa1

dn. 2.05.1986 r.

POLECONY

Obywatel

gen.armii Wojciech Jaruzelski

I Sekretarz KC PZPR

ul. Ikara 5

02-705 WARSZAWA

Szanowny Obywatelu I Sekretarzu!

W związku ze zbliżającym się X Zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przedstawiam Obywatelowi I Sekretarzowi KC PZPR pod rozwagę kilka zagadnień związanych ze sprawą budowy ustroju socjalistycznego w kraju i na świecie.

I. Czy każda rewolucja zwycięska musi być rewolucją na czasie?

Klasycy marksizmu zakładali, że po to, aby zwyciężyć, a przede wszystkim, prawidłowo rozwijał się ustrój socjalistyczny na świecie, powinny zostać spełnione trzy podstawowe warunki:

Po pierwsze, ustrój ustępujący powinien stworzyć dla ustroju następującego odpowiednio rozwiniętą bazę techniczno-ekonomiczną, po to, ażeby nowy ustrój społeczny mógł ją wykorzystać dla swych potrzeb na wyższym szczeblu rozwoju społecznego.

Po drugie, klasa robotnicza w ustroju ustępującym powinna już osiągnąć taki poziom rozwoju intelektualnego, aby mogła przejąć pod własny zarząd uspołecznione środki produkcji i racjonalnie nimi gospodarować, po to, ażeby nie doprowadzić do zmniejszenia wydajności pracy, a tym samym również do spadku uzyskanego już poziomu stopy życiowej społeczeństwa.

Po trzecie, ustrój socjalistyczny powinien zwyciężyć, mniej więcej, w tym samym czasie w najbardziej rozwiniętych i najsilniejszych państwach kapitalistycznych, w których zaistniały już dwa uprzednio wymienione warunki, po to, ażeby nowy ustrój społeczny mógł się rozwijać zgodnie z teoretycznymi założeniami doktryny marksistowskiej, nie będąc zagrożonym z zewnątrz. Jeżeliby ten ostatni warunek nie został uwzględniony, to ustrój socjalistyczny, bądź zostanie zdławiony przez kapitalistów, bądź zmuszony do przeznaczania zbyt dużej części dochodu narodowego na obronę, nie będzie w stanie zagwarantować klasie robotniczej stopy życiowej na dotychczasowym poziomie, a więc stanie się dla niej nieatrakcyjny. W takim przypadku klasa robotnicza w państwach kapitalistycznych nie będzie widziała dla siebie żadnych korzyści z faktu przejęcia władzy, nawet wówczas, kiedy obiektywne warunki do rewolucji tam już dojrzeją. Tego rodzaju zubożały i "dzielący biedę" system socjalistyczny, nie będzie stanowił żadnego zagrożenia ideologicznego dla państw kapitalistycznych, a klasa robotnicza w tych państwach, zamiast funkcji "grabarza" zacznie spełniać funkcje "naprawiacza" kapitali-

zmu. Zwiastunami tego, iż najbardziej rozwinięte przemysłowo państwa kapitalistyczne dojrzały już do zmiany ustroju społecznego, byłyby elementy ustroju socjalistycznego pojawiające się, w coraz to szerszym zakresie, w ich systemach, co, jak wiadomo, doło się zauwarzyć na szerszą skalę dopiero po zakończeniu II wojny światowej. To, że Marks uznał za niezbędne uwzględnianie w strategii i taktyce partii komunistycznych wymienionych trzech warunków, mogą świadczyć jego wypowiedzi na posiedzeniu kierownictwa Zarządu Centralnego Związku Komunistów, które odbyło się 15.09.1850 roku. Na tym posiedzeniu doszło do ostrych starć między zwolennikami rewolucji natychmiastowej a jej przeciwnikami, do których należał również Marks. Uzasadniając swe stanowisko twierdził on, że motorem rewolucji nie może być sama wola jej wywołania, lecz rzeczywiste i obiektywne warunki, które niejednokrotnie w swych pracach określał. Uważał on, że do rewolucji socjalistycznej należy dochodzić stopniowo, po okresie walk ludowych, prowadzonych nie tylko po to, ażeby zmienić warunki, ale, przede wszystkim, po to, ażeby zmienić samych siebie i uzdolnić do objęcia władzy. Biorąc pod uwagę, że Rosja carska znajdowała się w roku 1917, mniej więcej, na podobnym szczeblu rozwoju jak Anglia w roku 1850, nie ulega żadnej wątpliwości, że nie była ona, pod żadnym względem, przygotowana do przeprowadzenia rewolucji socjalistycznej. Wynika z powyższego, że Lenin zaryzykował przeprowadzenie rewolucji w nawpółfeudalnej jeszcze Rosji carskiej nie dlatego, że zaistniały tam ku temu obiektywne warunki, ale wyłącznie dlatego, iż ówczesna sytuacja stwarzała dogodne warunki do względnie łatwego przechwycenia władzy "walającej się na ulicy". Teoretycy doktryny bolszewickiej, kiedy marksiści zarzucali im nie liczenie się z obiektywnymi warunkami i nieuwzględnianie w działaniach założeń marksizmu, twierdzili, że skoro rewolucja zwyciężyła, znaczy to, że odbyła się we właściwym miejscu i czasie. Starali się oni przekonywać swych oponentów, iż dla zwycięstwa rewolucji nie jest niezbędne ażeby kapitalizm osiągnął swe najwyższe stadium, że swój niski poziom intelektualny klasa robotnicza zrekompensuje z nawiązką swym entuzjazmem rewolucyjnym i, że potrafią oni zbudować socjalizm w jednym kraju i w otoczeniu państw kapitalistycznych. Jeżeli ostatecznie można byłoby zrozumieć ludzi niewykształconych, uciśnionych, poniżanych i głodnych, wiążących z rewolucją nadzieje na poprawę swego bytu, którzy nie byli w stanie dokonać właściwej analizy sytuacji, aby dojść do wniosku, iż nie nadeszła jeszcze pora do przejęcia władzy, zlikwidowania klas posiadających i uspołecznienia środków produkcji, o tyle trudno jest usprawiedliwiać bolszewików prących stale do sztucznego przyspieszania rozwoju procesów społecznych, co w każdych warunkach ustrojowych przynosi zawsze więcej szkód aniżeli pożytku. Jak wiadomo, w świetle teoretycznych założeń doktryny marksistowskiej, tego rodzaju komunistów, postępującym wbrew obiektywnym prawom materializmu dialektycznego i historycznego, zwykło się nazywać rewizjonistami, a

prowadzoną przez nich politykę - awanturnictwem. W świetle powyższych faktów, rewolucję bolszewicką, chociażby i zwycięską, należy uznać za ułomnego wcześniaka, ze schizofrenicznymi obciążeniami odziedziczonymi po wielkorusyjskim szowinizmie i ze zwyrodnieniami przeniesionymi z zacofanego i nieoświeconego samodzierżawia. Wszystkie cechy ujemne bolszewizmu radzieckiego zostały z czasem przeniesione, w mniejszym lub większym stopniu, do partii rządzących w krajach, których nazwy stanowią typowy tautologizm, czyli do "demokracji ludowych", jak również do innych partii komunistycznych, które uznały za wskazane zaadaptować dla własnych potrzeb doktrynę opracowaną przez bolszewików.

II. Kim są i skąd się wzięli bolszewicy?

Na II zjeździe Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (SDPRR), który zapoczątkował swe obrady 17.07.1903 roku w Brukseli, a zakończył w Londynie, 43 przybyłych nań delegatów rozporządzało 51 głosami decydującymi. Lenin mógł liczyć, na pewno, wyłącznie na 24 głosy t.zw. "zdecydowanych iskrowców". Różnice zdań pojawiły się już od razu podczas omawiania projektu programu partii. Dotyczyły one zagadnień związanych z dyktaturą proletariatu, internacjonalizmem proletariackim oraz rewolucją socjalistyczną. W końcu projekt został przegłosowany w wersji zaproponowanej przez Lenina. Następnie spory toczyły się przy uzgadnianiu treści projektu statutu partii. Martow, będący oponentem Lenina twierdził, iż na danym etapie, aby uważać siebie za członka partii wystarczy uznawać jej program za własny i wspierać ją materialnie. Nie uważał on za konieczne, ażeby każdy, kto uważa się za członka partii należał do którejś z jej komórek organizacyjnych. Ostatecznie projekt statutu partii został przegłosowany w wersji przedstawionej przez Martowa. Do ostatecznego rozłamu między zwolennikami Martowa i Lenina przyczyniła się sprawa związana z BUND'em, czyli narodowością i frakcją żydowską w SDPRR, która domagała się, aby uznać ją za jedynego reprezentanta interesów pracowników narodowości żydowskiej. Na to nie chcieli się zgodzić ani Martow, ani Lenin. W takiej sytuacji bundowcy obrazili się i na znak protestu, wszyscy, w liczbie pięciu, opuścili obrady zjazdu, a wraz z nimi jeszcze dwóch delegatów zaliczanych do t.zw. "ekonomistów". Zbojkotowanie obrad zjazdu przez siedmiu delegatów spowodowało, że t.zw. "zdecydowani iskrowcy" okazali się w większości i mogli reszcie delegatów narzucić swoje stanowisko. Tak więc do Komitetu Centralnego Lenin przeformował tylko swoich zwolenników. Na redaktorów organu partyjnego ISKRA Lenin proponował siebie, Plechanowa i Martowa, ale ten ostatni uważał, że redaktorami powinni nadal pozostać ci towarzysze, którzy byli nimi dotychczas. Zwolennicy Lenina jednak się na to nie zgodzili i Martow zrezygnował z zaproponowanej mu funkcji. W taki oto przypadkowy sposób zwolennicy Lenina opanowali zarówno Komitet Centralny partii jak również Redakcję ISKRY. Od tego czasu zaczęli oni siebie nazywać "bolszewikami", a swych oponentów

"mieńszewikami". Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdyby tych siedmiu delegatów nie opuściło obrad zjazdu, Lenin nie byłby w stanie podporządkować sobie komitetu centralnego, ani opanować Redakcji organu partyjnego i być może zupełnie inaczej potoczyłyby się losy świata. Na VII zjeździe SDPRR, który odbył się w marcu 1918 roku, została podjęta uchwała w sprawie zmiany nazwy partii, którą przemianowano na "komunistyczną" jednakże dodano do niej również przydomek "bolszewicka". Tak więc, od tego czasu, zaczęła się ona nazywać Rosyjską Komunistyczną Partią (bolszewików), a od XIV zjazdu RKP(b), który odbył się w grudniu 1925 roku - zaczęła się ona nazywać Wszechzwiązkową Komunistyczną Partią (bolszewików).

III. Dlaczego powstał KOMINTERN i komu on był potrzebny?

Lenina nie zadawała fakt, iż bolszewicy zachwycili władzę w Rosji, gdyż miał on dalekosiężne plany rozprzestrzenienia płomienia rewolucji bolszewickiej na cały świat i podporządkowania sobie wszystkich zagranicznych partii komunistycznych. Uznał więc on za konieczne powoła^{ie} do życia specjalnego ośrodka koordynacyjnego, który w powołaniu na t.zw. "centralizm demokratyczny" mógłby kierować wszystkimi ruchami rewolucyjnymi na świecie. Ośrodek taki, pod nazwą Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, znany lepiej pod nazwą KOMINTERN'u został utworzony na I kongresie partii komunistycznych, który został zwołany do Moskwy w marcu 1919 roku. Bolszewicy byli na tyle naiwni, iż wierzyli, że uda im się sterować ruchami komunistycznymi z jednego centrum i nie dopuścić do żadnych odstępstw od ustalonych przez nich dogmatów, które chcieli narzucić wszystkim, jako powszechnie obowiązujące. Komintern w swych założeniach miał więc spełniać podobną rolę w Międzynarodówce Komunistycznej, jaką spełnia obecnie w Kościele rzymskokatolickim Kongregacja Doktryny Wiary, znana kiedyś lepiej pod nazwą inkwizycji. I chociaż bolszewicy zawsze powoływali się na marksizm, łącząc go dla celów propagandowych z leninizmem, a także na prawa wynikające z materializmu dialektycznego i historycznego, swym postępowaniem udowodniali, że praw tych nie znają, podobnie, jak fanatyczna dewotka, gotowa zlinczować każdego innowiercę czy ateistę, nie zna treści ksiąg starego i nowego testamentu. Gdyby bowiem te prawa znali, to wiedzieliby, że nikomu dotąd nie udało się za pomocą terroru zmusić ludzi do zaprzestania myślenia i wyciągania krytycznych wniosków, co miałoby zapobiegać różnego rodzaju schizmom w ruchach społeczno-religijnych. Wiedzieli oni przecież, że nie potrafił dokonać tego nawet Kościół rzymskokatolicki, który posiada większe od nich doświadczenie w manipulowaniu świadomością ludzi, pomimo to, iż w wiekach średnich sprawował całkowitą kontrolę nad władzami świeckimi. Nie potrafił on jednak zapobiec szerzeniu się schizmy, gdyż, jak wiadomo, istnieją obecnie dziesiątki wyznań i setki sekt wywodzących się z chrześcijaństwa, ale nie uznających papieża za głowę Kościoła lub odrzucających poszczególne dogmaty uznawane przez ortodoksów za prawdziwe. Należy więc przypuszczać, że albo bolszewicy byli zbyt zarozumiali, albo zbyt ciemni

jeżeli rzeczywiście wierzyli, że uda im się osiągnąć to, czego nie udało się osiągnąć klerowi rzymskokatolickiemu sprawującemu "rządy dusz" od prawie dwudziestu wieków. Historia uczy bowiem, że w ramach każdego ustroju społecznego istniały zawsze różnorodne uwarunkowania lokalne, które przejawiały się w zróżnicowaniu systemów poszczególnych państw. Tak więc w ustroju kapitalistycznym można wyróżnić system monarchii absolutnej i konstytucyjnej, a także republikański, junty wojskowej czy faszystowski, stanowiący najbardziej zwyrodniałą i ludobójczą formę kapitalizmu. Podobnie w ustroju socjalistycznym możemy już wyróżnić dzisiaj system radziecki, chiński, jugosłowiański czy eurokomunistyczny. Ponieważ teoretyczne założenia systemu radzieckiego zostały opracowane przez bolszewików, wydaje się, że ich system jest bardziej prawidłowo nazywać systemem bolszewickim lub, po prostu, bolszewizmem. Wynika z powyższego, że Komintern został powołany do życia przez bolszewików po to tylko, ażeby wymuszać na partiach komunistycznych, działających w innych państwach, stosowanie w praktycznym działaniu systemu bolszewickiego. W okresie swego działania instytucja ta stała się, w stosunku do partii narodowych, organem zwierzchnim, t. zn., czymś w rodzaju "superpartii", której wszystkie inne były bezwzględnie podporządkowane. Po rozwiązaniu Kominternu pod naciskiem Stanów Zjednoczonych i Angli w roku 1943, większość jego funkcji przejęła na siebie WKP(b), która następnie, w roku 1953, przemianowała się na Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego. Partia ta wywiera do dnia dzisiejszego istotny wpływ na działalność partii w krajach z. zw. "demokracji ludowych" oraz niektórych partii działających w państwach kapitalistycznych. Bolszewicy radzieccy posiadają więc możliwość dalszego wymuszania na centralnych władzach partii rządzących, nie tylko uprawiania jednolitej polityki zagranicznej, ustalonej dla całego bloku, ale także mają możliwość wpływania na składy biur politycznych oraz na wewnętrzną politykę ekonomiczną, czyli inaczej mówiąc, na ich struktury modelowe. Właśnie dlatego były stale stopowane, nawet przy pomocy sił zbrojnych, wszelkie niezbędne reformy gospodarcze, tylko dlatego, że wedle ocen teoretyków bolszewizmu, nie mieściły się one w ich scentralizowanym, ortodoksyjnym modelu ekonomicznym. Jeżeli więc założymy, że bolszewicy radzieccy mogą wymuszać utrzymywanie w całym bloku irracjonalnego, niewydolnego i marnotrawnego systemu, wbrew interesom narodowym poszczególnych państw, znaczy to, że partie w tych krajach rządzące, niezależnie od nazw maskujących, jakie ze względów taktycznych przyjęły, stanowią faktycznie filie radzieckiej partii bolszewickiej na dane kraje. Uznając za prawdziwy przedstawiony punkt widzenia należy dojść do wniosku, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, w obowiązujących dotąd układach, stanowi również filię radzieckiej partii bolszewickiej na Polskę, gdyż reprezentuje ona tutaj interesy polityczne Kremla, niezależnie od tego, czy są one zbieżne z dążeniami większości Polaków, czy nie.

IV. Jaki jest stosunek bolszewików do innych partii rewolucyjnych?

Bolszewicy założyli z góry, że jeżeli tylko uda im się zachwycić władzę, to nie będą się nią z nikim dzielili. Monopol władzy, do którego stale i konsekwentnie dążyli był im bowiem niezbędny po to, ażeby pozbyć się potencjalnych konkurentów i krytyków oraz zapewnić sobie pełny komfort przy jej sprawowaniu. Najpierw więc zabrali się do likwidowania ludzi zakwalifikowanych do klas posiadających, nie biorąc pod uwagę tego, że część postępowej inteligencji, w mniejszym lub większym stopniu, popierała przemiany rewolucyjne i mogła być wykorzystana przy budowie nowego ustroju społecznego zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami. Bolszewicy, będąc zwolennikami ślepego terroru nie ufali jej jednak, więc ci, którym nie udało się zbiec za granicę, wyginęli, w dużej części, bądź w egzekucjach, bądź w obozach pracy przymusowej. Wkrótce już jednak okazało się, że chociaż bolszewikom udało się zdobyć upragnioną władzę, nie posiadają oni dostatecznej ilości wykwalifikowanych kadr do zarządzania gospodarką narodową. Pociągnęło to za sobą konieczność nadmiernego scentralizowania systemu zarządzania, co w wyniku doprowadziło do oduczenia ludzi od przejawiania jakiejkolwiek inicjatywy własnej w procesie produkcji i przekształcenia ich w bezwolne automaty, kierujące się zasadą, że im za myślenie się nie płaci. Następnie bolszewicy zabrali się do wyniszczania swych dotychczasowych sprzymierzeńców z innych partii rewolucyjnych, którzy dopomogli im w zdobyciu władzy. Ponieważ partia socjalistyczna nie tylko krytykowała praktyczną działalność bolszewików, ale również zarzucała im rewizjonizm i odstępstwa od teoretycznych założeń doktryny marksistowskiej, stanowiła ona dla nich największe zagrożenie, gdyż posiadając poparcie znacznej części załóg w dużych zakładach pracy i średniaków na wsi, mogła pozbawić ich monopolu władzy. Właśnie dlatego członkowie tej partii, którzy nie chcieli wyrzec się własnych ideałów i nie przeszli na służbę do bolszewików, stali się ofiarami terroru i są przez nich, do dnia dzisiejszego, obrzucani różnymi ubliżającymi i wulgarnymi epitetami. Wkrótce więc bolszewicy wykończyli wszystkich swych dotychczasowych sprzymierzeńców i pozostali na placu boju sami. Okazało się jednak, że i w samej partii bolszewickiej nie ma idealnej jedności i istnieją członkowie posiadający inny punkt widzenia na sprawy związane z wdrażaniem w życie założeń bolszewizmu, aniżeli ten, jaki reprezentował Lenin. Zaczęto więc ich również represjonować, oskarżając o prawicowe bądź lewicowe odchylenia. W wyniku doszło do długotrwałych walk frakcyjnych w łonie samej partii bolszewickiej o przechwycenie lub utrzymanie nad nią władzy. Warto więc sobie przypomnieć o co oskarżali leninowcy takich swych zasłużonych do niedawna towarzyszy jak: Piatakow, Radek, Tuchaczewski, Jakir, Bucharin, Rykow, Krestynski, Zinowiew, Kamieniew i tysiące innych: "Procesy sądowe ujawniły, że zbrodniarze trockistowsko-bucharinowscy, wykonując wolę swych rozkazodawców, burżuazyjnych szpiegowskich wywiadów państw obcych, mieli na celu rozbicie partii i państwa radzieckiego, podkopanie zdolności obronnej kraju, ułatwienie zbrojnej interwencji państw obcych, przygotowa-

nie porażki Armii Czerwonej, rozbiór ZSRR, oddanie Japończykom radzieckiego kraju nadmorskiego, oddanie Polakom Białorusi radzieckiej, zniweczenia zdobyczy robotników i kołchoźników, przywrócenie niewoli kapotalistycznej w ZSRR... Sąd radziecki skazał bucharinowsko-trockistowskich wyrzutków społeczeństwa na rozstrzelanie. Komisariat Ludowy Spraw Wewnętrznych wyrok wykonał. "Jakich metod w śledztwie musieli używać funkcjonariusze NKWD i NKGB, ażeby wymusić na niewinnych ludziach przyznanie się do tak absurdalnych oskarżeń, o tym historia WKP(b) nie wspomina. Jednakże już dzisiaj wiadomo, że pomimo stosowania najbardziej wyrafinowanych tortur fizycznych i psychicznych, nie udało się oprawcom wymusić od wszystkich oskarżonych przyznania się do niepopołnionych zbrodni i zostali oni pomordowani bez udowodnienia im winy. Cześć ich pamięci! W rezultacie bolszewicy, uważający się za leninowców, wymordowali w okresie t. zw. "czystek" nie tylko dziesiątki tysięcy oddanych sprawie rewolucji marksistów radzieckich, ale również marksistów innych narodowości, którzy uciekając przed prześladowaniami we własnych krajach, szukali dla siebie schronienia w "pierwszym państwie robotników i chłopów". Dotyczy to również wielu członków Komunistycznej Partii Polski, rozwiązanej przez KOMINTERN w 1938 roku, którzy byli oskarżani w ZSRR o różnego rodzaju wysane z palca przestępstwa i skazywani, przeważnie na karę śmierci, w fingowanych procesach politycznych. Należy więc pamiętać o tym, że jednemu z największych na świecie "zbrodniarzy z za biurka" - Stalinowi, nigdy nie udałooby się objąć władzy nad partią bolszewicką, gdyby nie popierali go leninowcy. Dlatego też partia ta ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, że wyniosła do władzy paranoika i sadystę, o mentalności pospolitego mordercy, który, bez żadnych skrupułów, wyniszczał swych towarzyszy walki, nie tylko dlatego, iż posiadali oni inny aniżeli on punkt widzenia na sprawy, ale również dlatego, że widział w nich rywali, albo dlatego, że ich nie lubił bądź im nie ufał. Rozbudowane w okresie jego rządów do monstrualnych rozmiarów organa bezpieczeństwa wewnętrznego, które poznały smak władzy absolutnej i zdobyły dla siebie wielkie wpływy i przywileje, nie życzyły sobie ograniczenia ich roli w państwie. Starały się więc one wykazać w praktyce, że są nadal niezastąpione i posiadają pełne ręce roboty oraz, że kontrrewolucja wewnętrzna nie została jeszcze całkowicie rozgromiona. Ażeby to udowodnić, kiedy już klasy posiadające nie istniały, partie konkurencyjne były rozbite, frakcje w partii bolszewickiej zlikwidowane, byli oni zmuszeni do poszukiwania nowych wrogów rewolucji i państwa radzieckiego gdzie indziej. Znaleźli więc ich wśród chłopów i robotników dopominających się o swe prawa i właśnie nimi wkrótce zaczęto masowo zapełniać więzienia i obozy pracy przymusowej.

V. Ślepy terror jako sposób na ujarznienie narodów.

Ażeby zdobyć poparcie biedniaków dla swego programu, bolszewicy przeprowa-

dzili zapowiadaną reformę rolną. Rozparcelowane na drobne działki wielkotowarowych majątków obszarowych i gospodarstw kułackich oraz rozdzielanie ich wśród małorolnej i bezrolnej biedoty wiejskiej, pociągnęło za sobą spadek produkcji rolnej ze względu na powstanie dużej ilości gospodarstw naturalnych. Bolszewicy zaczęli więc zachęcać chłopów do organizowania kołchozów, a ponieważ ci nie przejawiali zbytniego entuzjazmu, postanowili ich tam zapędzić z zastosowaniem siły. Odpowiednie decyzje w tej sprawie zapadły na XV zjeździe WKP(b), który odbył się w grudniu 1927 roku. Przeprowadzana metodami administracyjnymi kolektywizacja doprowadziła w rezultacie do jeszcze większego spadku produkcji rolnej i miastom zagroził głód. W ten sposób organa bezpieczeństwa wewnętrznego, które już zaczęły się niepokoić o swą przyszłość, uzyskały nowe pole do popisu. Na tych chłopów, którzy nie chcieli iść do kołchozów i uparli się, że będą gospodarowali indywidualnie, zaczęto nakładać wielkie kontyngenty, a kiedy chłopci nie byli w stanie z nich się wywiązać, konfiskowano im wszystkie zapasy żywności i aresztowano. Tego rodzaju polityka doprowadziła już wkrótce do wyniszczenia głodem ludności wiejskiej, szczególnie na Ukrainie będącej śpichlerzem Rosji. Jak się domniemywa, zginęło tam z głodu w latach 30-tych kilka milionów osób. Terror bolszewicki nie ominął również robotników. Tych, którzy starali się walczyć o swe prawa oraz lepsze warunki pracy i płacy, oskarżano o sabotaż, dywersję i wrogą działalność przeciwko państwu radzieckiemu, a następnie likwidowano, bądź skazywano na długoletnią pracę niewolniczą w obozach pracy przymusowej. Do dnia dzisiejszego nikt nie wie dokładnie, ile milionów niewinnych ofiar mają na swym koncie bolszewicy, ale domniemywa się, że w latach 1920 - 1940 zginęło w więzieniach, obozach pracy przymusowej i na zesłaniu około 15 milionów ludzi. Oprócz tego bolszewicy ponoszą odpowiedzialność za dokonywanie morderstw politycznych na obywatelach innych państw, którzy, w taki lub inny sposób, znaleźli się w zasięgu ich władzy. Możemy więc wyróżnić fingowane procesy polityczne, w wyniku których uprawiali oni ludobójstwo zamierzone, czyli takie, kiedy niewinnych ludzi zmuszano, za pomocą tortur, do przyznawania się do niepopełnionych przestępstw natury politycznej, a następnie już w majestacie prawa skazywano na śmierć i strzałem w tył głowy pozbawiano życia, lub ludobójstwo strukturalne, wynikające ze zwyrodnień systemu, czyli takie, kiedy ludziom skazywanym w fingowanych procesach politycznych na długoletnie kary obozu pracy przymusowej, stwarzano takie warunki odbywania wyroku, które nie dawały żadnych szans na jego odbycie. Ludzie ginęli więc masowo w niesprzyjających warunkach atmosferycznych, ponieważ administracja obozowa nie zapewniała im właściwych pomieszczeń do życia i odpowiedniego ubrania; w wyniku głodu, kiedy nie zagwarantowano im odpowiedniej ilości kalorycznego pożywienia; w wyniku pracy ponad siły, gdyż wyśrubowane normy ustalane dla ludzi pełnosprawnych i zdrowych wykonywali ludzie wynędzniali i chorzy; w wyniku braku odpowied-

niej opieki lekarskiej oraz leków i witamin, co powodowało, że ludzie masowo wymierali na atrofię, pelagregę, szkorbut i inne choroby, które w warunkach sprzyjających przeżyciu w ogóle nie występują; w wyniku szykan stosowanych przez administrację obozową, karającą więźniów karczerem i pozbawieniem pożywienia za niewykonywanie norm pracy; w wyniku terroru ze strony knajaków, którzy znęcali się bezkarnie nad więźniami politycznymi i ograbiali ich ze wszystkiego, na co tylko mieli ochotę. Ponieważ dla organów bezpieczeństwa wewnętrznego najmniej pracochłonne było oskarżanie ludzi o antyradziecką agitację i propagandę, gdyż do tego wystarczył zwykły donos, najwięcej więźniów politycznych było sądzonych z art. 58-10 cz. 1 i 2 kk RFSSR, zagrożonego karą do 10 i 15 lat. Sądy zazwyczaj wymierzały górną granicę kary, a więc wszystkie obozy pracy przymusowej były zapełnione t.zw. "kawalarzami", czyli ludźmi, których skazano za opowiadanie kawałów politycznych. Tak więc większość inwestycji przypisywanych "bohaterskim komsomolcom", zwanych pompatycznie "budowami komunizmu", zostało zrealizowanych właśnie przez "kawalarzy", posiadających 10 lub 15 lat wyroku. Więźniowie polityczni byli zazwyczaj kierowani do obozów pracy przymusowej rozlokowanych w najbardziej niesprzyjających strefach klimatycznych i do najcięższych prac. Właśnie dlatego wielu z nich nie było w stanie doczekać końca wyroku i obciąża konto zbrodni bolszewickich. Wyniszczając swych oponentów i terroryzując ludność bolszewicy osiągnęli wkrótce upragniony komfort władzy, ale doprowadzili przez to do całkowitego zwyrodnienia opracowanego przez siebie systemu, który zaczął posiadać więcej cech systemu niewolniczego, feudalnego i kapitalistycznego, aniżeli socjalistycznego. Tego rodzaju system starali się oni, z mniejszym lub większym skutkiem, narzucić wszystkim krajom t.zw. "demokracji ludowych", które w wyniku II wojny światowej znalazły się w strefie ich wpływów. I chociaż stosowany tam terror nigdy nie osiągnął tego rodzaju nasilenia jak to miało miejsce w ZSRR, w okresie, kiedy powoływali się oni na t.zw. "normy leninowskie" i nie pociągali za sobą tak wielu niewinnych ofiar, jednakże i tam rodzimi bolszewicy potrafili pokazać na co ich stać. To, że za swych najgroźniejszych wrogów bolszewicy uważali zawsze i uważają nadal socjalistów, wynika z wypowiedzi ich teoretyka i praktyka - Stalina, który był uważany przez swych towarzyszy partyjnych za najzdolniejszego ucznia oraz najbardziej wypróbowanego i najwierniejszego współbojownika, założyciela partii bolszewickiej - Lenina. Uczył on, że "droga rozwoju i wzmocnienia partii proletariackich prowadzi przez oczyszczenie ich od oportunistów i reformistów, socjalimperialistów, socjalszowinistów, socjalsocjalistów i socjalsocjalistów". Jak wyglądało to "oczyszczanie" partii ujawnił, chociażby w formie szczątkowej, Chruszczow na XX zjeździe KPZR. Miejmy nadzieję, że nadejdzie taki czas, kiedy ukryte obecnie w archiwach MWD dokumenty ujrzą światło dzienne, a wykonawcy popełnianych zbrodni politycznych, ci, którzy nie zdążyli

umrzeć śmiercią naturalną, zostaną, podobnie jak faszysci, postawieni przed sądem międzynarodowym i przykładowo ukarani.

VI. Czy jest możliwa racjonalna reforma bolszewizmu?

Zignorowanie przez bolszewików teoretycznych założeń doktryny marksistowskiej i nie liczenie się z obiektywnymi warunkami istniejącymi w Rosji carskiej, doprowadziło do bardzo niekorzystnych zjawisk polityczno-społeczno-gospodarczych, które ujawniły się po rewolucji w samym Związku Radzieckim, jak również w innych krajach, w których starano się następnie system bolszewicki zaadaptować. Forsując na siłę rewolucję socjalistyczną w kraju najbardziej zacofanym w Europie i posiadającym bardzo niski dochód narodowy przypadający na głowę mieszkańca, bolszewicy wierzyli naiwnie, że po upaństwowieniu wszystkiego, co tylko da się upaństwić, potrafią w krótkim czasie dogonić i przegonić najbardziej rozwinięte przemysłowo państwa kapitalistyczne, wyłącznie w wyniku zniesienia alienacji i wmówienia robotnikom, iż stali się oni teraz właścicielami znacjonalizowanych środków produkcji. Zakładali oni, że najważniejszą rzeczą jest przechwycenie władzy, natomiast zacofanie technologiczne i analfabetyzm da się szybko zlikwidować po zwycięstwie rewolucji. Dzisiaj już wiemy, że chociaż za cenę milionów ofiar i nieopisywanych wyrzeczeń oraz nie licząc się wcale z kosztami społecznymi, udało się im w ciągu tych siedemdziesięciu lat sprawowania władzy absolutnej, poważnie zmniejszyć dystans dzielący ich od rozwiniętych przemysłowo państw kapitalistycznych, a w niektórych miernikach wydobywania nawet je wyprzedzić, jednakże mimo wielokrotnie składanych narodowi obietnic, nie potrafili oni nie tylko przegonić, ale nawet dogonić tych państw w dochodzie narodowym przypadającym na jednego mieszkańca. Nie potrafili oni również zapewnić dla swych obywateli stopy życiowej, nawet na przeciętnym, średnioeuropejskim poziomie, ani też samowystarczalności żywnościowej. Dużą bowiem część ich dochodu narodowego pochłaniają zbrojenia i obsługa irracjonalnego, niewydolnego i marnotrawnego systemu, czyli, mówiąc inaczej, koszty utrzymania różnorodnych instytucji, pasożytniczych z punktu widzenia interesów społecznych. Można do nich zaliczyć nadmiernie rozbudowane siły zbrojne, aparat ucisku, instytucje propagandowe, a także różnorodne kierownicze organa partii bolszewickiej i organizacji afiliowanych. Biorąc pod uwagę zacofanie technologiczne oraz niską wydajność pracy i złą jakość wytwarzanych wyrobów, dla reszty społeczeństwa pozostaje do podziału niezbyt wiele. Nieuzasadnione różnice w wynagrodzeniach i przywilejach rodzą poważne napięcia społeczne, które, chociaż tłumione w zarodku przez organa bezpieczeństwa wewnętrznego, pociągają za sobą bardzo ujemne następstwa natury psychicznej i są źródłem powszechnych frustracji społeczeństwa. Przywileje związane z określonymi stanowiskami, obsadzanymi według klucza nomenklatury, przyciągały po rewolucji do władzy szereg elementów z marginesu społecznego, nie posiadających

żadnych skrupułów i gotowych do wykonywania nawet najbardziej "brudnej" roboty za określone wynagrodzenie, które zwietrzyły dla siebie okazję do robienia przy tym różnorodnych interesów skierowanych na zaspakajanie potrzeb własnych. I chociaż leninowcom udało się przechwycić władzę nad partią, nie mogli oni jednak pochwalić się tym, że posiadają poparcie większości społeczeństwa. Byli więc oni zmuszeni do kupowania klakierów, potakiwaczy, pochwalaczy, donosicieli i prowokatorów, godząc się na to, że tego rodzaju grupom będą zmuszeni zapewnić lepsze warunki egzystencji. Kiedy więc w różnego rodzaju "czystkach" ginęli najbardziej ideowi, mądrzy i oddani partii marksiści, uchowały się prawie w całości elementy serwilistyczne i oportunistyczne, które potrafiły się szybko dostosować do zmiennych sytuacji. W taki właśnie sposób bolszewicy, deprawując i spadając ludzi doprowadzili do całkowitego zwyrodnienia swej partii, od członków której żądano jedynie bezwarunkowego posłuszeństwa i bezkrytycznego wykonywania poleceń zwierzchników. Oligarchia partyjna, zaraz po umocnieniu swej władzy, wyobcowała się całkowicie ze społeczeństwa, tworząc, w zasadzie, całkowicie zamkniętą kastę. Członkowie tej kasty, oprócz okazjonalnych galówek, gdzie spotykali się z szerszą publicznością, kontakty utrzymywali wyłącznie między sobą. W ramach swej kasty zawierali przeważnie związki małżeńskie, zamieszkiwali w wydzielonych domach strzeżonych przez milicję, posiadali wydzielone sklepy zaopatrywane w produkty żywnościowe lepszej jakości, dostarczane tam z wytypowanych sowchozów, piekarni, mleczarni i masarni, lub artykuły trwałego użytku dla ogółu obywateli niedostępne lub trudnodostępne. Mieli oni własne przychodnie, lekarskie, sanatoria, domy wypoczynkowe, szpitale, a nawet żłobki i przedszkola. Opłacając elementy pasożytnicze, z punktu widzenia interesu społecznego, lepiej, aniżeli robotników i chłopów, którzy je swą pracą utrzymują, bolszewicy pogwałcili podstawowe założenia na których opierają się normy sprawiedliwości społecznej w ustroju socjalistycznym, stanowiące, że płaca powinna być bezpośrednio uzależniona od ilości i jakości pracy społecznie użytecznej. Zdeprecjonowali oni również wszystkie uniwersalne prawa ekonomiczne, a między innymi również i to, które zakłada, że jednostka pieniężna, niezależnie od tego w czyjej kieszeni się znajduje, powinna posiadać, w tym samym miejscu i czasie, jednakową wartość. Mając dostęp do artykułów deficytowych, cwaniacy, którzy przedostali się do nomenklatury, mogli wykorzystywać ten fakt do robienia kokosowych interesów. Wystarczyło bowiem tego rodzaju artykuły, zakupione po cenach urzędowych, sprzedać przez osoby podstawione na ciągle wygłodzonym rynku po cenach czarnorynkowych i różnicę schować do kieszeni. Tak więc rewolucja bolszewicka, która miała doprowadzić do zniesienia alienacji i wyzysku człowieka przez człowieka, wytworzyła w efekcie nową klasę wyzyskiwaczy, żerującą na ubóstwie społeczeństwa, której członkowie, dla zaspokojenia swego konsumpcyjnego stylu życia, są zdolni, dla osiągnięcia profitów, narazić na straty intere-

sy narodowe i społeczne. Natomiast ci, którzy przegapili odpowiednią okazję i do nomenklatury się nie dostali, mieli możliwość poczynienia starań, aby dostać się do grupy "pieszczochów bolszewickich". Trafiały do niej różnego rodzaju elementy dyspozycyjne: lizusy, pochlebcy, nadskakiwacze, wazeliniarze i t.p., chłturzący przeważnie w dziedzinie kultury i nauki, nobilitanci bolszewików na etatach nadwornych poetów, pisarzy, malarzy, muzyków i ~~innych~~ aktorów, czy pseudonaukowców, którym trafiały do podziału gorsze kęski, nie skonsumowane przez nomenklaturowców. Cała reszta społeczeństwa była i jest nadal skazana na zaspakajanie swych potrzeb na bardzo niskim poziomie i musi zaopatrywać się we wszystko, czego brakuje w sklepach, na czarnym rynku, wzbogacając w ten sposób i tucząc różnego rodzaju cwaniaków, kombinatorów i spekulantów. Pazerna, zachłanna, bezwzględna i drapieżna, nie przebierająca w środkach i nie posiadająca żadnych hamulców moralnych nowa kasta partyjnych nomenklaturowców, zorganizowana w strukturach nieformalnych typu mafijnego, powiązana ze sobą więzami pokrewieństwa lub wspólnoty interesów, stanowi największe zagrożenie dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Jest ona bowiem zdolna zniszczyć każdego, kto zagraża jej partykularnym interesom, nawet gdyby to byli sekretarze KC. Właśnie dlatego, z dużą dozą sceptycyzmu należy podchodzić do bolszewickich planów uzdrowienia gospodarki narodowej, co jest niezbędne w przypadku konieczności przechodzenia z ekstensywnych na intensywne metody gospodarowania. Jeżeli bowiem przeprowadzana reforma nie naruszy struktur dotychczasowej nomenklatury, nie da ona nigdy zakładanych wyników, a jeżeli ją naruszy, to zostanie w sposób jawny bądź skryty zbojkotowana przez nomenklaturowców i utopiona ponownie, jak to już bywało, w pustosłowi i wodolejstwie. Wynika z powyższego, że system bolszewicki, nie zawierający w sobie żadnych niezbędnych narzędzi pozwalających na automatyczne dostrajanie do stanu optymalnego w określonych warunkach i danym czasie, nie może racjonalnie być zreformowany, zarówno odgórnie, z woli centralnych władz partii, ze względu na sabotaż ze strony nomenklaturowców, którzy zdają sobie sprawę z tego, iż rzeczywista reforma musi ograniczyć ich władzę, uprawnienia i przywileje. Nie może być on również zreformowany oddolnie, pod presją społeczeństwa, gdyż każda racjonalna reforma okaże się, na pewno, sprzeczna z teoretycznymi założeniami doktryny bolszewickiej, która nawet najmniejsze odchylenia od założonych dogmatów kwalifikuje zaraz jako "rewizjonizm", "anarchosyndykalizm" lub "zdradę rewolucji", co uzasadnia represjonowanie wszystkich, którzy twierdzą, że system opracowany przez bolszewików nie nadaje się do zarządzania współczesnym państwem, które osiągnęło już określony poziom rozwoju, gdyż toleruje on szkodnictwo, indolencję i marnotrawstwo nomenklaturowców. Wynika z powyższego, że bolszewikom wcale nie zależy na tym, aby zwyciężył w całym świecie ustrój socjalistyczny w formie innego systemu, aniżeli sys-

tem bolszewicki, gdyż tylko jego zwycięstwo może bolszewikom zapewnić kontrolę nad światem, da możliwość pisania historii we własnej wersji oraz zwolnić ich od odpowiedzialności za popełnione zbrodnie polityczne. Z wypowiedzi bolszewików wynika, że systemy socjalistyczne takie jak: chiński, jugosłowiański czy eurokomunistyczne są im bardziej wrogie, aniżeli kapitalistyczne, dlatego, że jest im o wiele łatwiej walczyć na płaszczyźnie propagandowej z kapitalizmem, wytykając mu znane już wszystkim jego mankamenty, aniżeli przekonać klasę robotniczą w rozwiniętych przemysłowo państwach kapitalistycznych, że to właśnie ich system jest najlepszy, gdyż tylko oni jedni posiadli prawo interpretowania wypowiedzi klasyków marksizmu i jako jedyni posiadają receptę na uszczęśliwienie ludzkości i zbudowanie "raju" na ziemi. Dlatego więc bolszewizm jest nie tyle niebezpieczny dla kapitalizmu, wyzyskującego stale jego ułomności z korzyścią dla siebie, co dla prawidłowego rozwoju na świecie nowej formacji społeczno-ekonomicznej.

VII. Wnioski.

W świetle przytoczonych powyżej faktów, nie wydaje się, ażeby bolszewizm był tym systemem, z którym marksiści polscy mieliby podstawy wiązać jakieś nadzieje na przyszłość, gdyż nie posiada on takich walorów, które pozwoliłyby mu zdobyć sympatię i poparcie większości klasy robotniczej w najbardziej rozwiniętych przemysłowo państwach kapitalistycznych, o co przecież stale lecz bezskutecznie zabiega. Nie potrafi on również udowodnić w praktycznym działaniu, że jest zdolny wygrać wyścig w pokojowym współzawodnictwie z bardziej prężnym kapitalizmem na płaszczyźnie gospodarczej. Jest więc on skazany obecnie na wegetację przy niskim poziomie spożycia, a będzie skazany na jeszcze niższy wówczas, kiedy w wyniku rabunkowej eksploatacji wyczerpie już wszystkie nieodnawialne surowce naturalne. Wydaje się, że za lat kilkadziesiąt, kiedy już bolszewicy nie będą posiadali większości bogactw naturalnych, które byliby w stanie wymienić z kapitalistami na żywność i nowoczesne technologie, staną oni przed koniecznością rozwiązania następującego dylematu: albo Marks i Engels mieli rację, a Lenin i Stalin jej nie mieli, wobec czego będą zmuszeni zaakceptować teoretyczne założenia teorii konwergencji, a co za tym idzie, wyrzec się nielogicznych mrzonek imperialistycznych, dać możliwość narodom dotychczas od siebie uzależnionym wybrać taki rodzaj systemu socjalistycznego, który im najbardziej odpowiada, rozliczyć się z popełnionych zbrodni politycznych i nauczyć się współżyć w pluralistycznym świecie, albo też nie chcąc wyrzec się swych dogmatów i starając się uniknąć odpowiedzialności, nie będą już mieli niczego więcej do stracenia i doprowadzą do wojny nuklearnej, godząc się z góry na to, że chociaż zginą sami, to zginie również wraz z nimi cały świat kapitalistyczny. Jeżeli jednak założymy, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że w przyszłej wojnie broni masowej zagłady nie zostaną użyte, lub zostaną użyte w takim

stopniu, że duża część ludności ją przetrwa, będzie to znaczyło, że jedna ze stron może wyjść z takiego konfliktu zwycięska, zaś druga zwyciężona. Gdyby więc zwyciężyli kapitaliści, Polska jako sprzymierzeniec ZSRR znalazła by się w gronie państw zwyciężonych i oprócz zniszczeń na jakie będzie narażona, będzie musiała dodatkowo spłacać reparacje wojenne, a także wielomiliardowe długi zaciągnięte przez bolszewików polskich, których nam przecież nikt nie podaruje, a oprócz tego straci na rzecz zjednoczonych Niemiec sprzymierzonych z USA, wszystkie ziemie zachodnie uzyskane jako rekompensata za ziemie wschodnie подарowane Stalinowi przez kapitalistów w Jałcie. W takim przypadku terytorium Polski zostanie okrojone do wielkości Księstwa Warszawskiego, a jeżeli Polacy będą się starali odzyskać ziemie wschodnie, to będą musieli o nie walczyć z niepodległą już wówczas Ukrainą, Białorusią i Litwą. Gdyby jednak zwyciężyli bolszewicy, Polska mogłaby liczyć tylko na anulowanie długów i oprócz zniszczeń nie uzyskałaby nic, gdyż, prędzej czy później, zostałaby włączona do organizmu państwowego ZSRR jako jedna z republik radzieckich. Jeżeli więc te dwa antagonistyczne i stale robiące sobie na złość supermocarstwa dojdą kiedyś do wniosku, że już więcej nie są w stanie ze sobą pokojowo współistnieć, to, na pewno, rzucają się sobie do gardła, nie licząc się wcale z tym, że w swych egoistycznych interesach mogą narazić cały świat na zniszczenie. Prawdopodobnie jednak bolszewicy zdają sobie sprawę z tego, że w przyszłej wojnie będą zmuszeni liczyć wyłącznie na własne siły, gdyż narody obecnie z nimi sprzymierzone, nie będą widziały dla siebie żadnych korzyści w tym, ażeby przelewać swą krew za tych, którzy narazili je na tyle ofiar, upokorzeń i frustracji. Ponieważ bolszewicy zohydzili i skompromitowali doszczętnie ideały socjalizmu, zapewne nie będą mogli również liczyć na masowe poparcie ze strony partii marksistowskich i robotniczych w państwach kapitalistycznych, kierownictwa których oskarżali stale o różnego rodzaju herezje, obrzucając je różnymi wyzwiskami. I chociaż mając za nic etykę, moralność i honor, nie licząc się z zaleceniami klasyków marksizmu i interesami podporządkowanych narodów, zdobyli oni władzę absolutną, a nawet zdołali podporządkować sobie kierownictwa niektórych komunistycznych partii za granicą, wydaje się, że ich wyjątkowo irracjonalna i nielogiczna polityka robienia sobie ze wszystkich wrogów, doprowadzi w końcu do ich całkowitego osamotnienia. To, że ~~nim~~ mają oni obecnie na swym koncie mniej ofiar, gdyż tych, których nie tak dawno jeszcze stawiali "pod ścianę" teraz zamykają tylko w szpitalach dla psychicznie chorych, a w obozach pracy przymusowej stwarzają już dla więźniów lepsze warunki, umożliwiające im przeżycie, nie świadczy wcale o tym, że się już zdemokratyzowali i ucywilizowali, gdyż wiadomo, że posiadają oni nadal te same cele i stosują podobne metody. Jeżeli więc marksiści są świadomi tego, że ustrój socjalistyczny, prędzej czy później, zastąpi kapitalizm, to wcale niezależnie od tego, czy nastąpi to w drodze rewolucyjnej, czy ewolucyjnej, należy domniemywać, że systemem dominującym, zaadaptowanym

przez większość państw, nie będzie, w żadnym przypadku, system bolszewicki, który pozbawił klasę robotniczą praw do rzeczywistego zarządzania zakładami pracy oraz ograniczył całkowicie zakres swobód obywatelskich zagwarantowanych w Konstytucji. Marksisci powinni zdawać sobie sprawę z tego, że obecna sytuacja, kiedy pokój światowy opiera się na równowadze strachu w układzie dwubiegunowym, nie jest korzystna, z punktu widzenia interesów socjalizmu. Jeżeli bowiem któremś z państw należących do bloku kapitalistycznego, uda się z niego wyrwać, to w układzie dwubiegunowym musi ono trafić do bloku państw bolszewickich i odwrotnie. Prowadzi to do okresowego zachwiania równowagi i powstawania niebezpiecznych napięć międzynarodowych. Wydaje się jednak, że w ciągu najbliższych kilkunastu lat Chiny socjalistyczne przekształcą się w trzecie supermocarstwo i będą w stanie przejąć rolę trzeciego bieguna w polityce międzynarodowej. Wszyscy więc, komu leży na sercu rozwój ustroju socjalistycznego, powinni dążyć do tego, ażeby stało się to jak najprędzej. Sądzę, że również polska polityka zagraniczna powinna uwzględniać tego rodzaju alternatywną sytuację stopniowego przeorientowywania się na Chiny, które mogą z czasem stać się dla Polski naturalnym sprzymierzeńcem w budowie socjalizmu bardziej odpowiadającego uwarunkowaniom polskim. Jako polski obywatel miałem wątpliwą przyjemność być przez lat jedenaście na "wikcie i opierunku" organów NKWD i to mając wyjątkowo małe szanse na przeżycie, gdyż kołymskie obozy pracy przymusowej cieszą się, do dnia dzisiejszego, jak najgorszą sławą. Jeżeli więc znając dobrze mentalność bolszewików wychowywanych w nienawiści do wszystkich, których uważają za wrogów ZSRR i żyjących stale w atmosferze psychozy permanentnego zagrożenia, mogę zrozumieć motywy kierujące ich nienormalnym postępowaniem, mam jednak prawo zastanowić się nad tym, jakby oni postępowali wówczas, gdyby im rzeczywiście udało się podporządkować sobie cały świat? Jeżeli bowiem w kilka dziesiątków lat od zwycięstwa rewolucji i w warunkach, kiedy cały świat patrzył im na ręce, byli oni zdolni do popełniania na tak wielką skalę i tak okrutnych morderstw politycznych, to do czego byliby zdolni wówczas, kiedy nie musieliby się z nikim i niczym liczyć? A przecież wierzą oni nadal, że ich misją dziejową, zleconą im przez historię, jest zlikwidowanie kapitalizmu, narzucenie całemu światu swego systemu i zapewnienie, w taki sposób, szczęścia dla całej ludzkości. Nie chcą oni, w ogóle, przyjmować do wiadomości faktu, że dotąd żadnemu systemowi opierającemu swą działalność na zakłamaniu, oszustwie, terrorze i bezprawiu nie udało się nigdy i nikogo uszczęśliwić! Próbował tego dokonać również Kościół rzymskokatolicki, który już od dwóch tysiącleci stara się bezskutecznie zbudować "królestwo boże" na ziemi i w imię "miłości bliźniego" połamiał już kości niejednemu heretykowi i nie jednego spalił na stosie. Ludzkość przez to nie stała się jednak, ani lepsza, ani bardziej szczęśliwa. Centralne władze PZPR powinny więc w swej polityce uwzględniać również i tego rodzaju rozwiązania, które nie wiązałyby losów

narodu polskiego "na śmierć i życie" z losami systemu bolszewickiego, gdyż muszą pamiętać o tym, że same podjęły się obowiązku ponoszenia odpowiedzialności za naród polski. Powinny one również stale zdawać sobie sprawę z tego, że partia działająca w warunkach systemu demokratycznego, która już tylekrotnie zawiodła zaufanie narodu i doprowadzała kraj do kryzysów, nie miałaby żadnych szans na zdobycie mandatu do dalszego sprawowania władzy. Jeżeli więc uznała ona siebie za wiodącą siłę narodu i utrzymuje monopol władzy za pomocą siły, prędzej, czy później, będzie musiała zdać społeczeństwu dokładne sprawozdanie z całego okresu sprawowania swych rządów. Członkowie władz centralnych PZPR twierdzą stale, że posiadają w bolszewikach radzieckich najwierniejszych i najbardziej wypróbowanych przyjaciół. Znane przysłowie mówi: "Pokaż mi swych przyjaciół, a powiem ci kim jesteś". W świetle przytoczonych powyżej faktów, nie wydaje się, aby były jakieś podstawy do zazdrośczenia Wam tego rodzaju przyjaciół. -

Z poważaniem -

Antoni Gierowski

Lech Czyński

ul. Racławicka 28 m.56

02-601 WARSZAWA

Wysłaniem listu poleconym
nr 2954 z upr. W-wz 48
dn. 28.07.1986r.

W. Pan

gen. armii Wojciech Jaruzelski

Przewodniczący Rady Państwa

ul. Ikara 5

02-705 WARSZAWA

Szanowny Panie!

Pragnę uprzejmie przypomnieć, że prowadzenie korespondencji przez sekretarzy KC z uczennicami amerykańskimi posiada już własną historię i nie jest Pan w tym oryginalny. O ile mnie pamięć nie myli, już b. sekretarz generalny KC KPZR Jurij Włodimirowicz Andropow był uprzejmy w maju 1983 r. odpowiedzieć na list uczennicy amerykańskiej Samanty Smith z Manchesteru. Temu rzeczywiście rzadkiemu przypadkowi, ażeby jakiś sekretarz KC partii bolszewickiej odpowiedział na czyjś list prywatny, nadano w ZSRR wielkiego rozgłosu, a prasa okrzyknęła Samantę "posłem dobrej woli między obu supermocarstwami". Przyznaję, że trudno mi było zrozumieć, jaką rolę, poza propagandową, mogłaby odegrać Samanta w rozładowywaniu napięć między tymi dwoma antagonistycznymi supermocarstwami? Obecnie dowiedziałem się z prasy polskiej, iż postanowił Pan pójść w ślady Andropowa i być również uprzejmy odpowiedzieć na list innej uczennicy amerykańskiej Kimberly Kuzma z Kalifornii, którą zaniepokoiła sytuacja finansowa PRL, a więc chciałaby ona przyczynić się do przełamania zastoju i omówić z Panem osobiście zaistniałą sytuację. Uważam, że to bardzo ładnie z Pana strony, iż nie przepuścił Pan tak ważnej propozycji i znalazł czas na to, ażeby złą sytuację finansową z Kimberly omówić. Muszę się jednak przyznać, iż nie wierzę w to, że ta zła sytuacja, w wyniku tej rozmowy, ulegnie jakiegokolwiek poprawie, gdyż, jak wiadomo, politykę zagraniczną w USA kształtuje prezydent i Senat, a ~~nie~~ Kimberly nie posiada na nią żadnego wpływu. Nieładnie natomiast, że nie uważa Pan za wskazane odpowiadać na listy swych własnych obywateli, chociaż jest to nawet sprzeczne z obowiązującymi przepisami. Otóż pragnę Panu uprzejmie przypomnieć, że jako dyplomowany ekonomista-informatyk przesłałem na Pana adres domowy, przy swym liście poleconym nr 36791 z dnia 12.11.1984 r., projekty dotyczące zreformowania przedsiębiorstw produkcyjnych, gospodarki rolnej oraz szkolnictwa wyższego, które opracowałem i przesłałem zainteresowanym ministrom jeszcze w roku 1980. W stosunku do mnie nie był Pan jednak na tyle uprzejmy i nie uważał Pan za wskazane odpowiedzieć, co o moich projektach sądzi. Jeżeli chodzi o mnie, to wydaje się, że gdyby projekty te zostały zastosowane w praktyce, to teraz Kimberly nie musiałaby się martwić o stan polskiej gospodarki. Przy okazji, w rozmowie, jeżeli się Pan uważa za człowieka uczciwego, powinienby Pan wyprowadzić Kimberly z błędu i wyjaśnić, że obecna sytuacja kryzysowa w PRL nie wyni-

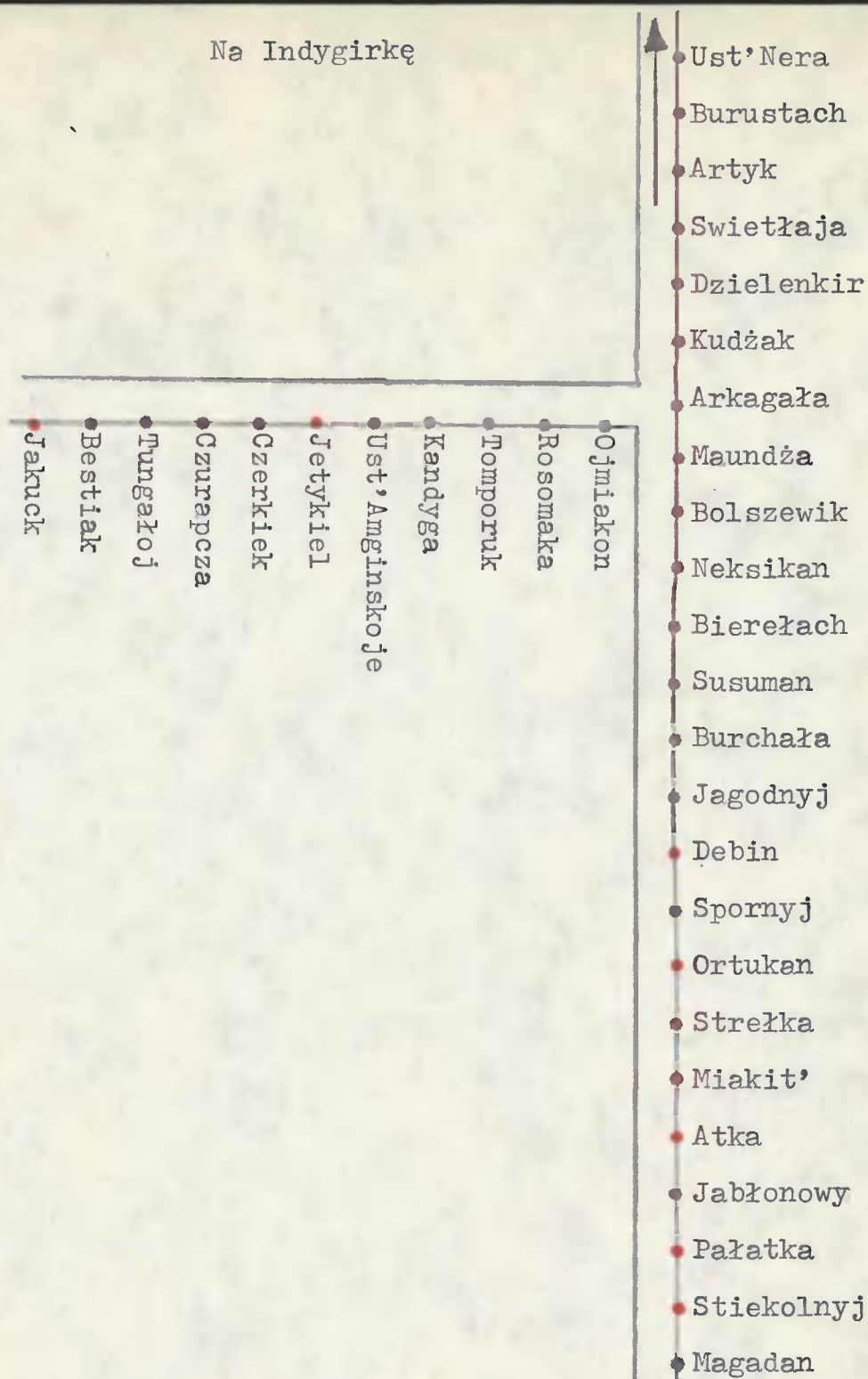
ka wcale z restrykcji handlowych zastosowanych przez USA, ale wyłącznie jest wynikiem nieodpowiedzialnej polityki kierownictwa PZPR, które zadłużyło kraj ponad możliwości wypłacalności i dużą część pożyczek zmarnotrawiło. Zapewne wie Pan, że na świecie istnieje wiele państw, które nie korzystają nigdy z klauzuli największego uprzywilejowania w handlu z USA, ani też innych udogodnień handlowych udzielanych przez ten kraj, a pomimo to dają sobie świetnie radę i nieźle z handlu żyją. Właśnie dlatego uważam, że stałe uskarżanie się na to, iż w wyniku restrykcji PRL poniosła straty w wysokości 15 miliardów dolarów, należałoby uznać jedynie za pewną formę propagandy antyamerykańskiej. Bo czyż wie Pan coś o tym, ażeby rząd USA przysięgał kiedyś rządowi PRL, że będzie on wiecznie korzystał z udogodnień i ulg handlowych, które są udzielane lub odbierane w zależności od ~~tego~~ bieżących wymogów polityki zagranicznej USA? Jak Panu wiadomo z klauzuli najwyższego uprzywilejowania korzystają obecnie, z państw socjalistycznych tylko: Chiny, Węgry, Rumunia i Jugosławia. Należy wątpić w to, ażeby w wyniku pozbawienia tej klauzuli np. Rumunii, na co się już zanowiło, wystąpiła ona do rządu USA z pretensjami i zaczęła naliczać straty, jakie z tego tytułu poniosła! Wydaje się, że stałe zwiększanie strat przez rząd PRL z tytułu cofnięcia klauzuli największego uprzywilejowania i odmowy udzielania kredytów krótkoterminowych na dogodnych warunkach, ośmiesza ^{go} tylko w oczach opinii międzynarodowej, gdyż żebraków natrętnych i nachalnych nikt nie lubi. W handlu, o czym Pan powinien wiedzieć, obowiązuje również zasada, którą, zdaje się rozpowszechnił Boy-Żeleński, która mówi: "I w tym cały jest ambaras, aby dwoje chciało na raz". Nic więc tu nie pomogą, ani okresowe zwiększania poniesionych strat, ani różne inne sztuczki propagandowe, a nawet modlitwy Kimberly! Po prostu musi Pan zrozumieć, że bez rzeczywistego i racjonalnego zreformowania zwyrodniałego systemu bolszewickiego nie da się uzdrowić gospodarki i za lat parę czeka Pana ponowny kryzys, być może na jeszcze większą skalę. Dlatego proponuję Panu, aby odszukał Pan przesłane Mu projekty reform i zastanowił się ponownie nad ~~przebiegiem~~ proponowanymi tam rozwiązaniami. Pragnę przy ~~tych~~ okazji uprzejmie powiadomić, że w ChRL jest obecnie przeprowadzana reforma szkolnictwa wyższego, zawierająca założenia zupełnie podobne do tych, jakie jeszcze w roku 1980 proponowałem Ministrowi Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.-

Z poważaniem

Lech Ryjński

Na Indygirkę

zatr. 14.



Chabarowski kraj obejmuje obszar 824 tys.km².

Tam, gdzie ćwierć-partia panując nie rządzi,
Ćwierć-rząd wprowadza ciągle ćwierć reformy
Twierdząc, że mogą czasem nawet zbłądzić,
Lecz zawsze w porę wracają do normy.

Tam, gdzie ćwierć-możel się narzuca
Dla społeczeństwa ćwierć-warunki stworał,
Choć ćwierć-przyjaciół mamy z każdej strony
Całych kłopotów i smartwied przysporzył.

Gdzie ćwierć-milicjant żeby powybija
Oraz ćwierć-sędzia na kraty znów wtrąci,
Że śmiał sakałować system w którym żyję
Bo wróg klasowy w głowie mi zamociał.

Gdzie ćwierć-dyrektor skarg mych ćwierć wysłucha
A ćwierć-urzędnik zakatwi ćwierć sprawy,
Gdyś miał do ręki mówikę do ucha,
Choć nie z Grójca jestem, lecz z Warszawy.

Tam, gdzie za ćwierćką masła na śniadanie
Czekając przez ćwierć dnia w ogonkach przesiadę,
Lecz z wiarą w przyszłość przy warsztacie staję
Świadom, że nowe rodzi się wśród mrozu.

Gdzie ćwierć-kierownik, gdy nie jest kolegą
Wyrzucić może nawet z tej ćwierć-pracy.

Musisz z nim czasem skończyć "na jednego",
Bo nie jesteśmy chłopcy krakowiacy.

Tam cały bandzior głowę ci rozbije
Bo mu się twoja gęba nie spodoba,
Gdy cztęry ćwierćki na łebku wypije
I kac go gnębi lub mara w wątroba.

Gdzie kurtyzana szamkrem cię nagrodzi
I resutę formy wyciągnie z kieszzeni.

Do ćwierć-lekarsza człowiek potem chodząc
W całych kolejkach z wotydu się runieni.

Wiedz, że kraj taki naprawdę istnieje
Choć był on także dzielony na ćwierci.

Dlatego teraz ciemniak ciębie leje,
Był miast o byłym pamiętał o śmierci.

Dlatego właśnie mamy ćwierć-swobody
By naszym krajem mógł ktoś obcy rządzić,
Władzić i dzielić oraz siad niegodę,
Zakolejkować, nagradzać i sądzić.

Tu, gdzie ćwierć-partia panując nie rządzi,
Ćwierć-rząd udaje, że pragnie reformy
Twierdząc, że nawet święty czasem zbłądzi,
Chyba znów wszystko powraca do normy.

Ant. Ryński

Lech Czyński
ul.Racławicka 28 m.56
02-601 WARSZAWA

Warszawa, dnia 11 listopada 1988 r.

W.Pani
Małgorzata Giżejewska
w miejscu

Szanowna Pani!

Przekazuję w załączeniu odpis listu z dn.1 maja 1986 r.skierowanego do I Sekretarza KC PZPR gen.armii Wojciecha Jaruzelskiego,wysłanego na jego adres przesyłką poleconą za zwrotnym potwierdzeniem odbioru.Informuję jednocześnie,że kopie wymienionego listu wysłałem również do wiadomości i wykorzystania przesyłkami poleconymi za zwrotnymi potwierdzeniami odbioru Michałkowowi Siergiejewiczowi Gorbaczowowi,Deng Xiaopingowi oraz Ronaldowi Reaganowi.Uprzejmie proszę Panią o pomoc w opublikowaniu treści wymienionego listu w którymś z czasopism ukazujących się poza zasięgiem cenzury oraz doręczenie mi jednego egzemplarza wymienionego czasopisma jako autorowi.Sprawę tą traktuję jako niezwykle ważną z punktu widzenia interesów narodu polskiego.-

załącznik:1

- odpis listu j.w.
na 16 str.maszynopisu

Z poważaniem -



200.6



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji

Punkt Repatriacyjny

w

Grabanowie

KARTA REPATRIACYJNA Nr 1212

Ob.

Oryński Lech i. Władysław

(nazwisko, imię, imię ojca)

ur. 4 lutego 1927 r. Łanice

(rok i miejsce urodzenia)

przybył(a) do Polski z

7 S.P.R.

wraz z _____ nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ami)

(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia

26 września 1955 r.

Obecnie udaje się do

Grabanowo pow. Biata Podlaska

(dokładny adres)

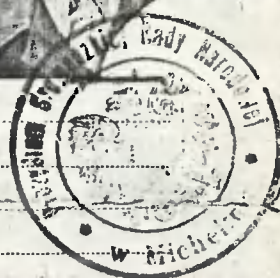
Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 139/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego zaświadczenia

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO

Wydano dn.

21 października 1955 r.

U W A G A : Okazicielowi niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.





POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTERSTWO
SPRAW ZAGRANICZNYCH

Nr

gm-08/185/47 (7)

zał. 8.

Warszawa, dnia 12. września 1967 r.

Obywatel Lech CZYNSKI
Piaseczno k/ Warszawy

ul. Puławska 42 m. 16

Nawiązując do swego pisma nr 08-185-67 z dnia 11 sierpnia br. Gabinet Ministra uprzejmie informuje, iż w wyniku dokonanych badań materiałów archiwalnych ustalono, że :

Wydział Konsularny Ambasady PRL w Moskwie wystawił i wysłał Obywatelowi do Madaganu w roku 1953 polski paszport konsularny nr V-155112 w celu umożliwienia powrotu do kraju. Paszport ten nie został widocznie podjęty przez Obywatela gdyż zwróciły go naszej Ambasadzie władze radzieckie z tamt. terenu.

W załączeniu zwracamy nadesłane materiały.

Wicedyrektor Gabinetu Ministra

E. Malczyk